

Kontynuacja międzynarodowych bestsellerów
„Mścicielka” i „Dom śmierci”.

**Bernhard
Aichner**



Furia

Bernhard Aichner

Furia

Z języka niemieckiego przełożył
Łukasz Kuć



Spis treści

Wszystko będzie dobrze

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12
13 14 15 16 17 18 19 20 21 22
23 24 25 26 27 28 29 30 31 32
33 34 35 36 37 38 39 40 41 42
43 44 45 46 47 48 49 50 51 52
53 54 55 56 57 58 59 60 61

Już wszystko dobrze

Wszystko będzie dobrze

To był jedyny sposób. Nie miała wyboru, musiała przyjąć pomoc, którą jej zaoferowano. To, że ktoś zaryzykował i wywiózł ją z Niemiec, graniczyło z cudem. Kontakty z nią mogły wywołać lawinę pytań. Pomaganie jej oznaczało więzienie. Była jak choroba, którą trzeba zdusić. Jak zło, którego trzeba unikać. Dlatego nikt nie mógł jej zobaczyć, dlatego uśpiła swoje córeczki i jedzie z nimi na północ.

Nie mogła sama usiąść za kierownicą. Zwykle środki transportu nie wchodziły w grę. Pierwsza kontrola drogowa oznaczałaby koniec wszystkiego. Mógłby ją rozpoznać podróżny z sąsiedniego fotela, mogłaby nagrać kamera na dworcu. Dlatego jedzie karawanem, w wielkiej trumnie do transportu zwłok, z otworami, przez które mogą oddychać. To tylko noc, dwie śpiące w ciemności dziewczynki. Nikt ich jej nie odbierze, nikt poza nią nie będzie ocierał im łez, słuchał chlipania, gdy otwierają oczy.

Bo chociaż zrobiła wszystko, by do tego nie doszło, zaczynają się budzić. Mówią. *Gdzie jesteśmy, mamusiu? Włącz światło. Nie mogę się ruszać. Chcę cię zobaczyć, mamusiu.* Szybko rozumieją, że są w zamknięciu, że nie mogą stąd wyjść. Odruchowo zaczynają wierzcąc nóżkami, uderzając piąstkami w wieko, chcą się wydostać. Na próżno. Ściany trumny nie ustępują, ramiona mamusi są jak liny. Czule je obejmują, chcą je chronić. Są tylko kręcące się koła, asfalt pod nimi i latarka, którą włączyła. Żałosna próba odegnania ich strachu.

Nic nam się nie stanie, szepcze. Niedługo ktoś zdejmie pokrywę i zobaczymy morze. Chce w to wierzyć, ufać, że kierowca zrobi to, co obiecał. Że wprowadzi ją na pokład frachtowca, że wywiezie ją za granicę. Słono musiała za to zapłacić. Porzuciła wszystko, za kilka godzin nie będzie mieć przeszłości. Nikogo, tylko dziewczynki. Wszystko, co jeszcze ma, leży

w jej ramionach, pod nimi spalona ziemia. Nie ma już drzwi, które mogłaby zamknąć, domu, miasta, w którym się wychowała. Musi poszukać nowego miejsca na ziemi. Nowego domu. Bo nie pozbędzie się twarzy jak maski, bo może zostać rozpoznana i aresztowana. Dlatego.

Musi się ukrywać. Chociaż nienawidzi się za to, że robi to swoim małościom, nie ma wątpliwości, że tak trzeba. *Proszę, nie płaczcie. Nic wam nie grozi. Musicie mi zaufać*, mówi i wyłącza latarkę. Bo nie może znieść widoku łez w oczach dziewczynek. Bo wie, co im robi. Zamyka je w ciemności. Przeraża. *Mamusia jest przy was*, mówi tylko. *Nie bójcie się. Mamusia was kocha. Musimy tu jeszcze chwilę zostać, potem popłyniemy ogromnym statkiem. Za morze, ku nowemu życiu. Bo stare legło w gruzach.*

Brünhilde Blum. Kochająca matka, właścicielka zakładu pogrzebowego, miła i spokojna. Zupełnie zwyczajna. Nikt by się nie domyślił, nikomu nawet by nie przeszło przez myśl, do czego jest zdolna. Że jest morderczynią. Że zabijała, wiele razy, z zimną krwią i w amoku. Mówią, że nie miała motywu, że oszalała. Bo nikt nie wie, dlaczego to wszystko się stało. Sądzą, że nie znała tych mężczyzn, nic ich nie łączyło, zabijała kogo popadnie, okrutnie zamordowała pięciu mężczyzn. Piszą, że to dzieło psychopatki. Mylą się. Nikt nie wie, kim naprawdę byli ci mężczyźni, co zrobili. Że mieli na sumieniu śmierć Marka. Jej męża, który pewnego ranka został potrącony przez auto. Zginął na miejscu. Na jej oczach.

Myśli o jego ustach. Już się nie poruszały. *Tatus jest w niebie*, powiedziała. *Tatus nie żyje*, odpowiedziała Nela. Ona pierwsza zrozumiała, że tata nie wróci, już nigdy jej nie zanieś do łóżeczka, nie pogłaszczę po główce. *Tata ma teraz zwłoki*, powiedziała do młodszej siostrzyczki. Uma tego nie rozumiała. A Blum nie mogła znieść tej myśli. Nie chciała się z tym pogodzić. Broniała się. Zaczęła drążyć.

Według policji to było potrącenie ze skutkiem śmiertelnym, nic więcej. Winny nie został odnaleziony i w końcu przestali go szukać. Lecz Blum nie zrezygnowała, wysłedziła ich. Pięciu mężczyzn, którzy postanowili, że Mark

musi umrzeć. Bo był policjantem, bo odkrył ich tajemnicę. To była jego ostatnia sprawa, był przekonany, że tych pięciu szanowanych obywateli prowadzi podwójne życie, że są gwałcicielami i mordercami. Blum obudziła się w samym środku horroru. Wśród dzikich bestii, krwiożerczych potworów, które tropiła i zabijała, ćwiartowała i ukrywała.

Przeszłość jest tak blisko. To przez nią leży w ciemności, ucieka, musi się ukrywać. To przez nią ta trumna, strach dziewczynek, jej bezradność. Bo nie może nic zrobić, by je pocieszyć, odegnać strach. Może tylko mówić, szeptać w ich uszka. *Już niedługo. Siądziemy na brzegu i będziemy rzucać do wody kamienie.* Pięknymi słowami walczy z paniką, maluje przyszłość w ciepłych kolorach, chwytą dzieci za rączki i biegną po plaży.

Zamknijcie oczka i wyobraźcie sobie. Małe kraby chowają się pod kamienie, w wodzie pływają kolorowe rybki. A kiedy się wsłuchacie, usłyszycie szum morza. Znikają koła, asfalt, jest tylko błękitna woda i słońce, dziewczynki biegają i skaczą. Mamusia jest przy was, mówi. Wszystko będzie dobrze. Raz po raz powtarza to zdanie. Zdanie, które powoli uspokaja dziewczynki, wlewa w ich serduszka nadzieję. Wszystko będzie dobrze, szepcze. Wszystko będzie dobrze.

1

Lofoty. Kiedy tu przyjechały, wszędzie były martwe, bezgłowe ryby. Dorsze. Powiązane po dwie sztuki suszyły się przez trzy, cztery miesiące rozwieszane na drewnianych rusztowaniach. Sztokfisz. I mały, czerwony drewniany domek wynajęty im przez sympatycznego rybaka. Zanurzyły się w nowy świat, między ludzi, którzy niczego się nie domyślali. Przeszłość zniknęła. Nikt o nic nie pytał, nikt niczego nie podejrzewał. Dla nich była zwyczajną matką, która zabrała córeczki na wakacje.

Namiastka szczęścia na końcu świata. *Pięknie tutaj, mamusiu. Góry są takie strome. Chcemy tu zostać, mamusiu.* Nie myślały już o tym, jak tu przyjechały, nie pamiętały strachu, ciemności, ścisku. To wszystko zostało daleko za nimi. Rozkwitły, cieszyły się, że mamusia jest z nimi. Przez długie tygodnie była tylko woda, spacerowanie po wyspie, osvajanie się z nowym miejscem. Spełniło się wszystko, co im obiecywała. Tutaj nikt ich nie szukał, nikt nawet przez moment nie podejrzewał, że coś jest nie tak. Uma i Nela były szczęśliwe.

Cudowne widoki sto kilometrów za kołem polarnym, miejsce, gdzie zawsze chciała przyjechać. Z Markiem. *Kiedyś polecimy do Norwegii, kwiatuszku, mówił. Zobaczymy białe noce.* Spełniło się dawne marzenie. Blum ze wszystkich sił starała się wierzyć, że tak będzie już zawsze. Każdego ranka budząc się, wyobrażała sobie życie w radosnych barwach, marzyła, robiła wszystko, by jej maleństwa były szczęśliwe. Codziennosc na końcu świata. Rybak, który przywoził jej zakupy, słońce, które nie zachodziło, mewy krążące nad wodą. Śmiech, do którego się zmuszała, nawet kiedy nie było jej wcale do śmiechu. Przez długie tygodnie.

To kłamstwo miało zasklepić rany dziewczynek. Prawdę zachowała dla siebie. Słowa, które wciąż powracały, które stawały się w niej coraz

głośniejsze. *Wasza mamusia zabiła pięciu mężczyzn. Ukradła wam dom, życie. Ale teraz wszystko naprawi.* Dzień po dniu próbowała im stworzyć szczęśliwy świat, robiła wszystko, by uśmiech już nigdy nie znikł z ich dziecięcych twarzączek.

Przez trzy nieskończenie długie miesiące. A potem rybak zdjął z rusztowań gotowy sztokfisz, zapakował go w skrzynie i wysłał do Włoch. Głowy pojechały do Nigerii. *Tam gotuj z nich zupę,* powiedział. Był wciąż miły, choć z czasem robił się coraz bardziej ciekawski. *Jak długo chcecie tu zostać?*, spytał. *Wkrótce nastanie zima.* Blum nie odpowiedziała. *Nie musicie wracać do domu?*, drążył. *Dziewczynki nie chodzą do szkoły?* Blum milczała.

Chociaż zrobiło się wokół niej spokojniej, chociaż media zapomniały o „Potworze z Innsbrucka”, wiedziała, że nie może tam wrócić. Cotygodniowe wizyty w kafejce internetowej uspokajały ją wprawdzie, ale nie dawały nadziei na powrót. Poszukiwania nie przyniosły rezultatu, dziennikarze wyczerpali temat i zapanował spokój. Brünhilde Blum, właścicielka zakładu pogrzebowego, która ćwiartowała swoje ofiary i ukrywała części zwłok w trumnach wraz z innymi ciałami, jakby się zapadła pod ziemię. Jej sprawa wstrząsnęła małą Austrią, a nawet na kilka chwil skierowała oczy całej Europy na senny Innsbruck, lecz w końcu zapanował spokój. Wzburzone fale między austriackimi górami opadły. Nastąpiła cisza.

Blum wypływała z dziewczynkami łodzią wiosłową na morze, wędkowały. Śmiały się i wrzucały ryby z powrotem do wody. Sielanka. A jednak nie mogła spać. Całymi nocami leżała z otwartymi oczami. Wyobrażała sobie, co będzie, lecz przyszłość malowała się w ponurych barwach. Nie miały żadnych perspektyw: ani szkoły, ani pracy, ani ubezpieczenia. Pieniądzy zostało jeszcze na kilka tygodni, a potem? Jej nowe życie było jak samochód, w którym zabrakło benzyny. Stała na skraju drogi. Cały jej dobytek mieścił się w dwóch walizkach. Piękny sen dobiegał

końca, powoli się z niego budziła.

Nie miała już siły. Opowiadała dziewczynkom i sobie o cudownej przyszłości, zachowywała się tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku, ale to wysysało z niej resztki energii, szarpało nerwy. Zaciągała kołdrę na głowę. Dni stawały się coraz krótsze, słońce powoli znikowało. Ogarniało ją zwątpienie i samotność. Docierało do niej, że jest w tym kraju obca, że są turystkami – i to w czasie, gdy normalnie nikt tych wysp nie odwiedza. Krótki sezon minął i to, co w pierwszych tygodniach wypełniało ją szczęściem, zamieniło się w udrękę i ból. Pytania dziewczynek raniły ją tak samo jak odpowiedzi, których im nie mogła udzielić.

– Mamusiu, kiedy wracamy?

– Dokąd?

– Do domu.

– Do domu? Przecież tu jest tak pięknie, prawda? Niedługo przyjdzie zima, ulepimy bałwana, będziemy zjeżdżać z górki na sankach. Zobaczycie, będzie wspaniale. Przyzwyczaimy się i z czasem pocujemy się tu jak w domu.

– Ale my chcemy się wspinać na drzewa, w naszym ogrodzie. Tak jak kiedyś. Musimy zerwać wiśnie, bo inaczej przylecą szpaki i je zjedzą.

– Możemy kupić wiśni, jeżeli chcecie.

– A co z umarłymi, mamusiu?

– Teraz zajmuje się nimi ktoś inny, nie martwcie się.

– Już nie masz zakładu?

– Nie.

– To co będziesz robić?

– Pomyślałam, że będę pracować w fabryce.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo my nie chcemy, żebyś obcinała rybom głowy. Nie możemy tu zostać, mamusiu.

- Dlaczego tak mówisz?
- Bo tu nie ma dzieci. Tylko my. Z kim mamy się bawić?
- Możemy się przeprowadzić do wioski.
- Ale my nie rozumiemy, co oni mówią.
- Nauczycie się. Możecie pójść do szkoły i zamieszkamy tu na zawsze.
- Ale my nie chcemy, mamusiu.
- Uda nam się, zobaczycie.
- Chcemy wrócić do starego domu, do naszych zabawek. Chcemy zobaczyć dziadka.
- Nie możemy wrócić, kochanie.
- Dlaczego?
- Bo to niemożliwe.
- Proszę, mamusiu.
- Przepraszam.
- Za co?
- Za wszystko.

Takie rozmowy łamały jej serce. Chciałaby cofnąć czas, nienawidziła się za to, że nie przychodzi jej do głowy nic innego, tylko to przeklęte zdanie, które już się stało frazesem, pustą obietnicą, której nie mogła spełnić. *Wszystko będzie dobrze*. Chciała to powiedzieć, ale nie mogła. Zawiedzione buzie dziewczynek odebrały jej mowę. Przestała się śmiać. Straciła nadzieję. Zostały tylko łzy. Mnóstwo łez.

2

Wczesny ranek. Stoją na stacji benzynowej. Na ziemi obok nich dwie walizki. Blum podjęła decyzję. Bez namysłu, pod wpływem impulsu. Spakowała się i poprosiła rybaka, by je odwiózł na stały ląd. Nie chce tu zostać ani dnia dłużej. Musi znaleźć jakiś sposób, by dziewczynki dostały to, czego pragną. Język, który znają, dzieci, z którymi mogą się bawić, szkołę, znajome drzewo, na które mogą się wspinać. Zrobi wszystko, zapłaci każdą cenę, byle jej maleństwa się nie smuciły. *Mamusia sprawi, że będziecie szczęśliwe.* Gładzi je po główkach. *Musimy jeszcze trochę poczekać, niedługo wsiądziemy do samochodu i pojedziemy.* Uma i Nela kiwają głowami. Ufają jej, idą za nią jak dwa lemingi. Cieszą się na myśl o podróży, z tego, że coś się dzieje, że stąd wyjadą. *Dziękujemy, mamusiu,* mówią.

I znów są w drodze. Ledwie kilka miesięcy temu tu przyjechały, a już jadą dalej. Tak trudno było się tu dostać, tyle strachu i zgryzoty kosztowała ta podróż, tyle wycierpiały jej biedne maleństwa. Już nigdy nie zamknie ich w skrzyni, w ciemności, już nigdy nie pozwoli, by krzyczały ze strachu. Nigdy więcej ich nie skrzywdzi. Wszystko musi się zmienić, musi znaleźć jakiś sposób. Zwróci im to, co im zabrała. Nie szeszna na tej małej norweskiej wyspie, ofiaruje im nowy dom, wyczaruje go dla nich. Uda im się. Znikną, zaczną wszystko na nowo. Zamierza odzyskać kontrolę nad swoim losem, nie chce być dłużej bezradna, przyjmować biernie tego, co niesie życie, czekać na chwilę, gdy jakiś turysta na plaży rozpozna jej twarz, aż ciekawski sąsiad zaalarmuje policję. Chce wrócić. Bo nie wie, jak miałyby żyć na tej wyspie. Bo nie ma gwarancji, że będzie tu nadal bezpieczna. Bo zapewne większe szanse ma w Niemczech.

Dlatego czeka na tej stacji benzynowej, wypatrując kogoś, kto by je

podwiózł. Dziewczynki nie mają piłki, więc kopią do siebie pustą puszkę po coli, a ona niezmordowanie wodzi wzrokiem dokoła. Skanuje parking, kierowców. Musi być cierpliwa, czytać w twarzach, znaleźć odpowiedniego. Takiego, który nie przyjechał z Niemiec lub Austrii. Nie może zadawać jej żadnych pytań. Musi znaleźć kogoś, kto zwyczajnie potrzebuje towarzystwa podczas nużącej podróży, kogoś młodszego od niej, słabszego. Żeby w razie czego mogła obronić siebie i dzieci. Musi być przygotowana na wszystko, trzymać na podorędziu nóż. W kieszeni. Nie może sobie pozwolić na błąd. Zaczeka tak długo, aż będzie absolutnie pewna, dopiero wtedy podejdzie i spyta. *Zabierze nas pan? Mnie i moje małe córeczki? Bardzo by nam pan pomógł.* Będzie miła. Kiedy intuicja jej powie: *Ten.* Wtedy wsiądą, znikną w kabinie wozu.

Jest południe. Z budynku stacji wychodzi młody Turek z sympatycznym uśmiechem na twarzy, ma może dwadzieścia pięć lat. Drobnny facet w ogromnej ciężarówce. *Jadę do Hamburga,* mówi. Nie ma pojęcia, kim jest kobieta, z którą rozmawia, co ma do ukrycia. Opowiada mu niestworzoną historię. Pokłóciła się z mężem, musi uciekać, zabrać dziewczynki w bezpieczne miejsce, bo szuka ich ojciec, bo chce je zabrać. Z jej ust płynie wzruszająca historia. Udaje bezbronną, zachowuje się, jakby potrzebowała pomocy. Turek jej wierzy, zabiera je. Na imię ma Zeki. *Wsiadajcie,* mówi.

Trzydzieści godzin. Tyle trwa podróż na południe. W ładowni Zeki wiezie dwie tony sztokfisz, z głośnika płynie turecka muzyka. Blum siedzi z dziewczynkami na fotelu obok kierowcy, jest miło i bezpiecznie. Uma i Nela śmieją się, bo Zeki opowiada im historyjki, chce je rozweselić. Za oknem przesuwa się norweski krajobraz. Blum znów ma cel. Hamburg. Bo tak zdecydował los. Miasto dość duże, by zniknąć w tłumie, by dostać to, czego potrzebuje. Paszporty dla siebie i dziewczynek, mieszkanie, pracę. Znów będą żyć normalnie, zaczną na nowo pod innym nazwiskiem, przeszłość zostawią za sobą. Blum marzy, głaszcząc dziewczynki, które wieczorem położyły się na brudnej leżance. Palce prawej dłoni gładzą plecy

Umy, palce lewej – Neli. W kabinie Zekiego znów się budzi nadzieja. *Kochamy cię, mamusiu.* Małe oczka się zamykają. Blum siada z przodu. *Dziękuję, mówi.*

– Nie ma za co.

– Jest. Nie wiem, co by było, gdybyś nas nie zabrał.

– Aż tak źle?

– Niestety.

– Masz jakieś pieniądze?

– Dlaczego pytasz?

– Nie wsiadłaś do samolotu ani pociągu. Jedziesz autostopem, z dziećmi.

To dość niezwykłe.

– Masz rację, nie zostało mi za wiele.

– Dokąd jedziesz?

– Nie wiem. Ale Hamburg brzmi nieźle.

– Nie możesz wrócić do domu?

– Niestety nie.

– To musi być prawdziwy sukinsyn.

– Kto?

– Twój mąż. Ja taką kobietę traktowałbym jak królową.

– Flirtujesz ze mną?

– Nie.

– To dobrze.

– Ale mogę ci pomóc.

– Jak?

– Znam kogoś w Hamburgu. To moja dobra znajoma. Możecie się u niej na kilka dni zatrzymać.

– Dlaczego chcesz nam pomóc?

– A dlaczego nie?

– Nawet nas nie znasz.

– Słyszałem, co mówiłaś do dziewczynek.

- Co?
- *Zeki jest miły.*
- I to wystarczy?
- Mam siedem sióstr, wiem, jak to jest.
- Co?
- Nic nie mieć. Nie wiedzieć, co będzie.
- Opowiedz mi o tym.

I Zeki opowiedział. Długo i z powagą mówił o dzieciństwie w Kapadocji, o biedzie i o tęsknocie. To było naprawdę cudowne. Żadnych żądań, oczekiwań. Zwykły chłopak, który chciał się wygadać. I pomóc. Bo może. Wspaniale było tak beztrosko siedzieć razem i jechać przez noc. *Nie jesteś zmęczony?*, spytała Blum. *Jeszcze nie*, odparł Zeki i opowiadał dalej. Blum delectowała się chwilą. Pierwszy raz od trzech miesięcy naprawdę z kimś rozmawiała. Ogarnęło ją błogie uczucie. Tylko Zeki i morze za oknem. I światła kutrów rybackich hen w dali.

3

Hamburg, ranek. Pożegnali się pod stacją metra Landungsbrücken. Blum trzyma w dłoni kartkę z zapisanym przez niego adresem. *Dobra znajoma*, powiedział. Uściskała go w podzięcie. Zeki. Przez dwa dni czuła się bezpieczna. Z dziewczynkami na parkingu w Danii. *Mamusiu, siku*. Z dziewczynkami w autostradowej restauracji. *Chcemy frytki. I lody*. Były szczęśliwe. Uma i Nela. I Zeki, który dawał im poczucie, że wszystko jest w porządku. Blum czuła się bezpiecznie w jego ciasnej kabinie. Myślała, że to może być przeznaczenie. Wszystko, co się wydarzyło, odkąd zamknęła za sobą drzwi domku na północy Norwegii. Nareszcie spotkała życzliwą duszę. Aż do końca nie było strachu, podejrzliwości, tylko szeroki uśmiech na pożegnanie. Szybki uścisk, bo Zeki musiał jechać dalej, bo rozpoczynał następny rozdział w swej księdze życia. *Uważaj na dziewczynki*, powiedział tylko. *I na siebie*. Potem odjechał.

Jeszcze przez chwilę delektuje się tym cudownym uczuciem. Wypełniona zdarzeniami ostatnich dwóch dni stoi i patrzy za odjeżdżającą ciężarówką. Nawet kiedy już zniknęła jej z oczu. *Czy Zeki wróci?*, pytają dziewczynki. *Nie*, odpowiada. Znika sielanka, spokój. To już nie jest noc z Zekim przy drodze, są znów same. Znów wszystko jest obce. Wchodzą schodami na górę, maszerują w stronę St. Pauli. Po prostu idą, Blum nie chce, żeby dziewczynki się domyśliły, że nie zna miasta. Że ma tylko tę małą karteczkę, brzytwę, której się chwyta na falach życia, imię i adres w dzielnicy uciech.

Rozgląda się. Próbuje znaleźć drogę. Musi się spieszyć, jak najprędzej zniknąć z ulicy, odstawić walizki. Poszukiwana kobieta z dwójką dzieci. Nie mogą się pokazywać razem. Jeszcze nie teraz. Nie z bagażem. Musi się go pozbyć, zostawić gdzieś, a potem po niego wrócić. Boi się, że mogą

ściągnąć uwagę na siebie. Chociaż nikt się za nimi nie ogląda, zaciąga dziewczynkom na główki kaptury. Wie, że przesadza, ale nie umie inaczej, martwi się. Idą bardzo powoli. Jak turyści w drodze do hotelu. Właśnie przyjechały. Bez pośpiechu mijają Davidwache, najsłynniejszy posterunek policji w mieście. Blum ignoruje szyld z napisem „Policja”. Zachowuje się tak, jakby były już prawie u celu. *Niedługo zjemy śniadanie, mówi. A potem się wykąpiecie.*

Martwi się. Czy będzie ktoś, kto otworzy jej drzwi. Znajoma Zekiego. Czy zaprosi ją, pokaże, gdzie będą spać, zrobi śniadanie. Marzy o tym. Wokół smród i śmieci. I wóz zakładu oczyszczania miasta, który powoli usuwa ślady tego, co się zdarzyło w nocy. Mija rzygającego pijaka, gasnące neony, kluby, knajpy, lampy, pod którymi jeszcze przed chwilą stały półnagie kobiety, domy publiczne, ostatnich klientów, drobnych dilerów. Na ulicy zalega cisza. Tylko głosy dziewczynek robią się coraz głośniejsze. *Mamusiu, jesteśmy głodne. Dlaczego nikt nie otwiera? Jesteśmy zmęczone.* Blum dzwoni. Przez kilka minut naciska dzwonek. Stoi w bocznej uliczce, przed podniszczoną czynszówką. Przechodzi jakaś kobieta. *Dziwki śpią o tej porze, mówi. Może pani długo poczekać.*

Lecz Blum ani myśli się poddać. Chce zniknąć z ulicy, ukryć się w środku, odetchnąć, pomyśleć, co dalej, uspokoić dziewczynki. *Cierpliwości, maleńkie. Pani zaraz się obudzi i nam otworzy.* Ina. Zapisane na kartce imię to szansa na spokojną noc w łóżku. Bo nie mogą pójść do hotelu. Bo Blum nie ma dokumentów. Bo najpierw musi zdobyć nowe paszporty. Jest jak ścigane zwierzę, wyjęta spod prawa, każdy może ją wtrącić za kraty. Ktoś, kto się zainteresuje, dlaczego wciąż dzwoni, dlaczego terroryzuje całą kamienicę. Wystarczy telefon na policję ze skargą na zakłócanie porządku i będzie po wszystkim.

Mimo to dzwoni. Jeszcze dwadzieścia sekund, dziesięć. Potem się odwróci i zniknie, odejdzie. Będzie musiała coś wymyślić, pójdzie do parku i schowa walizki w zaroślach. Będzie udawać, że jest zwyczajną matką,

która zabrała dzieci na spacer. Kupi coś do jedzenia. Chleb, wędlinę, coś słodkiego. Będzie się kręcić z dziewczynkami na karuzeli, aż ją zemdli. Aż coś w końcu wymyśli. Zaczeka jeszcze pięć sekund. Na Inę. Trzy. Jeden. *Wrócimy później*, mówi do dziewczynek. Lecz wtedy otwierają się drzwi.

Rozmazany tusz, jasne włosy, jakieś dwadzieścia lat. *Czego, do kurwy nędzy?*, Ina przeciera powieki, jeszcze bardziej rozmazuje szminkę i tusz. Stoi jak słup soli i wybałusza oczy. Bo widzi dwie dziewczynki. Bo nikt jej nie uprzedził, że będzie mieć gości. *Jeśli nie przestaniecie, wezwę policję, jasne?* Chce zamknąć drzwi, lecz Blum wkłada stopę. Mówi, skąd ma ten adres, prosi o pomoc. *Tylko na jedną noc, może dwie*, mówi błagalnym szeptem. Dopóki nie wymyśli, co dalej. Mówi cicho, nie chce, żeby dziewczynki zauważyły, że ich los zależy od prostytutki, od tego, czy je wpuści do swojego mieszkania. *W porządku*, mówi Ina. *Tylko macie być cicho, przez całą noc nie zmrużyłam oka*. Wpuszcza je, prowadzi schodami na górę i znika w sypialni. *Jeszcze raz mnie obudźcie, to was zabiję*, mówi na pożegnanie.

Dziewczynki chichoczą. *Ale fajna*, mówią. Bo czują, że ta młoda pani nie mówi poważnie. Bo podoba im się mieszkanie. Jeden wielki rozgardiasz. I wszystko w różu. Dom Hello Kitty, spełnienie marzeń małych dziewczynek. Na podłodze różowe ubrania, lakierowane buty do kolan. *Podoba nam się, mamusiu*. Blum się uśmiecha. Patrzy, jak niemal bezgłośnie paradują po mieszkaniu w butach Iny. *Mozemy, mamusiu?* Blum kiwa głową, kładzie się na kanapie. Nieważne, że kapie z kranu. Nieważne, że koc, na którym leży, jest brudny. Ważne, że dziewczynki się bawią, są wesołe. Przez okno wpadają promienie słońca. Trafiły do różowego świata. Do Hamburga, na Reeperbahn. Zostaną tu. Blum to wie. Ich podróż dobiegła końca.

4

Mężczyzna, który ją przytrzymuje, nazywa się Gonzo. Jest tak blisko, że odór jego potu wykręca nos. Blum czuje na sobie jego dłonie. Na chwilę świat się zatrzymuje. Drugi z mężczyzn jeszcze nie podjął decyzji, co z nią zrobić. Jak to się dla niej skończy, dobrze czy źle. Nie mówi ani słowa, uśmiecha się tylko, zaciąga papierosem i patrzy. Na młodą kobietę, która minęła stojących przy drzwiach goryli i wpadła do jego klubu. *Musimy pogadać*, powiedziała. Głośno i bez wahania. Nie namyślała się, nie czuła strachu. Tylko on mógł jej pomóc. Przystojny mężczyzna w fotelu za biurkiem. Egon Schiele.

Na ścianie za jego plecami wisi ogromna grafika. Rozłożone nogi, nagie, kanciaste ciało. Blum zna ten obraz, wyszedł spod pędzla malarza, którego zawsze wielbiła. Patrzy na obleśnego alfonsa, który przywłaszczył sobie nazwisko wielkiego artysty. Schiele. Szumowina w drogim garniturze, gotów dać swojemu bulterierowi zielone światło. *Zrób z nią, co chcesz*, powie do śmierzącego typu, który ją obezwładnił. Albo każe Gonzowi warować i wysłucha, co Blum ma mu do powiedzenia. *Schiele zna właściwych ludzi*, powiedziała Ina. *Załatwi wszystko, czego potrzebujesz*. Alfons zastanawia się pewnie, po co tu przyszła, dlaczego się go nie boi. *Jak się nazywasz?*, pyta. Blum milczy.

Brünhilde Blum. Nazwisko, którego nie może już nosić. Ostatnia pamiątka z życia, które nie wróci. *Potrzebuję paszportów, dla siebie i dwóch córeczek*, mówi. *Pomożesz mi*. To nie pytanie, tylko żądanie. Nie waha się, nie myśli o tym, że Schiele może ją wyśmiać i wyrzucić za drzwi, że bulterier za jej plecami może mocniej zacisnąć szczękę. Jej twarz jasno i dobitnie wyraża, czego od niego chce.

Schiele się zastanawia, Blum widzi to w jego oczach. Każda inna na jej

miejscu już by leżała na podłodze, a potem upokorzona wyczołgała się z gabinetu. Ale nie ona. Ta kobieta sprawia wrażenie, jakby nic nie mogło jej zranić, jakby się niczego nie bała. Nawet nie drgnie, nie próbuje się wyzwolić z opasujących ją ramion. Mówi. *Potrzebuję paszportów. Koniecznie.* Blum widzi, jak wzbiera w nim ciekawość, w ciszy niemal słyszy jego myśli. Schiele próbuje zrozumieć, co się tu dzieje. Egon Schiele, właściciel klubu z sauną w dawnej fabryczce. Biała koszula, krótkie włosy, drogi zegarek na rękę. Zaciąga się papierosem, wydaje się zaintrygowany. Jeszcze się waha.

To gruba ryba, opowiadała Ina. *Ma wpływy.* Mówiła niemal z bojaźnią. Powiedziała, że chciałaby dla niego pracować. *To nowy król dzielnicy, pierwszy od dawna Niemiec, który tu pociąga za sznurki. Jest czarujący,* powiedziała. *Mimo to bądź ostrożna. W moim świecie siniaki to chleb powszedni.* Lecz Blum nie dała się odwieść od swojego zamiaru. Poprosiła Inę, by przypilnowała dziewczynkę. *Przez godzinkę, może dwie. Nie mogę ich zabrać ze sobą.* Błagała tak długo, aż Ina powiedziała „tak”. Wzięła pieniądze, które Blum jej wcisnęła do ręki, i włączyła dziewczynkom telewizor. *Nienawidzę dzieci,* rzuciła na koniec. Lecz Uma i Nela były dzielne. *Idź, mamusiu, Ina nas popilnuje.*

Obca kobieta. Usmażyła Umie i Neli jajecznicę. Blum miała szczęście. Nie musiała odpowiadać na żadne pytania, Ina nie interesowała się, co Blum zrobiła, dlaczego potrzebuje nowych paszportów. W świecie Iny nie było żadnych zakazów. *Przyjaciele Zekiego są moimi przyjaciółmi,* powiedziała. Tylko tyle. I żeby Blum się pospieszyła, bo musi wracać na ulicę. *Masz dwie godziny, skarbie. Inaczej sprzedam twoje dzieci.* Potem włożyła sobie do ust gumę do żucia. Blum wyszła z mieszkania.

Łaskawość alfonsa jest jej ostatnią nadzieją. Od jego decyzji zależy, czy Blum zacznie nowe życie. Czuje się, jakby stała na scenie. Albo na planie kiepskiego filmu. Oświetla ją czerwona żarówka. Schiele powoli podnosi głowę i niemal niewidocznym skinieniem mówi Gonzowi, co ma zrobić. Ma

jej wyjaśnić, że w tym pokoju to on decyduje. Schiele chce jej pokazać, że jeśli będzie miał taki kaprys, może to zrobić. Zadać jej ból. Na chwilę spuszcza swojego bulteriera ze smyczy. Blum nie może się bronić. Gonzo rzuca ją na plecy, zdiera z niej bluzkę. Schiele patrzy na nią lubieżnie.

– Masz piękne piersi.

– Powiedz mu, żeby mnie nie dotykał. Natychmiast.

– Piersi są ważne w tej branży. To najlepsza reklama. Ty mogłabyś zarobić niezłe pieniądze, naprawdę.

– Jeśli ten śmierdziel nie zabierze łap, pożałujesz.

– Dzika kotka pokazuje pazurki? Tym lepiej, lubię takie. Ale jeśli chcesz mojej rady, to przydałoby ci się więcej pokory. Zdaje się, że w twoim położeniu nie za bardzo wypada stawiać żądania, nie uważasz? Jeśli mi zaraz nie powiesz, kim jesteś i czego naprawdę ode mnie chcesz, Gonzo z przyjemnością się z tobą zabawi. Musisz wiedzieć, że od dawna nie miał kobiety, bo tutejsze panie mu nie odpowiadają. Nasz Gonzo jest szalenie wybredny.

– Powiedz mu, żeby mnie puścił.

– Niby dlaczego miałbym to zrobić?

– Potrzebuję tylko paszportów. Nie chcę od ciebie nic więcej, tylko paszportów, dla mnie i moich dzieci. Potem zniknę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

– Masz pieniądze?

– Nie.

– Kpisz sobie? To jakaś „Ukryta kamera”? Czy ty w ogóle wiesz, co to za miejsce?

– Zapłacę później.

– To nie bank, tylko burdel.

– Proszę.

– „Proszę” nie wystarczy. Zabierz ją, Gonzo.

– Błagam cię, zrobię dla ciebie wszystko, tylko mi pomóż.

– Więc o to chodzi. Chcesz dla mnie pracować?

– Nie.

– W porządku. Gonzo cię sprawdzi, potem pogadamy.

– Nie chcę dla ciebie pracować.

– Ależ to byłby świetny pomysł. Muszę przyznać, że mi się podobasz.

Nawet bardzo. Moje panienki zzielenieją z zazdrości.

– Powiedziałam „nie”.

– Ale dlaczego? Zdaje się, że w twojej sytuacji to byłoby świetne wyjście. Nie masz mieszkania, pieniędzy, dokumentów. Mam rację? A tu możesz łatwo i przyjemnie zarobić kupę kasy.

– Masz mi tylko załatwić te pieprzone paszporty, nic więcej.

– A co niby miałyby mnie skłonić do tego, żeby ci pomóc, hmm? Nie licząc twoich śliczniutkich piersi, ma się rozumieć.

– Zapłacę ci. Co do centa.

– Mój czas jest cenny. Albo mi powiesz, jak sobie to wyobrażasz, albo ta rozmowa skończy się dla ciebie naprawdę źle.

– Spłacę cię z odsetkami.

– Musisz zaproponować coś więcej, jeśli chcesz stąd wyjść cała i zdrowa. Dużo więcej.

– Proszę.

– Wiesz, że fałszowanie dokumentów to przestępstwo?

– Wiem.

– Czyli chcesz, żebym złamał dla ciebie prawo, ale nie jesteś gotowa w zamian pójść na ulicę i dla mnie pracować? Dla mnie to żaden interes. Dlatego mówię: dość tego. Jesteś ładna, ale niestety... Jest twoja, Gonzo.

– Proszę, nie. Wysłuchaj mnie. Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Nie sądzę. Jesteś w beznadziejnej sytuacji. Nie chcesz się pieprzyć, więc co? No powiedz! Jeśli nie chcesz, żeby Gonzo wziął, co mu daję, otwórz wreszcie gębę i mów.

– Na pewno jest coś, co mogę dla ciebie zrobić.

– Niby co? Nic mi nie przychodzi do głowy. Zrób z nią, co ci się podoba, Gonzo. Zegar tyka, droga pani. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Koniec. Zabierz ją z mojego biura.

– Mogę dla ciebie kogoś zabić.

– Co takiego?

– Mogę dla ciebie kogoś zabić.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz.

– Powoli. Powiedz to jeszcze raz, głośno i wyraźnie, żeby nie było żadnych nieporozumień.

– Załatwisz mi paszporty, a ja dla ciebie kogoś zabiję. Umowa stoi?

– To jakiś żart, prawda?

– Nie, to nie jest żart.

– Oszalałaś? Co z tobą?

– Nie oszalałam. Mam dzieci.

– I to czyni z ciebie zabójcę?

– Moje córeczki liczą, że ich mama wróci z dobrą nowiną. Chcą chodzić do szkoły, mieć przyjaciół, bawić się w parku z innymi dziećmi. Chcą normalnie żyć. Dlatego tu jestem.

– Wzruszające. Mamusia zabija ludzi, żeby jej dzieciątka były szczęśliwe.

– Jeśli to konieczne...

– Wspaniale. Ale nie wydaje mi się, żebyś była w stanie to zrobić.

– Mylisz się.

– Cudownie. Wybacz, że się śmieję, ale chyba nie wiesz, o czym mówisz? Wiesz, co to znaczy zabić człowieka?

– Wiem.

– Weźmy takiego Gonza. Zastrzeliłabyś go, gdybym ci dał do ręki pistolet? Zrobiłabyś to? Odstrzeliłabyś tego jurnego byczka?

– Tak, jeśli w zamian dostanę te pieprzone paszporty.

– Słowa, słowa, słowa. W takim razie muszę sięgnąć do szuflady i dać ci ten piękny pistolet. Dostałem go od ojca. Prawdziwe dzieło sztuki. Tylko ostrożnie, jest odbezpieczony.

– Powiedz mu, żeby mnie puścił.

– Okej. Gonzo, puść panią. Jak ma strzelić, kiedy ją tak przygniatasz?

– To znaczy, że mi pomożesz?

– Chwileczkę, nie tak szybko. Najpierw się muszę przekonać, że można cię traktować poważnie. Gonzo, na miejsce. Musisz wiedzieć, moja droga, że to mój najlepszy człowiek. Nie najbystrzejszy, ale absolutnie posłuszny. Dlatego nie ucieknie ani nie strzeli pierwszy. Prawda, Gonzo? Pani może spokojnie celować. No już, to twoja ostatnia szansa.

– Jeśli go zabiję, dostanę paszporty, tak? Umowa stoi?

– Stoi.

5

Na chwilę wszystko znika. Schiele, Gonzo, broń w jej dłoni. Celując do niego, Blum słyszy dziewczynki. Umę i Nelę, jak mówią do różowej Iny. *Nie możesz nas zostawić samych. Boimy się. Nie wychodź, Ino.* Lecz Ina musi pracować, nie może dłużej czekać. Blum się spóźnia, nikt nie wie, co się stało, kiedy wróci. Ina musi coś zrobić, nie chce, żeby problemy Blum stały się jej problemem, musi się jak najszybciej pozbyć dwójki siedzących na jej kanapie obcych dziewczynek. I robi to, jeśli Blum się nie pośpieszy i nie naciśnie spustu.

Blum widzi to. Jak Ina idzie do Davidwache i żegna się z nimi. Uma i Nela wchodzą do środka i opowiadają policjantom, co się stało. Że przyprowadziła je pani w różowym, że były w Norwegii i że ich mama nazywa się Blum. *Brünhilde Blum.* Że ma zakład pogrzebowy i myje zmarłych. Policjanci uważnie ich wysłuchają, przyniosą im sok i słodycze, zadadzą pytania. Tak to się skończy, jeśli Blum nie pociągnie za spust. Nieważne, dlaczego Schiele tego od niej zażądał, dlaczego chce, żeby ktoś zabił jego goryla, Blum nie ma wyboru. Musi skłonić Schielego, by jej pomógł, nie może się dłużej zastanawiać. Czy to, co robi, jest dobre. Zrobi to. Teraz.

Schiele się wzdrygnął. Chciał się zerwać z miejsca, lecz w ostatniej chwili się opanował. *Łał,* powiedział tylko. A potem rozsiadł się wygodnie w fotelu i patrzył z niedowierzaniem. Z mimowolnym podziwem w oczach. Nie mógł uwierzyć, że nieznajoma piękność pociągnęła za spust. *Szacunek,* powiedział. *Jestem pod wrażeniem. Tego się nie spodziewałem.* Tak jak tego, że Blum wciąż trzymała broń w dłoni, że jej nie rzuciła, nie odłożyła. Bo w tym momencie było jej wszystko jedno. Nie obchodziło jej, czy Gonzo żyje. Wiedziała, że jeśli umrze, Schiele jej pomoże. Dlatego naciska spust

jeszcze raz. I znowu.

Ale nic się nie dzieje. Z lufy nie wylatuje kula. Gonzo nie upada, nie krwawi, nie krzyczy, nie umiera. Stoi i zanosi się śmiechem, z jego ust dobywa się rechot. Patrzy pożądliwie na stojącą przed nim półnągą Blum. Jest bezbronna, odbiera jej mowę. Wyjmuje jej broń z ręki, znów ją unieruchamia, chce ją ukarać za to, że była gotowa go zabić. Chociaż wiedział, że broń nie była nabita, to na myśl o tym, że mógł paść martwy, wzbiera w nim wściekłość. *Ty pieprzona dziwko, ryczy. Jesteś moja.* Wykręca jej rękę. Blum krzyczy, chce się uwolnić, nie wie, jak się ustrzec przed tym, co nieuchronne. *Zrobiłam, czego chciałeś,* krzyczy. *To prawda,* odpowiada Schiele. *Zdałaś test.*

Blum nie może uwierzyć w to, co się dzieje. Schiele skinieniem głowy nakazuje bulterierowi ją uwolnić. *Puść ją, Gonzo.* Schiele nie znosi sprzeciwu. Każe Gonzowi wyjść z gabinetu. *Sam się nią zajmę,* mówi. I Gonzo wychodzi. Niechętnie zamyka za sobą drzwi. Blum się uspokaja. Chwyta poły rozerwanej bluzki, próbuje się okryć. Nagle zostają z Schielem sami. *Nie bój się, nic ci nie zrobię,* mówi sutener. *Muszę jak najszybciej wracać do dzieci,* odpowiada Blum. Schiele kiwa głową, wstaje, zdejmuje marynarkę i okrywa nią Blum. Żeby nie zmarzła. Jest miły, z uśmiechem nalewa do szklaneczki alkohol. *Czterdziestoletni rum,* mówi. *Wypij to. Potem zajmiemy się twoją sprawą.*

Zmienia się nie do poznania. Jakby ktoś go podmienił. W jednej chwili kończą się groźby. Jakby ktoś mu szepnął na ucho, że Blum to klacz, która wygra następny wyścig. Blum chce wierzyć, że jest miłą odmianą w jego życiu, babką z jajami. Widzi błysk w jego oku, lecz stara się wziąć go za dobrą monetę. Słyszy pytania. *Ile lat mają twoje dzieci? To dwie dziewczynki, prawda?* Blum nie odpowiada. *Jesteś z Austrii, mam rację?* Ogarnia ją panika. Słyszy, co Schiele mówi, i czuje, jak opada ją strach, zalewa ją fala przerażenia. *Wiedziałem, że skądś znam tę twarz.* Schiele uśmiecha się krzywo. Obejmuje ją od tyłu, całuje w kark.

6

Blum schodzi na dół. Siada na miejscu pasażera. Jedzie porsche Schielego przez miasto. *Nie martw się*, powiedział i sięgnął po telefon. Dwie minuty później wiedział, gdzie są Uma i Nela, że Ina wciąż jest w mieszkaniu i czeka na powrót Blum. *Wszystko jest w porządku, dzieci czują się dobrze*. Uśmiechnął się przyjaźnie i zaczął opowiadać o Hamburgu.

Ani słowem nie wspomniał o tym, co się wydarzyło. O nic nie pytał, powściągnął ciekawość, zachowywał się tak, jakby Blum była zwykłym gościem, którego podjął w swym gabinecie. Ani słowa o jej przeszłości, o ludziach, których zabiła, o tym, że jest poszukiwana, że od kilku miesięcy ucieka. Że ją rozpoznał, że śledził jej historię w mediach, że jest nią zafascynowany. Milczy. Pocałunek w kark miał jej uzmysłować, że ma ją w garści. Że ją przejrzał i wie, kim jest. Subtelna aluzja, jego usta na jej skórze, przez sekundę, nie dłużej. Dał jej do zrozumienia, że może z nią zrobić, co zechce. *Zrobię coś dla ciebie, a ty zrobisz coś dla mnie. Podoba mi się ten układ*, powiedział i wybuchnął śmiechem. Jakby to wszystko była jakaś gra, szalona przygoda.

Zostaniesz w wozie, mówi, kiedy są już na miejscu. Upiera się, tłumaczy, że nikt nie powinien jej widzieć, chce sam wejść na górę i zabrać dziewczynki. Egon Schiele pod obskurnym burdelem. Przystojny alfons i półnagie dziewczęta, które krzyczą do niego na powitanie. Wóz na zakazie. Blum obgryza paznokcie, wygląda przez okno. Trzy minuty, cztery. Niecierpliwi się, że trwa to tak długo. Pakowanie walizek, sprowadzenie dziewczynek na dół. Pięć minut, sześć, ma wrażenie, jakby mijały godziny. Nie spuszcza oczu z bramy. Martwi się, wyobraża sobie, że dziewczynki nie chcą z nim iść. Niemal słyszy ich płacz. W chwili, gdy ma już wyskoczyć z auta i pobiec na górę, Schiele wraca. Uma i Nela idą u jego boku,

uśmiechają się, bo mamusia siedzi w pięknym aucie, bo Schiele im powiedział, żeby wskoczyły na tylne siedzenie i że ma dla nich wspaniałą niespodziankę. Coś, co napełniło ich serduszka prawdziwym szczęściem. *Nowy dom*, powiedział.

Blum i Schiele. Zamiast użyć siły, zwyczajnie ją usidlił. Zamiast zamknąć w klatce, umieścił ją w raj. Bezinteresownie i wielkodusznie, jak w bajce. Przepiękny dom nad Łabą, kryty trzcina. Stara chata rybacka pieczołowicie zamieniona w architektoniczny klejnocik. *Spodoba wam się*, powiedział. I miał rację. Zaparkował, weszli schodami na górę. Wszystko było zadbane i czyste, jak we śnie. Przeszli przez czarodziejską furtkę i z brudnej sofy Iny trafili do baśniowego ogrodu. Schiele otworzył drzwi i pokazał im dom. Był uprzejmy i miły. Świeża pościel, ręczniki, niczego nie brakowało. Blum po prostu to przyjęła, pragnęła tego. Chociaż nie rozumiała, dlaczego to zrobił, chociaż wewnętrzny głos mówił jej, że popełnia błąd, była mu wdzięczna. Próbowała sobie wmówić, że to zupełnie normalne. Ogród, piękna kuchnia, widok na rzekę, woda i światła wokół. To było jak cud, na który tak długo czekała, jak prezent, który zachwyił dziewczynki. Kłamstwo, które się w niej zagnieździło. *Rozgośćcie się, później zobaczymy, co dalej*, powiedział Schiele i położył na komodzie plik banknotów. *Ktoś z moich ludzi przywiezie wam jedzenie na kilka najbliższych dni*. Potem się pożegnał i znikł.

Od trzech dni są same. Blum i dziewczynki. Stół, przy którym siedzą rano, smarując chleb, łóżko, w którym w nocy śpią, kamienne schody na brzeg rzeki. Dzielnica willowa, mieszkanie bogaczy, tutaj nikt jej nie będzie szukał. Zbiegłej morderczynie, która wygrzewa się wśród nich na słońcu, kobiety, której zdjęcie jeszcze kilka tygodni wcześniej zajmowało czołówki gazet, potwora, który się kryje w raj. Blankenese, Treppenviertel. Do pustego domu wprowadziła się rodzina. Samotna matka, dwójka uroczych dzieci. Nikt niczego nie podejrzewa, nikt się jej nie obawia. Kiedy Blum widzi sąsiadów, kłania się grzecznie, oswaja się z miejscem, poznaje

okolicę. Jej córeczki będą tu chodzić do szkoły, a ona będzie pracować. Dzięki Schielemu.

Już po kilku dniach zaczyna czuć coś na kształt szczęścia. Bo nie myśli o tym, co przyniesie przyszłość, co będzie musiała zrobić. O tym, co obiecała. *Mogę dla ciebie kogoś zabić*, powiedziała. Szalone zdanie, które uratowało jej życie, dług, który kiedyś będzie musiała spłacić. Pamięta o nim, ale zachowuje się tak, jakby nigdy nie zawarła tej umowy. Przyjmuje wszystko, co ofiarowuje jej Schiele, nie zastanawia się nad tym, nie chce burzyć nowego, cudownego świata, szczęścia swoich córeczek. *Wiedziałyśmy, że zawieziesz nas w piękne miejsce, mamusiu*. Są wdzięczne i beztroskie. Blum wmawia sobie, że zasłużyła na to, że jej się to wszystko należy. Bo dość już przeszła. Wystarczy na całe życie. Dlatego na to pozwala. Spaceruje z dziewczynkami za rączkę wzdłuż rzeki, Uma kopie dołki w piasku. Nela chce mieć pewność, chce wiedzieć, czy tu zostaną na zawsze. W tym domu, w mieście, w kawiarni nad brzegiem rzeki, do której wchodzi.

– Jak tu pięknie, mamusiu.

– Tak, cudownie.

– Obiecuj nam, że nigdy stąd nie wyjedziemy.

– Nie mogę.

– Dlaczego, mamusiu?

– Obiecuję wam, że zrobię wszystko, żebyśmy mogły tu zostać.

Wszystko, Nelu. Ale wy też się musicie postarać.

– Dobrze, mamusiu.

– Pamiętacie, o co prosiłam?

– Tak.

– Nie możecie nikomu powiedzieć, skąd przyjechałyście.

– Dobrze, mamusiu.

– Co powiecie, gdy ktoś was spyta, gdzie wcześniej mieszkaliście?

– W Berlinie.

– Ani słowa o Rezie i dziadku. I postarajcie się wymawiać słowa tak jak ludzie, których tu spotykacie, to bardzo ważne, Nelu. Jeśli chcemy tu zostać, nie możemy nikomu zdradzić naszego sekretu.

– Nie zdradzimy, mamusiu.

– Wyobraźcie sobie, że to taka zabawa. Udajemy, że jesteśmy kimś innym.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że mamy nowy dom, pójdziecie do nowej szkoły, będziecie się inaczej nazywać.

– Jak?

– Możecie sobie same wybrać imiona.

– Suuuper! Możemy się nazywać tak, jak chcemy?

– Tak. Wybierzcie sobie imiona, które wam się podobają, a potem wypiszemy je na waszych zeszytach.

– Można tak?

– Można. Zrobimy sobie też zdjęcia do nowych paszportów. Będzie wesoło, zobaczycie.

– Ale ty też musisz sobie wymyślić nowe imię.

– Oczywiście.

– Jak chcesz się nazywać, mamusiu?

– Tak jak dziadkowa kotka.

– Marie?

– Tak. Kochacie ją, prawda?

– Tak, mamusiu. Nawet bardzo.

– Ale?

– Co się stanie z naszymi starymi imionami?

– Znikną, rozplyną się w powietrzu.

Blum bierze Nelę w ramiona i całuje. Potem Umę, która bez słowa tuli się do niej. Przeraża je to, co mówi mamusia. Nowe imiona, wielki sekret. Nie mogą nikomu powiedzieć, skąd przyjechały, kim są. *Razem damy radę,*

szepcze jej Blum do ucha.

Blum czeka, kiedy Schiele zapuka do drzwi i da jej to, co obiecał. Zjawia się następnego wieczora. Przywozi zabawki i książki dla dziewczynek. Wciąż jest miły, stara się, dba o nie, czyta dziewczynkom bajkę, prosi Blum, żeby zrobiła coś do jedzenia. Odwiedziny starego przyjaciela. Przyjaciela, który pozwoli jej spełnić obietnicę złożoną dzieciom. Ubezpieczenie, meldunek, szkoła. Kawalek papieru zdecyduje, czy Blum pozostanie na wolności. Paszporty, dokumenty, które załatwia Schiele. *Nie martw się. Podaj mi tylko wasze imiona i daty urodzin. Za dwa dni zaczniecie nowe życie*, obiecuje. Zapisuje to, co mówi Blum. Potem ją obejmuje. *Marie. Piękne imię, tak nazywała się moja matka. Dobry wybór, moja droga*. Przez chwilę trzyma ją w ramionach, czuje jej zapach. Blum mu na to pozwala, jakby byli starymi przyjaciółmi. Bo musi okazać mu wdzięczność. Cztery sekundy, potem uwalnia się z jego objęć.

Blum respektuje reguły gry. Wie, z kim ma do czynienia. Że przy jej stole siedzi potwór. Że w jej życie wkrada się śmiertelny wirus, powoli, niepozornie, z uśmiechem. Ma ochotę zetrzeć mu z twarzy ten uśmiech, ale się powstrzymuje, wie, że wystarczy jeden jego telefon i do domu wpadnie stu policjantów. Wszystko się skończy, w jednej chwili. Jeśli nie będzie robić tego, czego od niej wymaga, jeśli odtrąci jego awanse. Zniknie ten dom, szansa na nowe życie, Marie Müller, która z dwójką dzieci przyjechała z Berlina. Nie będzie jutra. Jeśli nie otworzy następnej butelki wina i nie napęli kieliszków. Bo czuje, że Schiele zostanie dłużej.

Zdjął buty, ogień trzaska w kominku. Blum siedzi obok niego. Pije. *Nie pójdę z tobą do łóżka*, mówi. *To się jeszcze okaże*, odpowiada Schiele. *Mamy czas, Marie*. Uśmiecha się do niej. *Mnóstwo czasu*.

7

Czterdzieści dwa dni w Hamburgu. Marie Müller podlewa kwiaty w ogrodzie. Jej córeczki, Emma i Katrin, bujają się na huśtawce. Chodzą do szkoły. Blum odprowadza je, odbiera po lekcjach. Pomaga im się ze wszystkim oswoić. Z nauczycielami, koleżankami, nowymi imionami. Uma i Nela naprawdę zniknęły, są tylko Emma i Katrin. Każdego dnia starają się robić to, co obiecały mamusi. *Nikommu nie zdradzimy naszego sekretu, możesz nam zaufać, mamusiu.*

Wciąż nie ma żadnych oznak zagrożenia. Schiele prezentuje się ze swojej najlepszej strony. Jest pomocny, załatwił paszporty, towarzyszy jej w urzędach. Jest przy niej, pomaga. Wszystko idzie zgodnie z planem. Blum miękko ląduje w nowym życiu, nie ma żadnych problemów. Tylko te cotygodniowe wizyty. Schiele przyjeżdża i patrzy, jak żyją, pyta, czy im czegoś nie trzeba. To, czego Blum się obawiała, nie nastąpiło. Jeszcze nie. *Mamy mnóstwo czasu, powiedział. Najpierw oswój się z nowym życiem, reszta przyjdzie sama.* Reszta, o której on nie mówi, a którą Blum wypiera. Myśl, że mógłby jej dotyczyć, że w końcu zażąda rekompensaty za to, co dla nich robi. Najważniejsze, że nie zagraża im bezpośrednio niebezpieczeństwo. Że ma dokument potwierdzający, że istnieją. Że są kimś innym.

Nazywa się Marie Müller. Ma niemiecki paszport, jest obywatelką Niemiec. Sympatyczna Marie na targu rybnym w Blankenese. Zamienia kilka słów z nauczycielką. *Dziękuję, że tak się pani troszczy o moje dziewczynki, że pomaga pani Emmie i Katrin oswoić się z nowym miejscem. Rozumie pani, co to znaczy zacząć wszystko od nowa.* Zatrzymuje się z uśmiechem przy stoisku z serami, rozmawia o hamburskiej mżawce, o starym wraku leżącym na plaży. Marie Müller jest niepozorna, zwyczajna,

niegroźna. Robi to, co inne matki, nie ma nic do ukrycia, niewiele do powiedzenia. Nie mówi o zamordowanym mężu i jego zabójcach, których znalazła i zabiła. Jednego po drugim, własnymi rękami. Jednemu rozłupała czaszkę, drugiego zastrzeliła, trzeciego spaliła. Marie Müller jest zwykłą kobietą z torbą na zakupy, kobietą, która wstaje z łóżka i wchodzi schodami na piętro swojego domu. Nową sąsiadką, która nikomu nie wadzi, która rozwiesza w ogrodzie pranie.

Idylla. Miło myśleć, że tak już zostanie. Na zawsze. Że w końcu przestaną jej szukać, że dochodzenie zostanie umorzone. Z gazet znikną jej zdjęcia, doniesienia o wynikach śledztwa, psy przestaną ją tropić. Wszystko jest nowe, nie ma przeszłości. Willi w Innsbrucku, w której się wychowała, zakładu pogrzebowego. Ani teścia, który czeka na jakiś znak życia, na jej telefon. Ale to zbyt niebezpieczne, nie może ryzykować, nie zadzwoni. Nie może wrócić do dawnego życia, choćby nie wiem jak za nim tęskniła. Nie może znów wszystkiego zaprzepaścić. Tym razem zrobi to, jak należy. Będzie mieć Schielego na oku. Nie może go denerwować, musi kontynuować grę. W razie potrzeby stanie w obronie tego, co jej się udało zbudować. Ze wszystkich sił.

Nowe życie. Przez kilka tygodni są zwykłą rodziną. Codzienna droga do szkoły, wielogodzinne wędrówki po mieście. Dziewczynki się uczą, a Blum szuka pracy. Każdego dnia odwiedza staruszka, który troszczy się o miejscowych zmarłych. Zakład Pogrzebowy Anioł. Przyciągnął ją niczym magnes. Cieszy się na samą myśl o tym, że mogłaby robić to, co najbardziej lubi. Codziennie zatrzymuje się przed witryną i patrzy. Aż któregoś dnia otwierają się drzwi. Gospodarz zaprasza nieznaną do środka.

Johann, tak się przedstawia. Dobiega siedemdziesiątki, jego żona umarła, myśli o zamknięciu zakładu. *Jestem już stary, pora opuścić scenę. Trzeba znać swój czas*, mówi. Lecz Blum roznieca w nim nadzieję. *Chętnie panu pomogę. W Berlinie przez dłuższy czas pomagałam w zakładzie pogrzebowym. Lubię tę pracę.* Mówi szczerze, z uśmiechem. Nie chce dłużej

siedzieć beczynnie. *Co do wynagrodzenia, na pewno się dogadamy, zapewnia staruszka. Niech się pan zgodzi, trzeba wpuścić trochę świeżego powietrza.* Blum chce koniecznie dostać tę pracę. Robić to, co umie najlepiej. Myć umarłych, zszywać im rany, ubierać ich, układać w trumnie. Zakład jest mały, właściciel stary, potrzebuje jej, jeśli chce dalej prowadzić interes. Blum nie będzie się rzucać w oczy, będzie się trzymać w cieniu, zajmować umarłymi, przygotowywać ich do pożegnania przy otwartej trumnie. Znow będzie mogła pracować. Jeśli Johann powie „tak”. I w końcu to mówi. *Jesteś uparta, i to mi się w tobie podoba. Jak dla mnie ta łajba może jeszcze trochę popływać. Witam na pokładzie, Marie.*

Pokazuje jej wszystko, daje klucze. Zafascynowany patrzy, jak przygotowuje pierwsze ciało. Jej profesjonalizm i ludzkie podejście robią na nim ogromne wrażenie. *Zupełnie, jakbyś przez całe życie nie robiła niczego innego,* mówi ze śmiechem. Jest przeszczęśliwy. Następnego ranka Marie odprowadza dziewczynki do szkoły i przed południem znika w zakładzie. Pracuje na czarno. Od początku czuje się jak w domu, Johann już po tygodniu proponuje jej, by mówiła mu po imieniu, ściska ją na powitanie i pożegnanie, od czasu do czasu wypijają razem kieliszek wina. *Za zmarłych,* mówi staruszek. *Za życie,* odpowiada Marie.

Blum znow cieszy się życiem. Chociaż w głębi duszy obawia się, że Schiele w każdej chwili może jej wszystko odebrać, na razie panuje spokój. Kiedy rano otwiera oczy, nie czuje nowych ran, widzi twarzyczki dziewczynek. Patrzy na nie, czeka, aż się obudzą, aż ich głosiki zapewnią ją, że mamusia nie musi się niczym martwić. W Hamburgu zaczyna się kolejny dzień ich nowego życia. Bierze je w ramiona i całuje. Potem śniadanie, szkoła, zakład. W drodze do pracy wierzy, że znow ma przed sobą przyszłość.

8

- Gdzie jest Johann?
- Niestety jest chory, ale na pewno niedługo stanie na nogi. Tymczasem go zastępuję. Nazywam się Marie Müller. Czym mogę służyć?
- Muszę z nim pilnie pomówić.
- Jak wspomniałam, jest chory, ale jestem wprowadzona w sprawy zakładu. Chętnie panu pomogę.
- Jest pani nowa?
- Tak.
- To delikatna sprawa.
- Jestem pewna, że znajdziemy rozwiązanie.
- Chodzi o moją matkę.
- Proszę przyjąć wyrazy współczucia.
- Ona już cuchnie.
- Och.
- Rozkład jest bardzo zaawansowany. Musimy ją jak najszybciej pochować.
- Tak, rozumiem. Proszę usiąść, spokojnie rozważymy wszystkie możliwości, by jak najpiękniej pożegnać pana matkę.
- Już się z nią pożegnałem.
- Och, proszę tak nie mówić. Im mniej pośpiechu, tym lepiej. Dla nas, abyśmy mogli wszystko należycie przygotować, dla pana, aby mógł się pan godnie pożegnać.
- Spędziłem z nią cały dzień na łodzi, myślę, że to wystarczy.
- Obawiam się, że nie rozumiem.
- Chciała jeszcze raz zobaczyć morze.
- Pana matka zmarła na łodzi?

– Nie. Niestety nie zdążyłem jej zabrać. Zasnęła w łóżku i już się nie obudziła. Ale spełniłem jej ostatnie życzenie. Ostatni raz wspólnie pożeglowaliśmy.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam. Zabrał pan martwą matkę w rejs?

– Tak.

– Zabrał pan ciało na jacht i wypłynął w morze?

– Tak.

– Gdzie teraz jest ciało pana matki?

– Przed zakładem, w samochodzie.

– Pan żartuje, prawda?

– Nie, w żadnym wypadku.

– To znaczy, że nie ma pan aktu zgonu?

– Mam. Wystawił go nasz lekarz domowy. Zadzwoiłem po niego, kiedy tylko mama umarła. Wszystko jest w najlepszym porządku.

– Niestety nie jest. Nie wolno ot tak wozić zwłok prywatnym samochodem.

– Chciałem oszczędzić Johannowi fatygi. To, co zrobiłem, nikomu nie zaszkodziło. Przeciwnie.

– W takim razie przenieśmy pana matkę do zakładu.

– Dobrze. Na imię mam Tino.

– A ja Marie.

Pomaga mu, nie zadaje pytań. Pokazuje, gdzie ma zaparkować, i przytrzymuje mu drzwi. Nie mówi, że jest szalony, że tylko wariat może przewieźć zwłoki przez pół Hamburga, wnieść je na jacht i pożegnać się z matką na morzu. Nie chce mu robić problemów, nie wspomina już, że to, co zrobił, jest sprzeczne z prawem. Liczy się tylko ta staruszka, którą ostrożnie wyjmuje z wozu, może dziewięćdziesięcioletnia, leciutka jak piórko, o łagodnej twarzy. Anna. Tino opiekował się nią aż do śmierci, mieszkali kilka kroków od Blum. Wielokrotnie mijała ich domek. Cudownie mówi o matce. Mężczyzna, który towarzyszy jej w sali przygotowań, jakby

to było coś najnaturalniejszego pod słońcem. Nie boi się, dawno zrozumiał, że matka nie otworzy już oczu, nie powie już ani słowa. Że to już tylko zimne ciało. I zapach.

Tino. Stoi obok niej. *Mogę zostać?*, pyta. Blum nie zastanawia się, mówi „tak”. Bo czuje, że tak należy. Syn, który przez długie miesiące karmił i mył matkę, a teraz rozbiera ją po raz ostatni i układa jej włosy. *Dziękuję*, mówi i zmywa sól z pomarszczonej skóry. *Mama kochała morze. Kiedyś pracowała na wielkim liniowcu.* Tino delikatnie gładzi ją po zimnym policzku. *Anna, naga na stalowym stole. Wczoraj na morzu była piękna pogoda, widzieliśmy, jak słońce znika w wodzie.* Żeglowali razem. Tino opowiada o tym ostatnim rejsie, pozwala Blum w nim uczestniczyć. Mówi, jak przytulił matkę. I jak zrobiło się ciemno. *Trzymałem ją w ramionach. Przez całą noc.*

Przez chwilę milczy, potem sięga po torbę, którą ze sobą przywiózł. Wyjmuje sukienkę, bieliznę, pończochy, jej ulubioną biżuterię. Każdy gest jest pożegnaniem. Nie drży mu ręka, gdy ją po raz ostatni ubiera. Wspomina swoje dzieciństwo. Opowiada, jak uczył się od ojca szkutnictwa, jak matka wspierała go w tym wyborze. *Powinieneś robić to, co cię czyni szczęśliwym.* Mówi, że na tym polega prawdziwa miłość. Dlatego się nią opiekował, do końca, został przy niej do śmierci. I dlatego stoi obok Blum i ostatni raz dotyka matczynej skóry, nim staruszka zniknie pod wiekiem trumny. *Stopy wody pod kilem*, mówi. Potem zamyka trumnę.

Jest przedpołudnie. Hamburg, Blankenese, Zakład Pogrzebowy Anioł. Emma i Katrin są w szkole, po Łabie suną frachtowce. *Dziękuję*, mówi mężczyzna, którego dwie godziny wcześniej poznała. Blum kiwa głową z delikatnym uśmiechem. Patrzy, jak syn płacze przy trumnie matki. Cieszy się, że go poznała. Tino.

9

Pięć miesięcy, tydzień i trzy dni. Tyle czasu minęło, odkąd weszła do gabinetu Schielego i wzięła do ręki broń. Kiedy oświadczyła, że jest gotowa zabić, i tymi słowami kupiła sobie bilet do szczęścia. Minęły wieki, a Schiele nie wspomina o tym ani słowem, gdy je odwiedza, gdy zabiera ją do teatru. Rozmawiają o błahych sprawach. *Powinnaś się cieszyć życiem*, mówi. Siedzą obok siebie na widowni. Nie powiedziała „nie”. Poprosiła Tina, by popilnował dziewczynek. Kolejny raz w ciągu ostatnich miesięcy. Blum mu ufa, Tino pociesza dziewczynki, kiedy się budzą, siedzi przy ich łóżku, czyta im bajki. *Oczywiście*, odpowiada, gdy go prosi o pomoc. *Niedługo wracam*, zapewnia Marie.

Marie Müller, w czerwonej sukni, piękna towarzyszka Schielego. Spełnia jego życzenie. Bo nie ma w tym niczego, czego by się musiała obawiać. Można by niemal pomyśleć, że Schiele ją szanuje i ceni. Choć Marie tego nie rozumie. Choć to nieprawda. Dopóki nie chce od niej niczego więcej oprócz tych kilku godzin, spełnia jego życzenia. Dopóki jej nie dotyka, dopóki się trzyma na dystans, dopóki gra dżentelmena. Znikają nagie ciała, pot, dziwki w obskurnych pokojach. Jest tylko on, jej dobroczyńca. Podaje jej szampana, traktuje ją, jakby była cennym klejnotem, na który trzeba uważać. Marie Müller w drogiej sukni, którą jej kupił. Marie Müller, która siedzi z nim w Sky Barze i spogląda w dół na Landungsbrücken. Która się uśmiecha, bo wie, że on to lubi, rozmawia z nim, nie opiera się jego czarowi, który wokół niej roztacza, jego pożądaniu. Znosi to przez cały wieczór. Potem on ją odwozi do domu, żegna się przed furtką. *Mamy czas, Marie, mnóstwo czasu. Najlepsze rzeczy muszą dojrzeć*, mówi. Potem całuje ją delikatnie w czoło. A ona na to pozwala.

Jeszcze przez chwilę musi go znosić, jeszcze przez kilka minut, aż

odjedzie. Dziś również nie pyta, czy może zostać. Co będzie następnym razem? Blum wie, że już niedługo jego cierpliwość się skończy, że przyjdzie dzień, kiedy Schiele wypowie słowa, które napawają ją lękiem. Ale jeszcze nie dzisiaj. Jeszcze nie teraz. *Śpij dobrze*, powiedział. Nic więcej. Szepnął jej prosto w ucho. Blum stoi w ogrodzie i zagląda przez okno salonu. Cisza, spokój. Tino leży na kanapie. Śpi.

Blum znów staje się Marie Müller. Oddycha kilka razy głęboko i otwiera drzwi. Siada obok Tina. Mężczyzny, który jest przeciwieństwem tamtego. Który zaproponował jej pomoc, nawet przez chwilę nie oczekując niczego w zamian. Przyjaciel. Tylko tyle i aż tyle. Bo postanowiła, że już nigdy nikogo nie dopuści bliżej. Nawet jego. Choćby nie wiem jak ją pociągał. Szalony szkutnik, którego cztery tygodnie wcześniej poznała w biurze Johanna. Kocha małe żaglówki, które buduje własnymi rękami. Wszystko w nim jest niezwykle. Wszystko, co mówi, co robi. Samotnik, który pozostawioną przez matkę pustkę zapełnia Emmą i Katrin. Dziećmi, które się w nim zakochały. Bo jest dziwakiem, bo zawsze ma dla nich czas. Bo uwielbia się z nimi bawić. Jest jak chłopiec. Blum nawet przez chwilę się nie obawia, że może im z jego strony grozić niebezpieczeństwo. Wiedziała to od dnia, gdy go poznała. Że lubi dzieci. Że ich nie skrzywdzi.

- Pobudka, mój drogi.
- Och, Marie. Już jesteś? Przepraszam, zasnąłem.
- Co z dziewczynkami?
- Śpią jak susły. Tylko Emma się przebudziła, poza tym spokój.
- Dziękuję, Tino.
- Nie ma za co, zawsze do usług. Już pójdę, jutro rano wyjeżdżam.
- Napijesz się herbaty?
- Nie chcę cię fatygować.
- Wiem, Tino, ale lubię z tobą rozmawiać.
- A co z nim?
- Nic.

- Ale z nim wychodzisz.
- To mój adwokat, poniekąd.
- Mówią, że to król sutenerów.
- Wiem.
- Czego od ciebie chce?
- Mam u niego dług.
- Potrzebujesz pieniędzy?
- Nie.
- Więc o co chodzi?
- Nie martw się, proszę. Poradzę sobie, jestem dużą dziewczynką.
- Jeśli potrzebujesz pomocy, powiedz. Pomogę ci.
- Wiem i jestem ci za to ogromnie wdzięczna. Ale nie mówmy już o tym. Porozmawiajmy o czymś przyjemnym.
- O twojej sukni?
- Na przykład.
- Jest okropna.
- Kupił ją Schiele.
- Pozwalasz mu się ubierać? Myślałem, że jesteś dużą dziewczynką.
- Mieliśmy zmienić temat. Opowiedz lepiej, co z Emmą. Znowu płakała?
- Obudziła się i nie mogła zasnąć. Usiadła obok mnie na kanapie. Świetnie się bawiliśmy.
- Wyobrażam sobie.
- Zdradziła mi sekret. Powiedziała, że tak naprawdę nie nazywa się Emma.
- Naprawdę? Niesamowite. Ona uwielbia takie historie.
- Podobno Emma to pseudonim.
- A jak się nazywa naprawdę?
- Tego mi nie zdradziła. To tajemnica.
- Zwariowane dziecko. Nie do wiary, co też jej czasem przychodzi do

głowy.

– Masz cudowne dzieci, Marie.

– Wiem.

– Są podobne do ciebie.

– Umówiliśmy się, że nie będziesz ze mną flirtował.

– A flirtowałem?

– Owszem. I nie patrz tak na mnie.

– Jak chcesz. Ale nie mów, że nie próbowałem.

– Uwielbiam cię, Tino.

– Byłbym zapomniał. Obiecałem dziewczynkom, że jutro zabiorę je na żaglówkę. Masz coś przeciwko temu?

– A mnie też zabierzesz?

– Pod warunkiem, że nie włożysz tej sukni.

Śmieją się, przekomarzają, piją herbatę. Blum lubi z nim spędzać czas. Przy nim wszystko wydaje się łatwe. Na wszystko się znajdzie recepta, wystarczy go spytać. Jest jak ciepły deszcz. Blum nie boi się, że mógłby odkryć jej tajemnicę, że dziewczynki mogłyby się wygadać. Lubi ją, ale jest szalenie taktowny, cieszy się, że tu są. Marie, Emma i Katrin. Zna ich nowe imiona, które wciąż są jak obce ciało w ich życiu. Stare ukrywają, trzymają w sekrecie. Dziewczynki nawet w półśnie dotrzymują obietnicy. Emma, która kiedyś była Umą. Blum domyśla się, że mała najchętniej wyjawiałaby Tinowi całą prawdę. A jednak dotrzymała słowa.

Przeszłość pozostaje tajemnicą. Tino poznał samotną matkę, nie morderczynię. Nie narzuca się jej, nie mówi więcej o Schielem, nie wierci jej dziury w brzuchu. Wystarczyło, że poprosiła. Nie pyta, dlaczego się zadaje z tym typem, skąd go zna, czego on od niej chce. Nie domaga się odpowiedzi. Po prostu jest. Siedzi obok niej, rozbawia ją do łez. Prawie jak Reza. Blum ma jego twarz przed oczami, gdy Tino opowiada o łodzi, którą właśnie buduje.

Reza. Imię, które rozdziera jej duszę, ilekroć wypowiada je w myślach.

Przez wiele lat pracownik jej zakładu, potem przyjaciel, długo po śmierci Marka jej kochanek, człowiek, który pomagał jej zabijać i pozbywać się zwłok. Zrobił dla niej wszystko, został przy niej do końca, pomógł jej uciec i sam dał się zamknąć. Za nią. Znają się od dziewięciu lat. To o nim myśli, patrząc na Tina. To z nim chciałaby siedzieć, rozmawiać przez całą noc. Wciąż jest jej bliższy, niż kiedykolwiek mógłby być Tino. Dużo bliższy. To on powinien ją trzymać w ramionach, leżeć przy niej w milczeniu. Szeptać jej, że tak będzie już zawsze, że nie musi się już niczego obawiać. Głos Rezy. Tak bardzo za nim tęskni. Zastanawia się, co by teraz powiedział. Odżywają wspomnienia. Blum nie może się im oprzeć, nie znajduje guzika, który mógłby wszystko wyłączyć. Bo te myśli sprawiają ból. Bo za nim tęskni.

Tino to czuje. Widzi, że coś się zmieniło, że Blum chce zostać sama, że jej myśli odleciały daleko. Wstaje. *Już późno, mówi. Dzwon, kiedy tylko będziesz mnie potrzebować.* Blum odpowiada uśmiechem, który gaśnie, gdy tylko Tino wychodzi. Zalewa ją fala wyrzutów sumienia. Zniszczyła Rezie życie, wciągnęła go w swoje sprawy, a on pomógł jej uciec i sam został aresztowany. *Masz dzieci, musisz się nimi zaopiekować,* powiedział. Ostatni raz wziął ją w ramiona. Dwa krótkie zdania. *O mnie się nie martw. Dam sobie radę.* Odeszła, zostawiła go. I od tej pory go nie widziała.

Gasi światła. Jest późno. Mimo to długo nie może zasnąć. Leży z otwartymi oczami, pewnie tak jak on. Reza. W ciasnej celi. Widzi go. Daleko stąd, w przeszłości.

10

Niebo wciąż jest pogodne, nie widać oznak burzy, która mogłaby wszystko zniszczyć. Siedem miesięcy, trzy tygodnie i cztery dni radosnych twarzątek jej dzieci. Kiedy wdrapują się do domku na drzewie, kiedy zbierają ślimaki i urządzają wyścigi. Wszystko układa się doskonale. Pracuje w zakładzie, Johann cieszy się, że spotkał Marie. Miasto jest piękne. A mimo to Blum wie, że to nie będzie trwać wiecznie. Każdego dnia towarzyszy jej ten podskórny lęk. Że Schiele położy temu wszystkiemu kres. Albo że ktoś rozpozna ją na ulicy. Ktoś, kto doprowadzi ją do upadku, uważny obywatel, który sobie przypomni twarz morderczyni. Wystarczyłby cień podejrzenia i wszystko ległoby w gruzach. Podobieństwo, które ktoś by dostrzegł w jej twarzy, nieopatrznie wypowiedziane słowo, spojrzenie. Choćby nie wiem, jak się starała, kiedyś to nastąpi. Że postawią ją pod pręgierzem. Pozbawią tego wszystkiego. Bo sen o szczęśliwym życiu nie może trwać wiecznie.

Każdego dnia potajemnie wraca do przeszłości. Szuka w Internecie zdjęć Innsbrucka, swojego domu, Karla, cmentarza, na którym znaleziono kawałki ciała. Surfuje po sieci, sprawdza, czy nic się nie wydarzyło, czy są jakieś nowiny, czy kłamstwo, w którym obecnie żyje, nie wyszło na jaw. W końcu znajduje coś, co wstrząsa jej światem. To była tylko kwestia czasu. Prawie to przeoczyła. Z ciekawości wchodzi na stronę, przegląda zdjęcia niedawno zmarłych. Jeszcze łyk kawy i nagle staje jej przed oczami znajoma twarz, fotografia starszego mężczyzny. Zwykła śmierć, zwykły nekrolog. Karl. *Z miłością i wdzięcznością wspominamy...*

Wróć. To ostatnie słowo, jakie wtedy do niego wypowiedziała. Później jeszcze raz zatelefonowała, siedząc na brzegu morza, z Norwegii. Potem wrzuciła komórkę do wody. Nie chciała na niego ściągać kłopotów. Już dość

przez nią przeszedł. Chociaż bardzo pragnęła z nim pozostać w kontakcie, nie zadzwoniła więcej. Nie chciała, by go uznano za jej współnika. Nie chciała popełnić błędu. Już nigdy nie zamieniła z nim słowa.

Ileż to razy opierała się pokusie. Chciała wejść do kawiarenki internetowej, którą codziennie mijala, i wysłać do niego e-mail, kupić komórkę na kartę, napisać list. Wyobrażała sobie, jak Karl siedzi w domu, powoli gaśnie. Jego smutne oczy na balkonie na drugim piętrze, samotny staruszek w fotelu bujanym. Tak bardzo chciałaby mu powiedzieć, że u niej i u dziewczynek wszystko dobrze, że są w Hamburgu, mieszkają w pięknym domku. Żeby się o nie nie martwił. Kilka słów pociechy. *U nas wszystko w porządku, Karl. Jeśli się uda, może cię odwiedzimy. Już niedługo, Karl, obiecuję.*

A teraz nie żyje. Już nigdy nie przygotowuje dziewczynkom śniadania, nie opowie im bajki. Dziadka już nie ma. Za długo zwlekała. *Odszedł od nas nagle i niespodziewanie*, napisano w nekrologu. Pewnie zawał. Zasnął i już się nie obudził. Albo upadł podczas spaceru. Bo już nie wierzył, że jeszcze kiedyś zobaczy Blum i dziewczynki. Karl. Zniknął, jak wszystko. Już tylko on ją łączył z poprzednim życiem. Jutro go pogrzebią. Przetną ostatnią nić, która łączyła ją z domem.

Pierwsze pęknięcie w murze. Wieść o śmierci Karla, smutek, który nagle znów się kładzie cieniem na jej życiu. Dziewczynki nie chcą się pogodzić z tym, że dziadek nie żyje. *Chcemy go odwiedzić, mamusiu. Chcemy, żeby dziadek się z nami bawił. Żeby nas łaskotał. Obiecał, że pójdzie z nami do zoo. Mamusiu.* Lecz mamusia potrząsa tylko głową i nie przestaje płakać, gdy wychodzą na dwór i puszczają w niebo lampiony, szepczą ostatnie życzenia. Długo leżą w trawie. Obejmują się. Aż małe świetlne punkciki znikną i dziewczynki zasną w jej ramionach.

Ciche pożegnanie. Blum zaniósła śpiące dziewczynki do łóżek. Potem przez całą noc towarzyszyły jej cyfrowe płomyki, znicze, które zapaliła w Internecie dla Karla. Otworzyła butelkę wina i usiadła przed monitorem. Opróżniała kieliszek za kieliszkiem, zapalała znicz za zniczem. Platforma żałobna, miejsce, gdzie można wyrazić smutek po śmierci kogoś bliskiego. Kliknięcie myszką i zapala się kolejny znicz. Aż alkohol uderzył jej do głowy i położyła się obok dziewczynek. A potem się obudziła.

Życie musi się toczyć dalej. Jak co dzień odprowadza dzieci do szkoły, jak każdego ranka idzie do zakładu. Dobra Marie robi wszystko, o co poprosi Johann. Pracuje, działa, próbuje sobie tłumaczyć. *Karl miał swoje lata. I piękne życie. Nawet gdybyś się z nim skontaktowała, i tak by umarł.* Wie, że nie miała wyboru, lecz za nim tęskni. Tak bardzo chciałaby go jeszcze raz objąć, powiedzieć „dziękuję”. Za wszystko, co dla niej zrobił. Karl. Znika w grobie na innsbruckim cmentarzu i zostawia ją samą. Na hamburskiej plaży.

Patrzy na statki. Nie chce z nikim rozmawiać, nikomu wyjaśniać, dlaczego się smuci. Musi unikać Tina, okłamywać go, mówić mu, że to chyba wirus, że wszystkich powalił. Nie ma ochoty żeglować, rozmawiać,

bawić się. *W przyszłym tygodniu, Tino. Musimy się wykurować.* Bo Tino natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak. Bo się martwi i chce jej pomóc. Blum trzyma go na dystans, nie chce, żeby się dowiedział o Karlu, o tym, że dziewczynki straciły dziadka. Kolejnego w ich krótkim życiu człowieka, który znika pod ziemią. Nie chce, żeby się wygadały, że straciły ojca, że widziały, jak ich tatusia potrąca czarny samochód. Nie. Bo usta dziewczynek są zamknięte, bo Blum raz jeszcze je poprosiła, by milczały. *Nikt nie może wiedzieć, że dziadek umarł. Że w ogóle miałyście dziadka.* Znowu wymogła na nich obietnicę. Następny sekret, którego muszą dochować. *Nie martw się, mamusiu. Nic nie powiemy. Nikomu.*

Wszystko spowija mrok. Dawne życie, którego nigdy nie było. Marie Müller, która siedzi na plaży, obgryzając paznokcie. Matkę, która czeka na to, by odebrać dzieci ze szkoły. Dobre dzieci, silne. Blum wie, że żąda od nich niemożliwego, wie, że wymaga od nich zbyt wiele. A jednak to robi. Bo nie ma wyboru. Jeśli chcą tu zostać, muszą kłamać. Wszystkie trzy, każdego dnia na nowo. Dopóki same nie uwierzą, że to prawda. Że to normalne. Dopóki nie zapomną. Aż zostanie im tylko Hamburg. I Schiele.

Pogrążona w żalu niemal o nim zapomniała. Od kilku dni z nim nie rozmawiała. Jest tylko ona. I dziewczynki. Nie widziała go, gdy przyjechał, nie usłyszała, gdy bezgłośnie usiadł przy niej na piasku i wyrwał ją z zamyślenia. Egon Schiele. Blum wraca do rzeczywistości. Tym razem będzie inaczej. Tym razem nie zabierze jej do teatru. Stało się to, na co czekała.

- Szukałem cię.
- No i znalazłeś.
- Dlaczego moja piękna pani nie odbiera telefonu?
- Nie jestem twoją panią.
- Dlaczego nie odbierasz?
- Jestem chora.
- W takim razie lepiej, żebyś się jak najszybciej wykurowała.

- Umarł mój teść.
- Skąd wiesz?
- Z Internetu.
- Współczuję. Chociaż i tak nie mogłaś go odwiedzić.
- Wiem. Ale to żadne pocieszenie.
- Twoje życie jest tutaj. Powinnaś to w końcu zrozumieć, Marie.
- Czego chcesz?
- Jest coś, co możesz dla mnie zrobić.
- To znaczy?
- Cichy Paul wpadł w tarapaty, na pewno słyszałaś.
- Słyszałam. Legendarny hamburski alfons ma kłopoty. Oskarżono go o handel ludźmi. W twoim fachu trzeba się liczyć z takimi komplikacjami, prawda?
- Cichy Paul to mój ojciec.
- Nie wiedziałam.
- Za dziesięć dni zaczyna się proces i wszystko wskazuje na to, że jeśli czegoś nie zrobimy, trafi za kratki.
- My?
- Tak, Marie. Jesteśmy teraz jakby rodziną, a w rodzinie trzeba sobie pomagać, kiedy ktoś wpadnie w kłopoty. Czy to nie piękne? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, dbamy o siebie nawzajem.
- Co mam zrobić?
- Nasz problem nazywa się Herbert Wagenschaub, mój wieloletni doradca podatkowy. Ma zeznawać. Tylko od niego zależy, czy mój ojciec trafi za kratki. Gdyby nie Herbert, już by go wypuścili. Żadna z naszych pań nie piśnie słówka.
- Skąd ta pewność?
- Są mądre i nie kłają ręki, która je karmi.
- W przeciwieństwie do Wagenschauba?
- Ten sukinsyn przez trzydzieści lat żył sobie jak pączek w maśle, a teraz

nagle zebrało mu się na wyrzuty sumienia. Mówi, że nie może dalej z tym żyć.

– Z czym?

– Z tym, że pomagamy kobietom stanąć na nogi. Że zapewniamy im dobre życie. Tak jak tobie, Marie. Sama najlepiej wiesz, o czym mówię, prawda?

– Czego chcesz?

– To proste. Masz zadbać, żeby nie zeznawał. Bez niego mój ojciec nie ma się czego obawiać. Nasz drogi Herbert musi zamknąć usta. Na zawsze.

– Mam go zabić?

– Nie patrz tak na mnie, Marie. Sama to zaproponowałaś. Pewnego pięknego dnia złożyłaś mi szalenie interesującą ofertę, pamiętasz?

– To było dawno. Mam nowe życie. Wszystko się ułożyło, również między nami.

– Proszę cię o przysługę, w zamian za to nowe życie, które ci podarowałem. Za to, że jesteście szczęśliwe. Zrób to dla siebie. Dla swoich dzieci.

– I potem dasz mi spokój?

– Zgodnie z umową.

– A dom?

– Możecie w nim zostać. Musisz tylko zrobić to, co mi obiecałaś.

– Nie wiem, czy mogę ci ufać.

– Byłoby z mojej strony nieludzkie, gdybym wyrzucił cię z dziećmi na ulicę, nie sądzisz?

– Byłoby.

– Jeszcze gorzej byłoby, gdyby się nagle zjawiała policja.

– Grozisz mi?

– Nie, chcę ci tylko powiedzieć, że możecie zostać tak długo, jak zechcecie. Jeśli zrobisz to, o co cię proszę. To, co mi obiecałaś, za co podarowałem ci nowe życie. Zrób to, a nie pożałujesz, Marie.

- Potrzebne mi jego pełne nazwisko, adres i zdjęcie.
- Dostarczę ci wszelkich informacji. Proponuję, żebyśmy wrócili do domu. Zrobisz nam coś do jedzenia, a ja ci wszystko dokładnie wyjaśnię. Gdzie mieszka, jakie ma przyzwyczajenia, kto go pilnuje.
- Ma ochronę?
- Boi się, więc przed domem stoi radiowóz. Ale tym nie musimy się martwić. Nikt tak naprawdę nie wierzy, że biedakowi może się przydarzyć coś złego. W końcu żyjemy w spokojnym mieście. Tutaj zwykle nie zabija się niewygodnych świadków.
- Ale tym razem będzie inaczej, prawda?
- Powiedziałbym, że to szczęśliwe zrzącenie losu. To, że się zjawiałaś, że złożyłaś mi swoją ofertę. I że nadarza się okazja, byś spłaciła swój dług. Czy mogło się lepiej ułożyć? Wyjadę w góry, a w tym czasie nasz problem zniknie. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.
- Wyjeżdżasz?
- Tak, spędzę trochę czasu w cudownym hotelu w Alpach Szwajcarskich. Koniecznie musimy tam kiedyś razem pojechać. Spodoba ci się.
- Schiele będzie miał alibi.
- Właśnie. Taki jest plan. Wrócę dopiero, gdy będzie po wszystkim. Po procesie, kiedy się uspokoi.
- Jak mam to zrobić?
- Na pewno coś wymyślisz. O ile mi wiadomo, nie obchodziłaś się ze swoimi ofiarami zbyt delikatnie, więc i tym razem nie powinnaś mieć problemów.
- Mówisz o zabójstwie. Chcesz, żebym dla ciebie kogoś zabiła.
- Nie, mówię o tym, że powinniśmy się trzymać razem. Dasz sobie radę, Marie. Zamknij oczy i zrób to. Dla ciebie to będzie spacer, zobaczysz.
- Nie chcę, żeby wszystko znów się zaczęło.
- Nikt się nie domyśli, że to ty. I to jest właśnie genialne. Nic cię z nim

nie łączy. Dla ciebie to zupełnie obcy człowiek. Nie musisz się martwić, twoje życie będzie się toczyć jak dotąd.

– Chcę to mieć na piśmie.

– Co?

– Że możemy tu zostać.

– Nie ma sprawy.

– Zaczęłam już myśleć, że to się nigdy nie zdarzy. Że mnie o to nie poprosisz.

– W życiu nic nie jest za darmo, Marie.

Schiele i Blum. Dwoje ludzi na plaży, nad nimi słońce. Rozmawiają. Wszystko wydaje się jasne. O co prosi, czego od niej oczekuje. Bez ogródek przechodzi do rzeczy. Nie ma cienia litości, wyrzutów sumienia. Wystawia jej rachunek. Blum jadła i piła, a teraz musi zapłacić. *W życiu nic nie jest za darmo, Marie.*

Do tej pory się powstrzymywał. Nie zasypywał jej pytaniami, poskramiał swoją ciekawość, dawał jej poczucie, że jest kimś więcej niż morderczynią, o której mówią w wiadomościach telewizyjnych. Zwierzęciem z zoo, bestią, którą zamknął w złotej klatce. Do tej pory wypowiedział tylko jedno zdanie. *Wiem, kim jesteś.* Poza tym milczał. Mówił tylko o sztuce, którą tak kocha, o tych wszystkich rzeczach, które chciałby jej kiedyś pokazać. O wspólnym życiu, o związku, któremu dał czas.

Jeśli to załatwisz, wszystko zostanie po staremu. Zbliżymy się do siebie, Marie. W końcu mnie polubisz. Wierzy w każde jej słowo, cokolwiek powie. Nie wątpi nawet przez chwilę, że zrobi to, o co ją prosi. *Byłoby z mojej strony nieludzkie, gdybym wyrzucił cię z dziećmi na ulicę, nie sądzisz? Zamknij oczy i zrób to. Dla ciebie to będzie spacer, zobaczysz.* Musi tylko wykonać to jedno zadanie. Przecież nie wymaga od niej niemożliwego. Musi tylko jeszcze raz wstrzymać oddech i skoczyć. Nieważne, jak głęboka jest przepaść. Nie może się zastanawiać, zadawać pytań. Musi po prostu zabić. Potem wszystko się w końcu ułoży.

12

Plac zabaw w centrum Hamburga. Emma i Katrin biegają bez troski, wspinają się, zjeżdżają, grzebią rączkami w piasku. Od pięciu dni Blum przychodzi tutaj, od pięciu dni przesiaduje na parkowej ławce i obserwuje dom, w którym mieszka Herbert Wagenschaub. Człowiek, którego ma zabić. Który właśnie wyprowadza psa, przechodzi przez ulicę. Skinieniem głowy daje znak policjantom w radiowozie, że wszystko w porządku, że zrobi rundkę po parku. Codzienny spacer z psem. Rano, w południe i wieczorem. Ta sama scena. Obok niego biegnie Suki, portugalski pies dowodny. Wagenschaub głaszcze ją, rzuca patyk i zbiera kupę.

Suki. Blum dwa dni temu spytała Wagenschauba, jak się wabi jego ulubienica. Zagadnęła go, powiedziała, że myśli nad tym, by też sobie sprawić takiego psa. Wagenschaub był bardzo miły, niczego nie podejrzewał, rozmawiał z nią, rozplýwał się nad zaletami tej rasy. Mówił, jakie to wielkie szczęście, że ją ma. Że od śmierci żony jest sam, ma tylko Suki. I że Suki uwielbia szaleć na łące, ganiać gołębice. Był zachwycony, że Blum się zainteresowała jego suczką. A teraz z uśmiechem idzie w jej stronę. Poznał ją. Matkę, która od kilku dni przychodzi z córeczkami do parku.

- Miło panią znów spotkać.
- Ja też się cieszę. Córeczki uwielbiają pańską suczkę.
- Mieszka pani w tej okolicy?
- Tak, niedawno się przeprowadziłyśmy.
- Nie chcę pani zatrzymywać.
- To żaden problem. Cieszę się, że mogę z kimś porozmawiać. Nie jest łatwo zaczynać w nowym miejscu.
- Zapewniam, że szybko się pani tu zadomowi. To jeden

z najpiękniejszych zakątków Hamburga.

– Hamburgczycy są bardzo sympatyczni, to wiele ułatwia.

– Jestem Herbert.

– A ja Marie.

– Ma pani cudowne córeczki.

– To prawda. Świetnie sobie radzą w tym całym zamieszaniu.

Przeprowadzka, nowe miasto. Prawdopodobnie znoszą to lepiej ode mnie.

– Wszystko się ułoży.

– Skoro tak pan mówi... Bardzo pan miły.

– Och, nie zawsze tak było, proszę mi wierzyć. W pewnym sensie ja też zaczynam nowe życie.

– Wspaniale. Ma pan na myśli życie zawodowe?

– Od zawsze byłem doradcą podatkowym. Ale teraz z tym koniec.

– Rozumiem.

– W sumie to piękny zawód i miałem bardzo ciekawe życie.

– Ale?

– Właśnie próbuję naprawić pewne rzeczy. Popełniłem wiele błędów.

– Ja również. Dlatego teraz muszę wiele poświęcić, żeby nasze życie mogło się jakoś toczyć. Żeby znowu nie rozczarować dzieci.

– Rozumiem, że to trudne.

– Bardzo.

– Może czasem trzeba się przełamać, żeby wyjść na prostą.

– Tak pan sądzi?

– Nie mnie dawać rady. Przecież się nawet nie znamy. Nie mam pojęcia, co się dzieje w pani życiu, co musi pani poświęcić, ale intuicja mi podpowiada, że nie powinna się pani zbyt długo zastanawiać.

– Naprawdę?

– Tak. Choćby to było nie wiem jak trudne, niech to pani po prostu zrobi.

Blum kiwa głową. Żegna się z Wagenschaubem. *Dziękuję za rozmowę*, mówi. *Dziewczynki są głodne, musimy iść*. Herbert podaje jej rękę. Jest

sympatyczny i szczerzy. Mimo to postanowiła, że go posłucha. Nie będzie się zastanawiać, nie pozwoli, by skończyło się to nowe życie, by Schiele im je odebrał. Nie będzie się wahać, zastanawiać się, czy postępuje słusznie, czy to, co zamierza, jest dobre. *Niech to pani po prostu zrobi*, powiedział. I zrobi to. Kiedy się ściemni. Kiedy Herbert wyjdzie z Suki na wieczorny spacer. Choć w tej chwili wydaje się to niewyobrażalne, Herbert Wagenschaub umrze.

Doradca podatkowy największego sutenera w Hamburgu, wieloletni wspólnik przestępcy, świadek zbrodni popełnianych w tym mieście każdego dnia. W obskurnych pokojach dzielnicy czerwonych latarni, w mieszkaniach, w eleganckim klubie Schielego. Handel żywym towarem, zmuszanie do prostytucji, gwałty. Herbert Wagenschaub przez trzydzieści lat patrzył na to i milczał. Był wiernym sługą Cichego Paula i Egon Schielego, wykrajał dla siebie kawałek tortu. Zwykły sukinsyn, nic więcej. Blum uśmiecha się do niego, a w myślach nie zostawia na nim suchej nitki. „Zasłużył na to”, myśli. Nieważne, co mówi. Nieważne, że chce zmienić swe życie. Nieważne, jak uroczy się wydaje, jak czule traktuje swoją suczkę. Nie jest w niczym lepszy od Schielego. Ani od Cichego Paula. Całe to towarzystwo to jedno bagno.

Blum zasięgnęła informacji, dowiedziała się, z kim ma do czynienia. Rozmawiała z dziewczynami z ulicy. Wie, kim naprawdę jest Schiele, co kryje się za elegancką fasadą, jak osiągnął pozycję, którą obecnie zajmuje. Syn Cichego Paula ciężko pracował na sukces. Zaczynał od zera, sprowadzał świeży towar. Uzależniał od siebie naiwne dziewczyny. Grał szalenie zakochanego i w końcu wysyłał je na ulicę. Kij i marchewka. Na początku prezenty i róże, na koniec razy i groźby. Mówią, że był w tym naprawdę dobry, rekrutował jedną dziewczynę po drugiej, szybko wyrobił sobie nazwisko i zyskał opinię godnego następcy swojego ojca. Przystojny, zawsze szarmancki i elokwentny. Ambitny i brutalny. Piękny Egon chciał coraz więcej, nie wystarczały mu obskurne burdele ojca. Jego klub

w dzielnicy przemysłowej szybko stał się mekką dla wszystkich spragnionych rozrywki. Wszystko aż łśni. Koszule i garnitury, parking, pełna dyskrecja. I kobiety, gotowe znieść wszystko. Z całego świata. Pracowały dzień i noc. A Schiele zgarniał kasę.

Księgowym był Wagenschaub. To on liczył, prał i inwestował pieniądze Pięknego Egona. Przymykał oko i udawał, że to zwykły interes. Jak każdy inny. *Nagle zebrało mu się na wyrzuty sumienia, powiedział Schiele. Nagle uznał, że to, co robimy z dziewczynami, jest nie w porządku. Po trzydziestu latach. Skończony dupek. Po tym, jak za nasze pieniądze kupił sobie dom. Zawsze traktowaliśmy go jak członka rodziny.* Herbert Wagenschaub. Zwykła szumowina. Nie sprawi jej kłopotu.

Przed snem otworzy drzwi, znów kiwnie do policjantów i pójdzie do parku. Podekscytowana Suki będzie skakać dokoła niego, pójdzie ze swym pańciem nad staw, a potem oboje znikną w małym lasku. Blum będzie tam czekać, za drzewem, z kamieniem w dłoni. Założy rękawiczki, nikt jej nie zobaczy. Podniesie kamień i uderzy Wagenschauba. Raz, drugi, trzeci, aż w końcu umrze. Herbert Wagenschaub nie wstanie. A Blum zniknie.

13

– Słucham?

– Dobrze, że odebrałaś, Marie. Zaczynałem się martwić, dzwoniłem tysiąc razy.

– Co to za numer?

– Dzwonię z hotelu, żeby nikt nas nie mógł podsłuchać.

– Czego chcesz?

– Tutaj jest tak pięknie, że się za tobą stęskniłem. Musiałem zadzwonić. Cieszę się, że cię słyszę, Marie.

– Nie mam czasu na pogawędki. Muszę położyć dziewczynki do łóżek.

– A nie zrobił tego twój nowy przyjaciel?

– O kim ty mówisz?

– O Tinie. Słyszałem, że mocno go uściskałaś przed wyjściem.

– O co ci chodzi? Skąd to wiesz? Gdzie jesteś?

– W tym cudownym szwajcarskim hotelu, o którym ci opowiadałem. Spodobałoby ci się tutaj, Marie. Strefa wellness taka, że aż zaniemówiłem. A jedzenie! Każda potrawa to czysta poezja. Gdyby to ode mnie zależało, zostałbym dłużej.

– Kazałeś mnie śledzić?

– Tak drastycznie bym tego nie sformułował. Chciałbym ci tylko przypomnieć o naszej umowie, to wszystko.

– Pamiętam, nie musisz mi przypominać.

– Czas mija tak szybko, Marie. Za dwa dni wracam. Nie uważasz, że pora się zająć rozwiązaniem naszego problemu? Wiesz, jakie to dla mnie ważne.

– Jak zapewne słyszałeś od swojego goryla Gonza, jestem właśnie tam, gdzie chciałbyś mnie widzieć. Więc przestań mnie wkurzać i pozwól mi

robić swoje.

– Jutro będzie za późno. Nie możesz popełnić błędu, Marie. Musisz to załatwić jeszcze dzisiaj.

– Nie martw się, zrobię to.

– Na pewno?

– Na pewno.

– W takim razie darz bór, najdroższa.

– Muszę kończyć.

– Jeszcze jedno, Marie.

– Co znowu?

– Nie życzę sobie, żeby ten prymitywny szkutnik kręcił się po moim domu.

– On pilnuje dziewczynek. Gdyby nie on, musiałbyś się sam zająć tą pieprzoną robotą, bo ja nie miałabym czasu na takie bzdury.

– Będziesz musiała to zorganizować inaczej, Marie. Jego noga więcej nie postanie w moim domu, rozumiesz?

– To jest moje życie, Schiele. To ja decyduję, z kim się spotykam i kogo wpuszczam do swojego salonu, nie ty.

– Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę.

– Daj sobie spokój, Schiele.

– Gdybym tylko mógł, Marie... Wstyd się przyznać, ale jestem chyba zazdrosny. Powinno ci to schlebiać, najdroższa.

– Wiesz co, Schiele? Cmoknij mnie w...

– Och, gdybym tylko mógł, Marie. Gdybym tylko mógł...

Ogarnia ją wściekłość. Rozłącza się, nie chce już słuchać jego obleśnego głosu. Nie zniesie tego ani chwili dłużej. Schiele ją dręczy, napastuje, miesza się w jej życie. Od miesięcy toleruje jego obecność, od miesięcy się powstrzymuje, robi wszystko, by mu nie powiedzieć, co o nim sądzi. Trzyma go na dystans, wyśmiewa zamiast napluć mu w twarz. *Bądź grzeczna, Marie. Nie wierzgaj, Marie. Inaczej wszystko skończy się tak*

szвидко, jak się zaczęło. Schiele nie musi tego mówić. I tak słyszy to w swojej głowie. Jego groźby. Czuje jego pożądanie, wie, że jest zdana na jego łaskę. Wścieka się, że musi robić, co jej każe. Czuje się brudna. Chociaż z nim nie sypia, chce się go pozbyć, tak żeby już nigdy nie słyszeć jego głosu. Ma ochotę zakopać telefon w ziemi. Zabić jego, nie Herberta Wagenschauba. Kamieniem, który trzyma w dłoni. Rozbić czaszkę Schielego, nie księgowego. Zatkanąć mu gębę. *Gdybym tylko mógł, Marie.* Zetrzeć mu z twarzy ten uśmieszek. Pozbyć się go, uwolnić od niego. Na zawsze.

Myśli o tym, stojąc za drzewem. Nikt jej nie widzi, nie słyszy. Suki biega po ciemnej łące. Za dwie minuty Herbert Wagenschaub będzie martwy, za dwie minuty Blum uwolni się od Schielego. W chwili, gdy jego księgowy padnie na ziemię, ona również będzie miała coś przeciwko swojemu dręczycielowi. Zlecenie zabójstwa. Jeśli ktoś kiedyś odkryje, że to ona na oczach policji zabiła głównego świadka w procesie Cichego Paula, będzie mieć Schielego w garści. *Jeśli ja trafię za kratki, to ty też.* Dlatego to zrobi. Bo nie ma wyboru, bo Uma i Nela czekają w swoim nowym domu na powrót mamusi. Blum musi być przy nich, gdy zbudzą się rano, musi im powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. *Dziadek jest szczęśliwy. Tak jak my. Mamusia robi wszystko, żeby tak już zostało. Dlatego mamusia rozbiła komuś czaszkę.*

Zrobi to. Za dwadzieścia sekund. Suki ją minie, nie zwietrzy jej, nie zaszczecka, nie ostrzeże swojego pańcia. Za dziesięć sekund Wagenschaub zrówna się z jej kryjówką. Słyszy już jego kroki, jego oddech, jeszcze chwila. Zaczeka, aż minie drzewo, Suki pobiegnie przodem. Jeszcze sekunda. Chwila, która rozstrzygnie o losach Blum. Jeden ruch, moment, głucho łupnięcie. Kamień, który uderza w głowę.

14

Zachowuje się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Nauczyła się tego doskonale. Smaruje chleb masłem, mówi im, żeby się ubrały. *Nie w sukienkę Emmo, bo pada. Musimy się pospieszyć, przestańcie się guzdrać.* Bo zaczyna się szkoła, bo znów jest jasno, bo wszystko ma być jak zwykle. Blum zachowuje się tak jak dawniej. Kiedy nie chciała czegoś widzieć, kiedy nie mogła udźwignąć ciężaru rzeczywistości, zamykała oczy. Nieważne, co się działo dokoła, ignorowała to. Tak jak teraz.

Od kilku godzin nie śpi. Całe przedpołudnie słucha wiadomości, gapi się na zegar w salonie, patrzy na przesuwane się powoli wskazówki. Mija minuta za minutą, lecz nic się nie dzieje. Ani słowa o zabójstwie w parku, o znalezionych zwłokach, skamlającym psie. Ani słowa o śmierci Herberta Wagenschauba. Tylko reporter lokalnego radia składa relację z budynku sądu. W południe pierwsza wzmianka o procesie, na który wszyscy w napięciu czekają. Cichy Paul, król sutenerów z St. Pauli, zostaje wprowadzony na salę rozpraw, siada na ławie oskarżonych. Dziewczynki wpychają sobie do buzi kluski. Bez troski bawią się jedzeniem, bo mamusia nie zwraca im uwagi. Bo mamusia patrzy na ekran telewizora.

Dzień mija niemiłosiernie powoli. Nikt nie dzwoni do drzwi, telefon milczy. Dziewczynki bawią się w ogrodzie. Blum się uspokaja. Musi stawić czoło temu, co zrobiła. I czego nie zrobiła. Jest przekonana, że postąpiła słusznie, nie miała wyboru. Cichy Paul zostanie uniewinniony, wszystko będzie dobrze. Tak sobie wmawia. Czeką. Przez cały dzień. Napięcie jest nie do zniesienia. Aż boli. Wkrótce zapadnie wyrok. Może wtedy, gdy pójdzie z dziewczynkami do łazienki, kiedy będą myć ząbki, kiedy je położy do łóżka. Wszystko ma się toczyć jak zwykle, żeby nie spostrzegły, że coś jest nie tak, że mamusia się martwi. Blum ukrywa to przed nimi, stara się ile sił.

Niecierpliwie leży przy nich i czeka, aż zasną, chce wrócić do salonu, usiąść przed telewizorem, czekać na koniec świata. Bo wie, że popełniła błąd. Ogromny błąd.

Pije. I w końcu to słyszy. Podekscytowana reporterka mówi o sensacji, o bezprecedensowym procesie, który zakończył się spektakularnym wyrokiem. Nikt się tego nie spodziewał, Blum czuje, jakby ktoś ją kopnął w żołądek. Widzi na ekranie telewizora wypikselowaną twarz. Człowieka, który powinien być martwy. Herberta Wagenschauba, świadka, który obciążył Cichego Paula. Otaczają go kamery, wszyscy chcą mieć jego oświadczenie. Jeden z przestępców zaczął mówić, tego jeszcze nie było! Zeznawał przez kilka godzin. Opowiadał o handlu ludźmi, o tym, co jego wspólnicy robili kobietom, do czego je zmuszali, jak je uzależniali, wykorzystywali, krzywdzili. Składa szczegółowe zeznanie. Zeznanie, które zaprowadzi Cichego Paula za kratki. Cztery lata więzienia dla żywej legendy St. Pauli.

Blum drży. Myśli o ostatniej nocy. O tym, jak ją minął. I poszedł dalej, nie obejrzał się, niczego nie zauważył. Nie widział kamienia w jej dłoni, nie poczuł go na swej skroni. Bo Blum w ostatniej chwili zaciągnęła hamulec, bo nie była w stanie się przemóc, bo nie zniosłaby widoku krwi. Obrazu martwego mężczyzny na ziemi. Przeraziła się. Bo w jednej chwili znów stała się bestią. Czująca matka dwóch cudownych dziewczynek przeistoczyła się w morderczynię. W bezwzględna kobietę, której sama się przestraszyła. Przez chwilę poczuła wstręt. I strach. Przed samą sobą.

Dlatego pozwoliła mu odejść. Wstrzymała oddech, aby jej nie usłyszał, aby pies nie zaszczekał. Stała jak słup. I Herbert Wagenschaub zniknął jej z oczu. Wtedy upuściła kamień. Ciche stuknięcie, trzask złamanej gałązki. Przyjemny wieczorny spacer. Wagenschaub wrócił do domu, zasnął. A następnego dnia opowiedział swoją historię. W sali rozpraw. Wokół twarze żądnych sensacji pismaków. I zaskoczone oblicze Cichego Paula. Cztery lata więzienia. Blum słyszy te słowa jak echo. Cztery lata więzienia,

bo Herbert Wagenschaub przeżył. Bo Blum popełniła błąd. Błąd, którego będzie żałować. Już wkrótce.

15

Od czterech dni próbuje się do niego dodzwonić. Chce mu wszystko wyjaśnić, wynagrodzić, przeprosić. Uśmierzyć jakoś jego gniew. Chciałaby z nim pomówić, nakłamać mu, powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie. Wyjaśnić, dlaczego nie zrobiła tego, czego od niej zażądał. *Nagle zjawili się policjanci, nie puścili go samego, pewnie zwęszyli niebezpieczeństwo. Nie miałam szans, widzieli mnie. Przepraszam, Schiele. Nie chciałam, żeby twój ojciec trafił do więzienia.* Wymyśla najrozmaitsze wymówki, musi chronić siebie, dziewczynki. Musi mu wszystko jak najszybciej wyjaśnić.

Próbuje bez końca, na komórkę, do klubu. Lecz Schiele jest nieuchwytny. Nikt nie potrafi jej powiedzieć, gdzie go szukać. Blum zostaje sama ze swoim problemem. Bez przerwy myśli o tym, co Schiele robi, jak zareaguje. Pohamuje się czy raczej wścieknie? Wyobraża sobie najgorsze. Jak się wyprowadzają, jak tłumaczy dziewczynkom, że nie mogą tu zostać. To byłby koszmar, lecz nie ma na to wpływu. Bo nie miała wyboru, bo ofiara, którą musiałyby złożyć, była zbyt wielka. Jakoś sobie poradzą, znajdą schronienie. Johann i Tino z pewnością jej pomogą, jakoś to będzie. Tak sobie tłumaczy. I czuje ulgę, że tego nie zrobiła. Że nie zabiła.

Przez chwilę jest w euforii. Wierzy w to, że się od niego uwolni, że pozwoli jej odejść. Że to normalne, że nie odbiera jej telefonów, że to dobrze, że nie staje wściekły w jej progu. Może nawet pozwoli jej zostać. Tak sobie wmawia. Może wcale nie będzie tak źle. Schiele się uspokoi, Blum w inny sposób spłaci dług, coś wymyśli. Wie, że to naiwne i głupie. A mimo to pograża się w mrzonkach. Bo to lepsze niż drzeć ze strachu.

Cztery dni niepewności. A potem telefon. Spokojny, ciepły głos, żadnych wyrzutów, bez cienia gniewu. *Wpadnij, porozmawiamy. Przepraszam, że nie odbierałem, ale chyba rozumiesz, że mam tu chwilowo*

urwanie głowy. Nie martw się, Marie, znajdziemy jakieś rozwiązanie. Blum nie wierzy własnym uszom. Co za ulga! Ma odebrać dziewczynki dopiero za dwie godziny, zaraz do niego pojedzie i powie mu, jak jej przykro. Że to nie takie proste zabić człowieka. Że odda pieniądze, które jej dał, zapłaci mu czynsz za wynajem domu. Że nie chce mu być nic winna. Jest pełna nadziei. Uskrzydłona jedzie kolejką przez miasto. Jeszcze dziesięć minut i będzie na miejscu. Ułoży sobie życie na nowo.

Wszystko jest jak wtedy, gdy była tu pierwszy raz. Pod ścianą naga kobieta z szeroko rozłożonymi nogami, za biurkiem Schiele. I Gonzo, który się na nią rzuca. Na Blum. To dzieje się zbyt szybko, nie była na to przygotowana. Na Gonza, który ją obezwładnia i zasłania jej usta. Łapie ją za włosy, rzuca na podłogę, tym razem bez wahania, brutalnie. Blum nie ma szans się obronić. Wykręca jej ręce, skleja je za plecami taśmą. Krępuje ją. I knebluje. Ucisza jej krzyki.

Taśma klejąca i ból. Bo wszystko się toczy inaczej, niż się spodziewała. Bo bije ją z całej siły w twarz. *Przestań wierzyć,* mówi. Jeszcze raz ciągnie ją za włosy. Unosi jej głowę i wali jej twarzą w podłogę. Nagle robi się cicho. Jest tylko ból. I jęk, który próbuje stłumić. Coś pękło, jakaś kość. Przestaje wierzyć, krzyk milknie pod taśmą, która zakleja jej usta. Nie rusza się. Byle Gonzo nie zrobił tego znowu. *Grzeczna dziewczynka. Masz się po prostu nie ruszać,* mówi i wybucha śmiechem. Bulterier czeka na pańcia. Schiele wstaje, podchodzi do kominka, wyjmuje z płomieni stempel do znakowania bydła.

Blum nie spuszcza z niego oczu. Leży bezbronna na podłodze. Wie, co się za chwilę stanie, widziała to u jednej z kobiet. Zagotowało się w niej, gdy zrozumiała, co Schiele jej zrobił. Że w ten sposób oznaczył swą własność. Wypalił piętno, które do końca życia miało jej przypominać, kto ją karmi, kto ją utrzymuje przy życiu. Jak bydło na łące, konie, które dla niego biegają po torze. Znak na skórze, która zawsze już będzie należeć do niego. Egon Schiele. Na szyi dziewczyny widniał jego podpis, znak właściciela.

Prostokąt, w środku imię i nazwisko, jak na obrazie, który wisi na ścianie.

Rozżarzone żelazo. Schiele podnosi je w górę, pokazuje jej, co ją czeka. *Zrobił to dla mnie pewien kowal w Polsce, zachwała. Ręczna robota. Dobre narzędzie to podstawa, Marie. Obojgu nam zależy, żeby ładnie wyszło, prawda? Nikt nie chce, żeby dzieło sztuki ucierpiało przez jakiegoś partacza.* Blum słucha. A on spokojnie mówi o tym, co za chwilę nastąpi. Nieomal czule. Wyjaśnia jej, po co to robi, dlaczego czuje się zmuszony ją ukarać. Jeszcze raz wkłada stempel do ognia, obraca nim w lewo i w prawo, odwleka tę chwilę. Delektuje się tym, co ma nastąpić. *Byłem bardzo, bardzo zły, że nie dotrzymałaś umowy, Marie. Wyobrażałem sobie, jak przyciskam stempel do twojego policzka. I to mi pomogło, myśl o tym, że zadaję ci ból. Bo ty zadałaś go mnie. Bo odebrałaś mi ojca. Pozwoliłaś, by go zamknęli w klatce, jak parszywego psa. Wtrąciłaś go do więzienia, a mnie złamałaś serce. Zrozum, nie mam wyboru. Przecież muszę coś w twojej sprawie zrobić, prawda? Żebyś zapamiętała do końca życia, co zrobiłaś, Marie. A raczej czego nie zrobiłaś.*

Uśmiecha się. Blum wie, że Schiele mówi poważnie. Że nie robi tego po raz pierwszy. Że rozkoszuje się okazywaniem jej swojej władzy. Że ją prowokuje. Upokarza. *Nie możesz się poruszyć, Marie, to nam ułatwi sprawę. Jeśli drgniesz, niewykluczone, że będę zmuszony naznaczyć cię w innym miejscu. Byłoby szkoda. Bo jesteś naprawdę piękna, Marie. Nie chciałbym oszpecić najlepszej klaczki w swej stajni. Rozumiesz? Więc bądź grzeczna i się nie ruszaj. Zaraz będzie po wszystkim.*

Jest tuż-tuż. Czerwone żelazo wyjęte z ognia. Blum próbuje stłumić swój strach. Opanować drżenie zaklejonych taśmą warg. Nie porusza się, nie broni. Zamyka oczy. I czuje to. Ból i swąd spalonego mięsa. *Teraz należysz do mnie, Marie. Na zawsze.*

16

– Jestem pod wrażeniem. Wierz mi, Marie, nie wszystkie są tak dzielne jak ty.

– Proszę, przestań.

– Boli jak diabli, co? Moje dziewczęta mówią, że to straszne. A mimo to proszą o to. Niepojęte, prawda?

– Pozwól mi odejść.

– Wyobrażasz sobie? W przeciwieństwie do ciebie, większość robi to dobrowolnie. Uważają, że to cudownie należeć do rodziny. Chcą mi pokazać, że są gotowe zrobić dla mnie wszystko. Za to, że się o nie troszczę.

– To chore.

– Tak sądzisz? Daję im dom, tak jak tobie, Marie. Zrobiłem dla ciebie wszystko. Przyjąłem cię, pozwoliłem ci zacząć nowe życie. A ty? Okazałaś mi wdzięczność? Byłaś gotowa cokolwiek dla mnie poświęcić? Nie! I to mnie najbardziej smuci.

– Ten człowiek nic mi nie zrobił.

– Ale mnie, mnie zrobił, Marie. Mnie i mojemu ojcu. I to mnie skłoniło do zadania ci bólu. Choć przyszło mi to z trudem, nie widziałem innego sposobu, by ci pokazać, że podjęłaś niewłaściwą decyzję.

– Chcę stąd wyjść. Natychmiast.

– Wszystkie tak mówią. Ale niestety muszę cię rozczarować, najdroższa. Pójdiesz sobie dopiero, kiedy ci powiem. Kiedy z tobą skończymy. Odpowiednie opatrzenie rany jest bardzo ważne, przecież nie chcemy cię oszpecić, prawda? Poza tym to maść chłodząca, koi ból, więc nie powinnaś się wzbraniać. Chcemy dla ciebie dobrze, Marie.

– Muszę odebrać dziewczynki.

– Zaraz skończymy, tylko założę ci opatrunek. Jeszcze dwie minutki

i będzie po wszystkim. Naprawdę się staram, Marie. Gonzo może potwierdzić, że nie zawsze to robię. Że niektóre dziewczęta byłyby bardzo zazdrosne, gdyby widziały, że jestem dla ciebie tak delikatny.

– Ty cholerny sukinsynu.

– Mocne słowa, Marie. Mimo to postaram się być cierpliwy. I wyrozumiały, bo byłaś naprawdę dzielna. Ulżyło mi, bo nie spodziewałem się tego po kimś, kto mnie tak zawiódł.

– Jesteśmy kwita, Schiele.

– Nie łudź się, Marie.

– Masz mnie zostawić w spokoju.

– Bo inaczej co? Zabijesz mnie?

– Będziesz tego żałował, przysięgam.

– Nie bądź śmieszna, Marie. Niestety nie mogę traktować twoich gróźb poważnie. Chyba faktycznie lepiej będzie, jak wyjdiesz. Najpierw się jednak umyj, nie wypuścimy cię w takim stanie na ulicę. Masz zakrwawioną twarz. Twoje córeczki przeraziłyby się, gdyby cię zobaczyły w tym stanie.

– Ja wrócę, Schiele.

– Pomóż jej, Gonzo. *Wsadź jej głowę do wiadra. Umyj ją, powiedziałem. Głębiej, tak jest! I jeszcze raz.* W końcu wygląda jak człowiek.

– Zabiję cię, Schiele.

– Przecież to tylko woda, Marie. Wierz mi, to był tylko niewinny początek. Będziesz wspominać nasz ognisty spektakl i żałować, że na tym się nie skończyło.

– Dlaczego mi to robisz?

– *Puść ją, Gonzo. I daj jej coś przeciwbólowego, przyda jej się.*

– Pierdol się, Schiele.

Jej przedramię płonie. W głowie jakby ktoś walił młotem. Ból jest tak straszny, że prawie nie do zniesienia. Zbiega schodami, przecina parking, wypada na ulicę. Bez przerwy ogląda się za siebie, sprawdza, gdy nie goni jej Gonzo, czy Schiele naprawdę pozwolił jej odejść. Biegnie dalej, jak najdalej stąd, w dół ulicy, krok po kroku, ogląda się. Odwraca głowę, choć ma ochotę nią walić o ścianę. Aż zgaśnie światło, aż przestanie czuć. Ból, strach. Musi zatrzymać taksówkę, właśnie nadjeżdża. Musi wsiąść i odebrać dziewczynki ze szkoły. Rozpaczliwie macha rękami. *Zatrzymaj się, szepcze. Proszę.*

Rozdygotana jedzie przez miasto. Łzy płyną jej po policzkach. Tak bardzo żałuje, że nie uderzyła Wagenschauba, że upuściła kamień. To byłoby takie łatwe, oszczędziłoby jej tyle cierpienia. Wciąż czuje, jak rozpalone żelazo dotyka jej skóry, jak Schiele przyciska stempel. Pięć sekund. Żar. Pięć sekund, które wciąż trwa. Przerazenie, głuchy krzyk zaklejonych ust. I to jeszcze nie koniec. *Obiecuję ci, będzie dużo gorzej. Będziesz żałować, że na tym się nie skończyło.*

Smutna kobieta na tylnym siedzeniu. Kierowca raz po raz rzuca ukradkowe spojrzenie w lusterko. Podała mu adres szkoły. Matka, która jedzie odebrać córeczki. Może narkomanka, ma siniaki na twarzy. Być może na odwyku, bo wciąż drży. Bo połyka tabletkę. Nie popija jej wodą, po prostu połyka. *Potrzebujecie pani pomocy?*, pyta taksówkarz. *Nie*, odpowiada Blum. Za dziesięć minut rozlegnie się dzwonek, za dziesięć minut weźmie Umę i Nelę w ramiona, będzie udawać, że nic się nie stało. Zignoruje pytania dziewczynek. *Co ci się stało w rękę, mamusiu? Skaleczyłaś się w buzię? Co ci się stało, mamusiu?* Nie będzie ich niepokoić, okłamie je, jak to robiła już setki razy. Coś wymyśli. *Przewróciłam się na rowerze, ale to*

nic takiego. Wiecie, że mamusia jest strasznie niezdarna. Potem wróci z nimi do domu, weźmie więcej tabletek przeciwbólowych, zrobi dziewczynkom coś do jedzenia, włączy im telewizor. Pippi Langstrumpf. Potem się położy, odpocznie.

Może pan jechać szybciej?, prosi. Nie chce się spóźnić, nie chce, żeby dziewczynki czekały. Chce je przytulić. Zapomnieć o tym, co się stało. O Schielem. Ale nie może. *Teraz należysz do mnie*, powiedział. Schiele wróci i powie to, czego Blum od dawna się lęka. *Rozbieraj się. Jeśli nie, powiem wszystkim, kim jesteś. Rozkładaj nogi.* Tak powie. Jutro, za tydzień, za miesiąc. Już zaznaczył swoją własność, a teraz będzie z niej do woli korzystał. Zada jej jeszcze wiele cierpienia. Jeśli czegoś nie zrobi. Jeśli nie zniknie. On, nie ona.

Ucieczka nie ma sensu. Gdziekolwiek by się ukryła, znajdzie ją, sprawi, że odbiorą jej dzieci. *Okres ochronny minął*, powiedział. Dlatego musi zniknąć z jej życia. Blum musi go wymazać, sprawić, by karty jej życia znów były czyste. Tylko on zna jej tajemnicę, wie, kim jest naprawdę. Nie podzielił się z nikim tą wiedzą. *To sprawa między tobą a mną*, powiedział z uśmiechem. Nie powiedział Gonzowi, swoim gorylom, swoim dziewczynom. Nawet ojcu. To sprawa wyłącznie między nimi. Między Schielem a Blum. Ona przeżyje, on umrze. Wyobraża sobie, jak go zabija. Siedzi na tylnej kanapie taksówki, obmyśla zemstę. Jedzie do szkoły. Jeszcze dwie minuty i będzie z nimi. Jeszcze przez dwie minuty myśli o tym, jak go zabije. Zatłucze go tym żelaznym stemplem, będzie bić tak długo, aż się przestanie ruszać. Ukradnie jakiś samochód i go potrąci. Wykłuje mu nożem oczy. Żeby nie mógł na nią patrzeć. Żeby dał jej spokój. Na zawsze.

Trzyście euro. Blum wysiada. Staje na uboczu, nie chce rozmawiać z innymi matkami, nie dzisiaj. Nie chce odpowiadać na ich pytania. Chce tylko wziąć swoje córeczki za ręce i wrócić do domu. Już, za chwilę. Bo słyszy dzwonek i ze szkoły wylewa się strumień dzieci. Słyszą ich śmiechy, krzyki. Blum czeka. Widzi koleżanki Umy. I Neli. Wie, że Uma

i Nela się guzdrzą. Emma i Katrin. Jeszcze przez chwilę musi znosić ciekawskie spojrzenia, szepty, wymieniane półgłosem uwagi. Gdzie one są? Powinny już dawno wyjść. Lecz nie wychodzą. Plac jest pusty, a ich nie ma. Umy i Neli.

Blum biegnie. Wpada przez drzwi, mija korytarz. Klasa dziewczynek. Otwiera z impetem drzwi. Pusto. *Emma. Katrin.* Zaczyna krzyczeć. Ogarnia ją przerażenie. *Katrin, Emma.* Powtarza przybrane imiona. *Gdzie moje dzieci?*, krzyczy. Rzuca się biegiem w stronę idących ku niej nauczycielek. *Co się stało, pani Müller? Proszę się uspokoić. Co z pani twarzą?* Próbują jej coś tłumaczyć. *Prosiła pani, by zwolnić dziewczynki wcześniej. Podobno miała pani dziś dłużej zostać w pracy. Mamy podpisane przez panią zwolnienie. Nie ma powodów do paniki.* Blum słyszy te słowa. Padają z ust dyrektorki, która nagle się zjawia na korytarzu. *Proszę się uspokoić, proszę nie krzyczeć. Proszę, pani Müller, w ten sposób niczego nie wyjaśnimy.*

Próbują ją przytrzymać, lecz Blum się wyrywa. *Pani Müller, czy mamy wezwać dla pani karetkę? Potrzebuje pani lekarza? Nic więcej nie możemy dla pani zrobić. Pani dzieci tu nie ma.* Blum próbuje zrozumieć, co do niej mówią. Nie ma ich. *Zabrała je ta sympatyczna młoda kobieta. Przekazała nam podpisaną przez panią prośbę o zwolnienie dziewczynek. Proszę się uspokoić, pani Müller, nic się nie stało.* Lecz pani Müller potrząsa głową. Krzyczy jeszcze głośniejszym głosem niż dotąd. Biegnie przez korytarz, otwiera kolejne drzwi, bez przerwy wykrzykuje imiona swych maleństw. *Emma. Katrin.* Nie ma ich. Zniknęły. Uma i Nela.

Woźny szkolny ją obezwładnił, zatrzymał aż do przyjazdu pogotowia. Karetka, zastrzyk uspokajający i łóżko, w którym ją położono. Lekarz starannie ją zszył. Dwa szwy na lewym łuku brwiowym. *Zajmiemy się panią*, powiedział. *A jeśli chodzi o pani dzieci, to policja zrobi wszystko, co w jej mocy, za chwilę przyjdzie funkcjonariusz, by z panią porozmawiać.* Nie uwierzył w to, co mu powiedziała. Że się potknęła, że oparzenie na jej przedramieniu nic nie znaczy. Że jej dzieciom nic nie jest.

Stoi przy jej łóżku. W jego oczach maluje się współczucie. Bo wie, co oznacza to wypalone piętno, nie pierwszy raz widzi takie. Zdradza to jego spojrzenie. To, jak na nią patrzy. prostytutka, pewnie narkomanka. *Wszystko będzie dobrze*, mówi. *Biedna dziewczyna*, myśli. Blum czyta w jego myślach. Chciałby jej pomóc, wyciągnąć ją z bagna. Podczas przesłuchania wyjaśni się, kto jej to zrobił. Czy ta szalona kobieta, którą przywieziono godzinę temu, nie bredzi, czy jej dzieci naprawdę zniknęły. *Musi tu pani zostać*, mówi. Nieważne, czego ona by chciała. Nieważne, że najchętniej wyskoczyłaby z łóżka, uciekła ze szpitala. *Nie możemy pani wypuścić, zanim nie porozmawia z panią policja. Poza tym dobrze, żeby pani odpoczęła.* Lekarz wychodzi, Blum zostaje sama.

Chciałaby wyjść, ale nie może. Musi wstać, szukać dziewczynek, sprowadzić je z powrotem do domu. Nie ma czasu do stracenia. A jednak leży bezwładnie w łóżku, nafaszerowana środkami uspokajającymi i przeciwbólowymi. Nie ma siły, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Poza tym wie, że w ten sposób tylko pogorszyłaby sprawę. Musi zostać, robić, co jej każą, musi za wszelką cenę ukryć, kim naprawdę jest. Uważać na każde słowo. Nie wolno jej wzbudzać sensacji. Chociaż umiera ze strachu, że za kilka minut zostanie rozpoznana, nie będzie płakać, krzyczeć. Zachowa

spokój. Najpierw policja, później dziewczynki. Nie ma rady, inaczej się nie da. Jeśli ucieknie, będą jej szukać. Jeśli nie odpowie na ich pytania, zaczną drażnić. Dlatego będzie kłamać. Policjantka, która wchodzi do sali, musi jej uwierzyć. Młoda kobieta w mundurze, może trzydziestoletnia. Uśmiecha się, podchodzi do łóżka, siada. Blum czuje, jak wali jej serce. *Jak się pani czuje?*, pyta funkcjonariuszka. *Lepiej*, odpowiada Blum.

– Muszę pani zadać kilka pytań.

– Rozumiem.

– Wygląda na to, że przeżyła pani załamanie nerwowe.

– Tak. Przepraszam. Przeraziłam nauczycielki. Nie chciałam tego, proszę mi wierzyć. Nie wiem, co mi się stało.

– Mimo wszystko musimy porozmawiać o tym, co się zdarzyło.

– Przepraszam, coś mi się pokręciło. Mało ostatnio spałam, a to zawsze źle na mnie wpływa. Przykro mi, że narobiłam kłopotu.

– Nauczycielki mówiły, że wpadła pani w panikę.

– Mam po prostu za dużo na głowie.

– Jest pani ranna.

– Potknęłam się.

– Często to słyszę.

– Nie rozumiem.

– Może pani ze mną rozmawiać szczerze, pomogę pani.

– To bardzo miłe z pani strony, ale poradzę sobie, muszę tylko odespać, odpocząć.

– Wiem, że panią pobił.

– Kto?

– Nie musi go pani bronić. Wszystko, co pani teraz powie, zostanie między nami. Naprawdę chcę pani pomóc.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– O pani ręce.

– O mojej ręce?

- Spotkałam wiele kobiet, które przez to przeszły. Wiem, co on pani zrobił.
- Po prostu się oparzyłam.
- Lekarz, który panią opatrywał, o wszystkim mi powiedział, nie musi pani kłamać. Ten drań wypalił pani swój znak. Powinien za to odpowiedzieć, nie sądzi pani?
- Pani go zna?
- Tak, bardzo dobrze. Wiemy, do czego jest zdolny. Dlatego to takie ważne, żeby mi pani powiedziała, co się dokładnie zdarzyło. Jeśli pani ze mną porozmawia, będziemy mogli coś zrobić. Proszę pozwolić sobie pomóc.
- Nie potrzebuję pomocy.
- A co z pani dziećmi?
- A co ma być? Przesadziłam, z moimi dziećmi wszystko w porządku. Odebrała je znajoma. Tak ustaliłyśmy, tyle że zapomniałam. Bolała mnie głowa, przestraszyłam się. Przepraszam za kłopot.
- Nie musi go pani chronić.
- Nikogo nie chronię.
- On panią skrzywdził. Musi panią potwornie boleć.
- Zrobiłam to dobrowolnie.
- To też już nie raz słyszałam.
- Czego pani ode mnie chce?
- Proszę mi pomóc go zamknąć. Ten człowiek nie ma prawa przebywać na wolności.
- Nie mogę.
- Jak długo pani dla niego pracuje?
- Pół roku.
- Schiele to bandyta.
- Możliwe. Ale nie mam wyboru.
- Zawsze jest jakiś wybór.
- Nie w tym wypadku, proszę mi wierzyć.

Policjantka wstaje. Odwraca się, wychodzi z sali. To niemal cud. Blum wszystkiego się spodziewała, ale nie tego, że policja uzna ją za zwykłą prostytutkę, bezbronną kobietę zdaną na łaskę Schielego. Klaczkę z jego stajni. Blum. Mała dziwka, która się załamała psychicznie. Pobita, poparzona, upokorzona. W szpitalnej koszuli. To cud. Że chodziło im o Schielego, nie o nią. Ani słowa o domu, w którym mieszka, o zakładzie pogrzebowym, w którym pracuje. Żadnych pytań, na które nie umiałyby odpowiedzieć, które mogłyby zdemaskować jej kłamstwa. Żadnych odpowiedzi, które odkryłyby jej tajemnicę.

Blum leży otumaniona. Czuje ulgę. Musi jeszcze chwilę zaczekać, zostać w sali, potem stąd wyjdzie. Pojedzie do dziewczynek, weźmie je w ramiona. *Wszystko jest w najlepszym porządku*, powiedziała policjantce. *Dziewczynki czują się dobrze. Znajoma je odebrała*. Blum wie, że są u niego. Schiele bawi się z nią, chce jej pokazać, że ma być posłuszna, jak konik na cyrkowej arenie. Blum musi się pospieszyć, Schiele chce ją widzieć, chce, żeby do niego przyszła i błagała o przebaczenie. Dobitnie dał jej do zrozumienia, że lepiej nie zwlekać, że lepiej natychmiast robić, co każe. Bezwzględnie. Okazać bezwzględne posłuszeństwo. Blum zaraz wstanie i wszystko naprawi. Tylko jeszcze chwilę odpocznie. Zaraz pojedzie do dziewczynek. Tylko jeszcze na moment zamknie oczy. Na chwilę.

19

Śnił jej się koszmar. Kiedy się budzi, wszystko doskonale pamięta, wszystko jest takie realne. Tak jakby naprawdę się wydarzyło. Wciąż czuła ten przymus. By jechać po dziewczynki, natychmiast. Kiedy tylko zamknęła oczy, wyskoczyła z łóżka i pobiegła. Korytarzem, przez miasto, schodami na górę, do jego biura. Lecz Schielego nie było. Nie było jego obleśnego uśmiechu, tylko goryle, którzy ją zatrzymali. *Twojego pańcia nie ma. Wyjechał. Dziś już nie wróci*, powiedzieli, ściskając ją boleśnie za ramię. Blum krzyczała, machała rękami, pluła. *Gdzie moje dzieci? Powiedzcie, gdzie są moje maleństwa! Otwórzcie te przeklęte ryje i mówcie!* Lecz nikt jej nie odpowiedział. W jej śnie nie było dziewczynek. Ani Schielego. Chociaż krzyczała, szukała. Po całym mieście. Na ulicach, w burdelach, wszędzie, gdzie mógł się ukryć. Również w jego domu. Blum waliła pięściami w drzwi, lecz nikt nie otwierał. Była bezradna, zrozpaczona, wściekła. Jeszcze we śnie zaczęło do niej docierać, że ich nie znajdzie. Umy i Neli. Nigdy. Słyszała jego głos. *Teraz należysz do mnie, Marie*. Jak zdarta płyta. Szept. *Teraz należysz do mnie*. Jakby siedział tuż obok.

Schiele. Widzi go, gdy podnosi powieki. Siedzi przy jej łóżku na krześle. Słowa, które płyną z jego ust, zadają jej ból. *Nie będzie happy endu, najdroższa*. Blum ani drgnie, milczy. Bo nic by to nie dało, gdyby okazała swój gniew. Byłoby jeszcze gorzej. Opanowuje wewnętrzne wzburzenie. Nie wyskakuje z łóżka, nie rzuca mu się do gardła jak wściekły pies. W pokoju nie słychać jej ujadania. Mówi tylko on. *Musimy porozmawiać, nie sądzisz? Znaleźć rozwiązanie, które zadowoli obie strony. Nie wiem, czy dasz wiarę, ale mam genialny pomysł i chciałbym go z tobą omówić*.

Jakby nic się nie wydarzyło. Alfons odwiedza swoją dziwkę w szpitalu. Blum jest z nim sam na sam. Na stoliku róże, które jej przyniósł. Czuje ich

zapach. Kij i marchewka. Przyszedł jej powiedzieć, co dalej, więc Blum słucha. Będzie grzeczna. Wdech i wydech. *Musisz się uspokoić, Blum.* Opanowuje się siłą woli. Zaciska zęby. Póki się da.

– Co ty wyprawiasz, Marie? Martwię się o ciebie. Jak słyszałem od swoich wyjątkowo dobrze poinformowanych pracowników, przeżyłaś załamanie. Wierz mi, nie chciałem tego.

– Gdzie one są?

– Domyślam się, że mówisz o swoich dzieciach?

– One nie mają z tym nic wspólnego.

– To prawda. Mimo to uznałem, że rozsądnie będzie przez jakiś czas się nimi opiekować. Póki nie ochłoniesz. Albo, pozwól, że wyrażę to jaśniej, póki nie zrozumiesz, jak ważne są zaufanie i dotrzymywanie słowa. Mówimy o rodzinie, Marie. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Choć czasami bywa to trudne. Nie można po prostu podkulić ogona i uciec, kiedy się zrobi gorąco. Albo kiedy ci nie w smak wziąć odpowiedzialność. Musisz to zrozumieć, Marie. Dlatego tu jestem.

– Masz mnie natychmiast do nich zawieźć.

– Ach, Marie.

– Chcę z nimi porozmawiać, chcę wiedzieć, że nic im nie jest.

– Cóż, chcesz czy nie, będziesz mi musiała zaufać. Ale obiecuję ci, że zatroszczymy się o twoje maleństwa.

– Pozwól mi z nimi porozmawiać.

– Nie.

– Proszę, nie rób mi tego.

– Niestety, Marie, sama to na siebie ściągnęłaś. To tragiczne, przyznaję, ale nieuniknione. I uwierz mi, nie ma sensu ich szukać. Nie znajdziesz ich, Marie. Zobaczysz je dopiero, gdy będzie po wszystkim.

– Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

– Lubię cię, Marie. Nawet bardzo. Zresztą wiesz. Dlatego dam ci jeszcze jedną szansę. Możesz mnie przekonać, że nie rzucasz słów na wiatr.

Pamiętasz, co mówiłaś, kiedy się spotkaliśmy pierwszy raz? *Mogę dla ciebie kogoś zabić*, tak powiedziałaś. *Ty załatwisz paszporty dla mnie i moich córeczek, a ja dla ciebie kogoś zabiję*. Powiedziałaś tak, prawda? *Kogoś dla ciebie zabiję*. Pamiętasz?

– Pamiętam.

– Przyniosłem ci listę.

– Jaką listę?

– Nie jestem bezdusznym potworem, więc dam ci drugą szansę. Czy to nie cudowne, Marie?

– Pierdol się, Schiele.

– Niestety tym razem nie będzie tak łatwo. Załatwienie skruszonego Herberta byłoby spacerkiem w porównaniu z tym, co cię czeka teraz.

– Czego chcesz?

– Zabijesz wszystkich ludzi z tej listy. W sumie czterech. Nie żądam od ciebie niemożliwego.

– Nie mówisz poważnie, prawda?

– Ależ oczywiście, że mówię poważnie, Marie. Wszystko sobie dokładnie przemyślałem. Zrobimy porządek w tym chlewie.

– Jesteś szalony.

– Tu masz listę, Marie.

– Poza tym czujesz się dobrze?

– Za to cię lubię, Marie. Krnąbrna i charakterna. Tym razem załatwimy sprawę, jak należy. Bez kluczenia, wymówek, prosto z mostu. Przygotowałem wszystkie informacje, z łatwością znajdziesz tych facetów. Poza tym dwóch z nich już znasz.

– Wagenschaub?

– Owszem. Myślę, że najwyższa pora, by nasz drogi Herbert pożegnał się z tym światem. Tak jak sędzia, który skazał mojego ojca. Wierz mi, to zły człowiek. Musi też umrzeć gliniarz, który prowadził śledztwo. Od lat mi działa na nerwy.

– I kto jeszcze?

– To ci się nie spodoba, Marie. Ale uwierz mi, nie da się tego uniknąć.

– Kto, do cholery?

– Pierwszym, którego masz zabić, jest twój kochany przyjaciel. Mówiłem ci, że nie chcę, by jego noga powstała w moim domu.

– Nie.

– W przeciwnym wypadku coś złego może się przydarzyć twoim córeczkom. Jeśli tego nie zrobisz, każę je zabić. Wierz mi, nie żartuję. Gonzo nie będzie miał skrupułów. Sprawি, że małe księżniczki znikną. Wygląda więc na to, że nie masz wyboru, Marie.

– Już nigdy nikogo nie zabiję.

– Och, zabijesz. Wiem przecież, jak bardzo kochasz swoje maleństwa. Nie masz wyboru, musisz grać w naszą cudowną grę.

– Jesteś chory.

– Cóż, potraktuj to jak wyzwanie. Zwłaszcza że musisz zachować kolejność z listy. Jeśli nie, Gonzo zada ból małej Emmie. Albo Katrin. Albo jak one się nazywały wcześniej? Uma i Nela? Jestem pewien, że dziewczynki wolałyby, żebyś zrobiła to, o co cię proszę.

– Dlaczego jesteś taki okrutny?

– Nie jestem okrutny, Marie, jestem człowiekiem interesu. Zasoby należy wykorzystywać. Jeśli pozwolisz im się marnować, do niczego nie dojdiesz. Poza tym oboje wiemy, że jesteś wyjątkowo utalentowana, więc to nie powinien być problem. Tylko pamiętaj o kolejności. Pierwszy ma być twój głupkowaty przyjaciel. Potem sędzia. Potem policjant. A na końcu Wagenschaub. Nasz Herbert ma się naprawdę bać. Będzie wspaniale.

– Jesteś psychopatą.

– I kto to mówi? Wybacz, że się śmieję, ale to doprawdy paradne. Miło mi się z tobą gawędzi, jednak muszę ci przypomnieć, że zegar tyka. Dlatego lepiej wstań i się ubierz, zawiozę cię do domu. Uporasz się z listą, a wtedy dostaniesz z powrotem dziewczynki. I znów wszystko będzie dobrze. Proste,

prawda?

Blum milczy. Nie ma sensu z nim dyskutować, obrzucać go wyzwiskami. Zadała się z diabłem i teraz ponosi tego konsekwencje. Dziewczynki mogą być wszędzie. Szukanie ich na nic by się zdało. Jedyne, co może zrobić, to zachować spokój, wypisać się ze szpitala, wsiąść do samochodu Schielego i wrócić do domu. Zaparzyć mu kawę, nim wyjdzie. Grzecznie ją o to prosi, kiedy wysiada z wozu. Zachowuje się, jakby nic się nie stało, znów jest dżentelmenem. *Kiedy skończysz, wszystko będzie jak dawniej, obiecuję.* Odprowadza ją do domu. Blum milczy. Chce tylko, by wyszedł, chce zamknąć za nim drzwi, usiąść i pomyśleć. O tym, co się stanie. *Proszę, nie rób tego,* mówi. Potem podaje mu kawę. On patrzy na nią zadowolony. Uśmiecha się.

20

Wstrzymuje oddech. Nad jej głową zamyka się tafla wody. Tak bardzo chciałyby się już nigdy nie wynurzyć, zostać w tej wannie na zawsze. Bo czuje ból, na który nie pomoże żadna tabletką. Karl nie żyje. Mark nie żyje. Reza w więzieniu. Dzieci nie wiadomo gdzie. Jest sama. Choćby połknęła nie wiadomo ile tabletek, to nie pomoże. Nie wie, co robić. Czy do niego zadzwonić, co mu powiedzieć. Tino. Jedyne człowiek, który jej został. Jedyne przyjaciel. *Kiedy go zabijesz, będziesz mogła zadzwonić do dzieci. Oferta jest ważna do jutrzejszego wieczora, Marie.*

Prawie nie zmrużyła oka. Myśl o dziewczynkach nie pozwalała jej zasnąć. O tym, że są same w obcym miejscu, bez niej, bezbronnie. Że nie ma nikogo, kto by im powiedział, że wszystko będzie dobrze. Blum słyszy ich głosy. *Gdzie jest mamusia? Chcemy, żeby nas zabrała mamusia. Dlaczego jej nie ma?* Zrobiłaby wszystko, by je odzyskać. Ale wie, że nie może zrobić tego, czego od niej żąda Schiele. To niemożliwe. Zabić czterech ludzi, by uratować życie swoich dzieci. Cztery życia za dwa życia. Co za nieludzki, perwersyjny rachunek. Powiedział, że ma zrobić to, co umie, do czego ma talent. *Jeszcze raz przeczytałem artykuły na twój temat, Marie. O tym, co zrobiłaś w Austrii. Wierzę w ciebie, Marie.*

Bezradna siedziała obok niego i patrzyła, jak pije kawę. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, jakby wszystko było w porządku, jakby tylko wpadł z przyjacielską wizytą. On mówił, a ona się zastanawiała, jak się go pozbyć, raz na zawsze, tak żeby nie zaszkodzić dziewczynkom. Opowiadał, jak odnawiał ten dom, że chętnie sam by się tu wprowadził. Blum grzecznie kiwała głową, słuchała. *Ty pieprzona dziwko*, myślała o sobie z pogardą. Bo mu się nie sprzeciwiła, bo nie mogła się bronić. Schiele chciał, żeby się uśmiechnęła. *Jak długo pani dla niego pracuje?*, spytała policjantka. *Zbyt*

długo, pomyślała i dalej słuchała. *Mogło być tak pięknie, Marie. Nie uważasz?* Znów tylko kiwnęła głową. Nie chciała pogarszać sytuacji, chciała, by sobie poszedł. Musiała pomyśleć. Potrzebowała czasu. Musiała znaleźć jakieś rozwiązanie.

Ani drgnie. Leży pod wodą, póki jej starczy tchu. Raz po raz wynurza się na chwilę i znów nurkuje. Zamyka oczy, myśli o tym, czy Tino przeżyje. Czy dalej będzie budował łódzie. Prosty rachunek, którego nie chce wykonać. Życie Tina czy jej córeczek. Oblicza szanse na szczęśliwe zakończenie. Na nowe, szczęśliwe życie, którego warunkiem jest jego śmierć. Warunkiem koniecznym. Nie ma już czasu, musi iść dalej, zrobić to, czego nie zrobiła poprzednio. Złożyć Tina w ofierze, by uratować swe dzieci.

Wychodzi z wanny, wyciera się, ubiera, bierze telefon. *Muszę z tobą porozmawiać, Tino. Natychmiast. Zaraz u ciebie będę*, mówi, zbiegając po schodach. Przechodzi przez furtkę w ogrodzie, idzie do jego warsztatu. *Oczywiście, Marie. Czekam.* Blum otwiera drzwi, wpada w jego objęcia. Jej ciało drży. Wczepia się w niego, mówi mu, że ma słuchać uważnie, o nic nie pytać, że to ważne, żeby potraktował poważnie wszystko, co powie. *Od tego zależy twoje życie*, mówi błagalnie. *Przerażasz mnie*, odpowiada Tino.

Mówi mu tylko to, co najważniejsze. Okłamuje go, bo nie ma wyjścia, bo gdyby mu powiedziała prawdę, zerwałby się z miejsca i uciekł. Mówi mu tylko, że musi zniknąć, spakować rzeczy i wsiąść na łódź. *Nie wolno ci wracać, Tino. Dopiero kiedy zadzwonię i powiem, że już wszystko w porządku. Rozumiesz, Tino?* Lecz Tino nie rozumie. *To ma coś wspólnego z tym sutenerem?*, pyta. *Zaufaj mi*, odpowiada Blum i błaga go raz jeszcze, by zrobił to, o co go prosi.

Tino próbuje zrozumieć. Piękna sąsiadka prosi go, by się ukrył, zniknął. Kobieta, w której się zakochał, napawa go przerażeniem. Matka dwóch dziewczynek, którymi uwielbia się opiekować, sympatyczna pracownica zakładu pogrzebowego, która pochowała jego matkę. Marie Müller. Pyta ją,

co się dzieje, prosi, by powiedziała mu prawdę. Co się stało. Ale ona nie może tego zrobić. Pod żadnym pozorem. Mówi tylko, że zagraża mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Że jeśli chce żyć, musi zniknąć. Powtarza to bez końca, lecz on kręci głową i nie rusza się z miejsca. *Zrób to dla mnie. Musisz zniknąć. Proszę.* Lecz on stoi. *Najpierw mi powiedz, co się dzieje. Inaczej nie ruszę się z miejsca,* odpowiada.

– Jeśli zostaniesz, będę musiała cię zabić.

– Słucham?

– Oni mają moje dzieci.

– Kto?

– Jeśli cię nie zabiję, już nigdy ich nie zobaczę.

– Jesteś pijana?

– Muszę cię zabić. Jutro wieczorem masz być martwy. I będziesz, jeśli zostaniesz.

– Dziękuję, wystarczy, Marie. Przerażasz mnie.

– Wsiądź na tę cholerną łódź i uciekaj jak najdalej stąd, Tino. A ja się tu wszystkim zajmę.

– Masz mi natychmiast powiedzieć, o co tu chodzi. Co się stało z dziewczynkami? Gdzie one są? Co się tu dzieje? O czym ty mówisz?

– Popełniłam błąd, Tino, i muszę go teraz naprawić. Uwierz mi, więcej nie chcesz wiedzieć.

– Dlaczego ktoś miałby chcieć, żebyś mnie zabiła?

– Proszę, nie pytaj, tylko zrób, co ci mówię. Błagam cię.

– Chcę ci pomóc.

– Pomożesz, jeśli zrobisz to, o co cię proszę.

– To jakiś obłąd. Naprawdę myślisz, że to mi wystarczy?

– Tak. Musi.

Przyciąga go do siebie i całuje. W usta, krótko. Chce go w ten sposób skłonić, by wstał i zrobił to, czego od niego żąda. Chce, żeby to było czarodziejskie zaklęcie. Nie słowo, lecz pocałunek. Obietnica, którą mu

składa. Dotyk jej ust, cudowne uczucie, które mu ofiarowuje. Obietnica jutra. Zapewnienie, że wpuści go do swojego życia. Jeśli przestanie pytać. Jeśli zniknie. I że kiedy wróci, da mu to, czego pragnie. Pocałunek, który wszystko ułatwia. Chroni go. Zachowuje przy życiu.

21

Sala przygotowań. Johann zostawił ją samą. Był jej wdzięczny, że przyszła. Powiedziała, że jeszcze dziś zajmie się dwojgiem zmarłych z chłodni. Osiemdziesięcioczeroletnią kobietą, która popełniła samobójstwo, i mężczyzną w sile wieku. Johann jeszcze go nie złożył do trumny. Zmarł dwa dni temu. Zawał serca, upadł na środku ulicy. Bezdomny, który zebrał w okolicach ratusza, samotny mężczyzna bez rodziny, przyczyna śmierci ustalona, ciało wydane, pochówek w ziemi, na koszt miasta. Nikt go nie żegna, nikt nie chce go po raz ostatni zobaczyć.

Ale najpierw kobieta. Blum ją rozbiera, myje, znowu ubiera, zamyka jej usta, składa dłonie. Musi unieść ciało wielokrążkiem, wsunąć pod nie pasy i przenieść do trumny. Kobieta jest ciężka, ale Blum daje radę. To, co zwykle się robi we dwoje, tym razem wykonuje sama. Robi to z szacunkiem, choć wie, że ma mało czasu, że najtrudniejsze jeszcze przed nią. *Szcześliwej drogi*, mówi i odwozi kobietę z powrotem do chłodni. Jutro Johann przewiezie trumnę do sali pożegnań, zdejmie wieko i zostawi bliskich sam na sam ze zmarłą. Dotkną jej po raz ostatni, może pocałują. Ostatni raz na nią spojrzą. Na spokojną twarz starszej pani, która osiągnęła kres ziemskiej wędrówki. Pożegnanie. Łzy.

Przy wychudzonym ciele bezdomnego nikt nie zapłacze. Nie ma dzieci, przyjaciół, jest tylko Blum. *Alfons Brammer*, napisano obok daty śmierci na małej karteczce. Blum patrzy na niego, otwiera usta i mówi. *Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Muszę to zrobić, Alfonsie.* Zupełnie jakby się znali. W jej głosie słyhać wdzięczność. Potem ciągnie go za ramię, obraca na bok i zrzuca ze stołu. Głuche łupnięcie, gdy spada na posadzkę. Chwyta martwe ciało za rękę i ciągnie je przez salę. Otwiera drzwi i wlecze zwłoki korytarzem do tylnego wyjścia. Wzięła wóz Tina, kluczyki leżały na jego

biurku. Zaparkowała zaraz przy drzwiach. Jest już ciemno, nikt nie widzi, jak Blum otwiera bagażnik, podnosi bezwładne ciało, wrzuca je do środka. Przesuwa i upycha, musi się spieszyć, nie może się guzdrać, musi jak najszybciej go przykryć kocem. Zamknąć bagażnik.

Potem ziemniaki z piwnicy Tina. Przywiózł je od wuja, siedem worków. Blum bierze je z tylnego siedzenia, przenosi do sali przygotowań. Worek po worku. Trumna nie może być zbyt lekka ani zbyt ciężka. Tragarze nie mogą zauważyć niczego podejrzanego. Ot, jeszcze jedna trumna, którą muszą zawieźć na cmentarz, pogrzeb ubogiego, na którym nikt nie będzie przemawiał, nie złoży kwiatów, nikt się nie zjawi. Ziemniaki trafią do grobu, a Alfons pojedzie z Blum. Kiedy już poukłada worki w trumnie, przytwierdzi je taśmą klejącą, zamknie i przykręci wieko, a na wierzchu umieści karteczkę z nazwiskiem. Pójdzie jak z płatka, nikt niczego nie zauważy, nikomu nie przyjdzie na myśl otwierać trumnę. Blum musi jeszcze posprzątać i zamknąć zakład.

Alfons leży w bagażniku. Blum jedzie przez Blankenese, jakby to był zupełnie zwyczajny wieczór. Skręca na podjazd Tina, parkuje zaraz przy szopie. Jeszcze chwila. Niepostrzeżenie wyciąga ciało z kufra. Najszybciej jak to możliwe zaciąga je do szopy. Zapala światło, zamyka drzwi. Sąsiedzi nie zauważą niczego niezwykłego. Tino majsterkuje, jak co wieczór. Restauruje stare meble, szlifuje, zdejmuje z regału kanister z olejem lnianym i stawia go obok secesyjnej komody, którą właśnie odnawia. Kupił ją na pchlim targu i przywrócił jej dawny blask. Musi ją tylko zaolejować i cudo będzie gotowe. Przy pracy popija wino. Dużo wina. Blum stawia na blacie trzy puste butelki, obok kieliszek.

Po wszystkim Tino kładzie się wygodnie na sofie. Pijany i szczęśliwy, bo skończył komodę. Jest nieuważny, zapomina wynieść nasączone olejem szmaty na zewnątrz. Tino zaśnie, a szmaty się zapalą. Klasyczny błąd nowicjusza będzie kosztować go życie. Ogień rozprzestrzeni się błyskawicznie. Wszędzie drewno, łatwopalne rupiecie, nie będzie miał szans

uciec. Obudzi się, kiedy warsztat wypełni się gęstym dymem. Uciekając, potknie się i upadnie. I już nie wstanie. Spali się żywcem. W tym miejscu, gdzie leży Alfons. Tino umrze. Za pół godziny szopa stanie w płomieniach. Strażacy przyjadą za późno, zdołają uchronić przed ogniem sąsiednie domy, ale nie uratują biednego szkutnika. Znajdą tylko zwęglone ciało.

Blum wszystko starannie aranżuje. Zapala ogień, cierpliwie czeka, aż płomienie ogarną szmatę, wióry, kawałki drewna. Potem wychodzi. Cicho zamyka drzwi i ukradkiem przemyka do swojego domu. Szybko, bo już widać ogień. Nikogo nie spotyka po drodze. Trzy minuty i jest na miejscu. Wślizguje się do środka, idzie na górę, do sypialni, kładzie się do łóżka. Nie zapala światła. Leży i czeka. Myśli o swoich maleństwach. Niedługo usłyszy syreny. Niedługo porozmawia z Umą i Nelą. Już niedługo.

22

Przez całą noc czekała na rano. Nasłuchiwała, liczyła się z tym, że ktoś zapuka do jej drzwi. Chociaż wiedziała, że zrobiła wszystko, jak należy, bała się, że ktoś ją widział. Że po nią przyjdą. Czowała strach. I tęsknotę za znajomymi głosikami. Chciała im powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Chciała zadzwonić do Schielego, zameldować mu, że zrobiła to, czego żądał. Skłonić go, by spełnił swoją obietnicę. *Tino nie żyje. Chcę z nimi porozmawiać.* Przez całą noc wzbierało w niej to pragnienie. Lecz musiała poczekać, musiała się dowiedzieć, co się stało, kiedy wyszła z warsztatu i wróciła do domu. Czy wszystko poszło zgodnie z planem.

Starła się nie zasnąć. Tylko od czasu do czasu odpływała. Raz po raz wstawała i szła do okna. Widziała łunę na niebie. Alfons. Spłonął dla niej. Zdjęła opatrunek, posmarowała ranę maścią na oparzenia, wzięła tabletki przeciwbólowe. Kręciła się po sypialni, próbując uporządkować myśli. Zastanawiała się, co dalej, co z drugim na liście. Z sędzią. Co zrobić? Powiedzieć Schielemu, że to koniec? Spróbuje go przekonać, może się uda, jeśli zobaczy, że się dla niego poświęciła. Że naprawdę dla niego zabiła. Kilka godzin rozdarcia między nadzieją i lękiem. Aż w końcu oczy same jej się zamknęły. Zasnęła.

Na chwilę zapadła się w ciemność. Potem się zbudziła i włączyła telewizor. Siedzi wpatrzona w ekran. W wiadomościach zdjęcia z pogorzelska. Reporter mówi, że strażacy opanowali pożar, nim ogień zdążył objąć kryte trzcina dachy sąsiednich domów. Jest jedna ofiara śmiertelna. Na miejscu są już śledczy, wstępna hipoteza mówi o wypadku, zaprószeniu ognia, niefortunnym zbiegu okoliczności. Szkutnik zasnął przy pracy i zginął w płomieniach. Ogień rozprzestrzenił się zbyt szybko. To cud, że nie doszło do większej katastrofy w tej gęsto zabudowanej okolicy. Na

ekranie pojawia się zatroskana twarz reportera, w tle strażacy zabezpieczają pogorzeliisko. Nikomu nie przyszło na myśl, że wypadek może mieć drugie dno. Że ofiarą mógł być ktoś inny, nie Tino. Wszyscy mówią, że był sympatycznym człowiekiem, dobrym sąsiadem, że niedawno zmarła mu matka. Pewnie chciał utopić smutki w alkoholu. A teraz zginął w płomieniach. Wypadek. Nieszczęśliwy wypadek.

Co najmniej tydzień minie, nim się zorientują, do kogo naprawdę należało zwęglone ciało. Policja musi zidentyfikować zwłoki, porównać dane dentystyczne, zbadać DNA. Minie trochę czasu, nim rozpoczną oficjalne śledztwo w sprawie przestępstwa, nim ogłoszą światu, że to nie Tino. Blum zyskała czas. Na to, by znaleźć dziewczynki. Zamydliła Schielemu oczy, przekonała go, że jest gotowa zrobić dla niego wszystko.

Naciska klawisz, wyłącza telewizor. Bierze prysznic, pije kawę, wrzuca coś na ząb. Spokojnie rozmawia z nauczycielką, która zadzwoniła, by spytać, czy wszystko w porządku. *Z dziewczynkami wszystko dobrze*, odpowiada. Potem przeprosza za swoje zachowanie, prosi o wybaczenie i obiecuje, że to się już nie powtórzy. *Sama nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Dziewczynki niedługo wrócą do szkoły*. Prosi o wyrozumiałość, mówi, że chce z nimi na kilka dni wyjechać za miasto. *Mam nadzieję, że nie będzie problemów z dyrekcją*. W słuchawce słyszy uspokajające słowa. *Proszę się nie obawiać, pani Müller. Jeśli dziewczynki zostaną przez kilka dni w domu, nikt nie będzie robił problemów*. Blum dziękuje i się rozłącza.

Czeka. Próbowwała kilka razy się do niego dodzwonić, w końcu wysłała mu esemesa. *Zadzwoń*. Schiele. Musi z nim porozmawiać. Blum się niecierpliwi, siedzi jak na szpilkach. W końcu telefon wibruje. *Eseses. Mała nagroda*. I krótki film. Gorączkowo otwiera plik. Trzynaście sekund. Uma i Nela.

Patrzą prosto w obiektyw. Stoją obok siebie. Mówią jedna przez drugą, są podekscytowane. *Tu jest cudownie, mamusiu. Egon kupił nam mnóstwo zabawek. Dostałam lalkę, o której marzyłam. Ona mówi, mamusiu. I muszę*

ją karmić, bo inaczej płacze. Jesteśmy zdrowe, mamusiu, tęsknimy za tobą. Jak przyjedziesz, wszystko ci pokazemy. Mamy tu nawet zjeżdżalnię. Wielką i bardzo długą. Jest cała czerwona. Film się urywa. Znikają. Ich buzie, rozpromienione oczy, w jednej chwili robi się ciemno. Blum zostaje sama. Ma tylko ikonkę „play” na małym ekranie. Naciska ją i wszystko zaczyna się od początku.

Bez końca wpatruje się w obraz. Na ich buziach widać radość, śmieją się, nic im nie jest. Blum nie może uwierzyć. Nie spodziewała się, że Schiele będzie grał uczciwie, że ich nie przerazi, tylko im kupi zabawki, spełni ich marzenia. Że je zabierze gdzieś, gdzie będzie im dobrze. W ich głosikach nie ma cienia niepokoju, nie boją się, że już nigdy nie zobaczą mamusi, wierzą, że nikt nie chce ich skrzywdzić. Pan, który je odwiedza, odkąd tu zamieszkały, czarodziej, który ofiarował im nowe życie. Kazał je odebrać ze szkoły i zawiózł w jakieś cudowne miejsce. Piekło widzi tylko ona, tylko ona wie, że są w potrzasku, że wszystko może się skończyć tragicznie. Mała nagroda, obiecana marchewka, bo wszystko poszło szybko i gładko. *Do tej pory spisałaś się bez zarzutu. Jeśli chcesz, żeby tak było dalej, kontynuuj.* Jego uśmiech, jego głos. Gratulacje.

– Podjęłaś właściwą decyzję, Marie.

– Powiedziałaś, że będę mogła z nimi porozmawiać.

– To zbyt niebezpieczne, Marie. Ale myślę, że ten śliczny filmik, który ci przysłałem, rozwiewa twoje obawy. Jak widzisz, dziewczynki czują się doskonale. Cieszą się, że zabrałem je na wycieczkę. Czy to nie cudowne?

– Dostałeś to, czego chciałeś.

– Zgadza się. Tępy rzemieślniczyna nie będzie już przesiadywał na mojej sofie. Bardzo się cieszę. Również z tego, że tak zmyślnie to wszystko zainscenizowałaś. Jestem pod wrażeniem, Marie. Zdałaś egzamin śpiewająco. Nie tylko podjęłaś właściwą decyzję, ale też zrozumiałaś wreszcie, że ten prostak do ciebie nie pasuje. Nikt za nim nie zatęskni, Marie. Więc zabieraj się do następnego zadania. Wiesz, że to był dopiero

początek.

– Możemy to załatwić inaczej.

– Nie możemy, Marie, i dobrze o tym wiesz. Doceniam to, że się dla mnie poświęciłaś, ale pamiętasz, jak brzmiała nasza umowa. To jeszcze nie koniec.

– Proszę, pozwól mi z nimi porozmawiać, przynajmniej przez chwilę. Powiem im, żeby się nie martwiły.

– Przykro mi, moja droga, ale nie mogę. Mogłyby ci zdradzić, dokąd je zabrałem. A to by wszystko skomplikowało. Przecież to rozumiesz, prawda? Tak pięknie to zaplanowałem i chciałbym, żeby do końca poszło po mojej myśli. Bez niespodzianek, zmiany planów. Zajmiesz się teraz naszym sędzią, zgodnie z umową. A potem pozostałą dwójką. Wszystko będzie dobrze, Marie. Obiecuję ci, możesz mi zaufać. Usiądziemy we dwoje przy winie, a dziewczynki będą się bawić beztrudnie w ogrodzie. Czy to nie cudowna perspektywa?

– Obiecuj, że nic im nie zrobisz.

– Niby dlaczego miałbym je krzywdzić? Jesteśmy przecież rodziną, Marie. Jeśli wszystko zrobisz, jak należy, będziemy szczęśliwi, razem. Jestem naprawdę dobrej myśli. Dziewczynki mnie lubią. Prawdę mówiąc, sam się temu dziwię, ale się do mnie przywiązały. I sądzę, że tak powinno zostać, jeśli myślimy o jakiejś przyszłości, nie uważasz?

– Uważam.

– Więc teraz sędzia, Marie. Myślę, że do jutrzejszego wieczora powinnaś załatwić sprawę. To oznacza, że masz prawie dwa dni. Dasz sobie radę, prawda?

– Chyba tak.

– Grzeczna dziewczynka.

23

Filmik z dziewczynkami. Nie potrafi określić, co jest w tle, gdzie go nakręcono. Kamera musiała stać bardzo blisko, widać tylko ich buzie, nic więcej. Biała ściana. Żadnego punktu zaczepienia. Tylko ta czerwona zjeżdżalnia, o której mówiły dziewczynki. Wielka i długa. Schiele nie chciał, żeby powiedziały coś więcej, bał się, że Blum usłyszy za dużo, że zacznie ich szukać.

Czerwona zjeżdżalnia, gdzieś w Hamburgu. Albo w innym mieście. Mogą być wszędzie. Blum nie ma pojęcia, dokąd je zabrał, więc to, co robi, jest pozbawione sensu. Bierze rower i jedzie przez miasto. Przez dzielnicę willową. Mija piękne domy, cudze ogrody. Wypatruje czerwonej zjeżdżalni, zatrzymuje się przy płotach i patrzy. Jedzie od domu do domu. Jest zrozpaczona, marzy o tym, że uśmiechnie się do niej szczęście i je znajdzie. Że będą się bawić w następnym ogrodzie, że je zabierze. W bezpieczne miejsce. Byłoby tak cudownie. A jest beznadziejnie.

Jedynie, co może zrobić, to zająć się sędzią. Ubić drugą muchę. A potem trzecią i czwartą. Aż Schiele dostanie to, czego chce, aż uwierzy, że z nim zostanie, że mu uległa. Dopiero wtedy da jej spokój, odda to, co kocha najbardziej. Dopiero kiedy uwierzy, że Marie stoi po jego stronie, że ją złamał. Dopiero wtedy zobaczy dziewczynki, nie wcześniej. Choć tak bardzo tego pragnie, nie znajdzie ich. Zbyt wiele tu domów, ogrodów, ma tylko jedną parę oczu, za mało czasu. Półtora dnia, by znaleźć sposób na zabicie sędziego. Na to, by uratować mu życie. Tak jak Tinowi. Myśli. Naciska na pedały i gorączkowo myśli. Nasłuchuje głosów swych maleństw.

Zadzwoił dwie godziny temu. Tino. Jeszcze raz ubłagała go, żeby nie wracał, by jej zaufał. Próbowwała go uspokoić, rozwiązać jego lęki. Co zrobiłaś?, spytał i Blum powiedziała mu prawdę. Przynajmniej część

prawdy. O tym, jak to się stało, że rano w Internecie przeczytał o swojej śmierci. O tym, że znaleziono jego zwęglone ciało. Że umarł. Wyjaśniła mu, jak to zrobiła, opowiedziała o Alfonsie, o ziemniakach, powiedziała, że to był jedyny sposób. *Proszę, nie wracaj. Wszystkim się zajmę, wszystko naprawię*, mówi i się rozłącza. Bo nie może mu powiedzieć nic więcej. O tym, że gdyby wrócił, ściągnąłby na siebie śmiertelne niebezpieczeństwo. Na siebie i na dziewczynki. Gdyby poszedł na policję, gdyby się ujawnił, zanim ona wszystko naprawi.

Tino. Cudowny człowiek, który nie ma pojęcia o świecie. Gdzieś na morzu, zdezorientowany, wystraszony. Blum widzi go oczami wyobraźni. Jak patrzy na swój telefon, jak szuka wyjaśnienia tego, co się stało w jego ogrodzie, co widział dziś w wiadomościach. Tego wszystkiego, co mu powiedziała Marie. Mówiła poważnie, słyszał to w jej głosie. Zainscenizowała w jego warsztacie przedstawienie, by go ocalić. Lecz on nie chce siedzieć bezczynnie, chce jej pomóc, stanąć u jej boku. *Nie możesz*, powiedziała. Blum nie ma wątpliwości, że to wszystko skończy się dopiero, gdy Schiele przestanie oddychać. Gdy przestanie się mieszać w jej życie. Gdy zniknie. Albo gdy zginą tamci trzej mężczyźni i Blum odzyska córeczki. Dopiero wtedy.

Jedzie dalej. Nie odbiera, gdy do niej dzwoni. Liczy się tylko czerwona zjeżdżalnia. Będzie jej szukać, póki jest widno. Pod dom sędziego pojedzie dopiero, kiedy się ściemni. Cud, o którym marzy, może się jeszcze zdarzyć, ma jeszcze pół godziny, nie przestanie wierzyć, że jest inne rozwiązanie, że nie będzie musiała zabić sędziego. Zostawić roweru pod jego domem, włamać się, upaść jeszcze niżej. Zrobić następny krok, który sprawi, że wszystko stanie się jeszcze trudniejsze.

Jeszcze trzydzieści minut nadziei, złudzeń, przyspieszonego oddechu, poszukiwań. Jeszcze kilka słów zamienionych z prostytutkami, pytań o czerwoną zjeżdżalnię. Prób przekupstwa. Bo wszystkie, z którymi rozmawia, milczą. Boją się. Żadna nie chce powiedzieć, gdzie są jej dzieci,

kim jest kobieta, która je odebrała ze szkoły. Ani słowa. Kręcą tylko głowami, milczą. Nie mają o niczym pojęcia. *Odczep się*, odpowiadają. *Nie wiemy, o czym ty mówisz*. Bo zdają sobie sprawę, że jeśli coś powiedzą, spotka je kara. Bo wiedzą, kim jest kobieta, która je wypytuje. Że to najnowsza zabawka Schielego. Bo są zazdrosne, że mieszka w pięknym domu, a nie w obskurnym pokoju. *Zjeżdżaj, szmato*, opędzają się od niej. *Mamy własne problemy, księżniczko*. Więc Blum jedzie dalej. *Wróć*, mówi i rusza przed siebie. Bo musi szukać, bo to jedyna szansa, by znaleźć dziewczynki, zanim będzie za późno. Zanim ktoś znowu umrze.

24

Widzi go przez szparę między skrzydłami drzwi. Stoi między zimowymi płaszcami, nie rusza się, nie wydaje żadnego dźwięku. Musi poczekać, aż zaśnie, aż pilot wypadnie mu z ręki. Ani drgnie. Oddycha płytko, kryje się, połyka łzy. Było tylko nie wstał, nie otworzył drzwi szafy, było tylko dalej gapił się na ekran telewizora, podczas gdy ona wspomina, jak łapała z dziewczynkami kraby. W Norwegii. Uma nagle zaczęła krzyczeć. Krab ją uszczypnął. Uma płakała, próbowała go strząsnąć, lecz on rozpaczliwie wczepiał się w jej rączkę. Blum podbiegła i pomogła córeczce, próbowała ją uspokoić, uwolniła ją od kraba i wrzuciła go do wody. Potem wzięła Umę w ramiona i przycisnęła małą główkę do piersi. Przypomina sobie tę scenę. I płacze. W szafie.

Włamała się dwie godziny temu. Stłukła szybę i przez piwnicę weszła do domu. Nie było alarmu, sąsiadów, którzy mogliby ją zobaczyć, nie zostawiła śladów. Ma rękawiczki, twarz owinięta jedwabnym szalem. Nie rozpozna jej, usłyszy tylko jej głos. Nie będzie mógł jej opisać. Powie tylko, że była kobietą. Tak, na pewno. Spokojnie wszystko sobie obejrzała, światło latarni ulicznej padało na jego meble, na jego życie. Widziała, jak mieszka. Samotny mężczyzna. Wszędzie pedantyczny porządek. Obejrzała jego salon, gabinet, kuchnię, jadalnię. Potem schodami na górę: łazienka, sypialnia. Długo siedziała w starym fotelu bujanym, w końcu ukryła się w szafie. Liczyła, że gospodarz wkrótce wróci do domu, czekała cierpliwie w ciemnościach. W końcu otworzyły się drzwi. Słyszała, jak przygotowuje w kuchni coś do jedzenia, stuka naczyniami, pogwizduje jakąś melodię. Po długim dniu pracy kieliszek wina, z gabinetu dobiegały dźwięki muzyki. Potem poszedł na górę. Rozebrał się, umył, wszedł do sypialni.

Sędzia. Mężczyzna około sześćdziesiątki, otyły jak na swój wiek. Leży.

Sypia nago. Nie wkłada piżamy, przykrywa się tylko kołdrą, pod którą widać jakieś leniwe ruchy. Blum się domyśla, co oznaczają. Sędzia przeskakuje z kanału na kanał, w końcu znajduje to, czego szukał, i ruchy się wyraźnie wzmagają. Z telewizora dobiegają miarowe jęki, z łóżka ciężki oddech. Onanizuje się, ściska swojego członka. *Mocniej, krzyczy kobieta. Mocniej. Tak, jeszcze mocniej.*

Nie. Blum nie chce patrzeć na sędziego ani na kobietę w telewizorze, chce zachować przed oczami inne obrazy. Morze, Umę, która się do niej przytula. *Dziękuję, mamusiu, mówi. Jesteś silniejsza od kraba.* Mamusia czuje obrzydzenie, patrząc na tłustego, chrząkającego wieprza, który rozpaczliwie próbuje dojść. Mimo woli dzieli z nim te intymne chwile. Zamyka oczy, musi temu położyć kres. Już. Otworzyć drzwi, upokorzyć go. Chce tego. Ten pomysł jest jeszcze lepszy od tego, z którym tu przyszła. Zamierzała go wyrwać ze snu, wetknąć mu w usta lufę pistoletu, nastraszyć go, śmiertelnie przerazić, zmiękczyć, zmusić, by uważnie wysłuchał, co chce mu powiedzieć.

Zmienia plany. Sprawia, że sypialnia wypełni się wstydem. Ściągnie z niego kołdrę i każe mu leżeć. Będzie nagi, zszokowany, upokorzony. Dopiero wtedy z nim porozmawia, spróbuje mu wytłumaczyć. Zanim kobieta na ekranie znów zmieni pozycję. Otworzy drzwi szafy i wyceluje w niego pistolet. Broń, którą Schiele zostawił jej na kuchennym stole, w pudełeczku, jak prezent. *To ci ułatwi sprawę, napisał na załączonej karteczce. Tym razem jest naładowany, wystarczy nacisnąć spust. Zrób to, Marie.*

A może zaczekać i zastrzelić go, kiedy zaśnie? To by było najprostsze. Jak pstryknięcie palcami. Wystarczyłoby wziąć poduszkę, przycisnąć do piersi śpiącego i wycelować w serce. Zginałby na miejscu. A ona by się ulotniła i zadzwoniła do Schielego. Jeden strzał, żadnych prośb, błagań, tłumaczeń, żadnego ryzyka. Blum myśli, waha się, nie wie już, co jest słuszne, właściwe. Co zrobić. A czego nie. *Mocniej, krzyczy kobieta*

w telewizorze. *Tak, tak*, jęczy sędzia. Blum otwiera drzwi szafy i strzela.

25

- Wyłącz to.
- Proszę, nie!
- Wyłącz telewizor!
- Na miłość boską, co pani tu robi?
- Nie ruszaj się.
- Proszę, niech pani nie strzela. Niech pani przestanie, proszę.
- Jeśli się ruszysz, zginiesz. Przysięgam, następnym razem trafię.
- Proszę mi oddać kołdrę.
- Nie ma mowy.
- Kim pani jest? Co pani robi w moim domu? Czego pani ode mnie chce?
- Chcę, żebyś mnie wysłuchał.
- Jestem nago.
- Wiem, widziałam, czym się zajmujesz. Żałosny widok.
- Chce pani pieniędzy? Mogę pani dać wszystko, co mam w domu. A jest tego sporo, proszę mi wierzyć.
- Nie chcę twoich pieniędzy.
- Więc czego?
- Opowiem ci o naszym wspólnym problemie, a ty mi pomożesz. Wtedy nic się nie stanie.
- Nie mam pojęcia, kim pani jest, nic pani nie zrobiłem. To musi być jakaś pomyłka.
- Niestety nie.
- Pani do mnie strzeliła.
- Gdybym strzelała do ciebie, już byś nie żył.
- Chcę się ubrać, proszę.

- Pewien człowiek chce, żebym cię zabiła.
- Kto?
- Schiele.
- Słucham?
- Ma moje dzieci. Jeśli cię nie zabiję, już nigdy ich nie zobaczę. Musimy więc znaleźć jakieś rozwiązanie. I to szybko.
- Mówi pani o tym sutenerze?
- Tak.
- Chodzi o jego ojca, prawda?
- Tak jest.
- Wdziera się pani do mojego domu, celuje do mnie z broni i chce, żebym jej pomógł? Nie mówi pani poważnie, prawda?
- Wprost przeciwnie. Jestem śmiertelnie poważna. Musi mi pan pomóc odnaleźć moje dzieci.
- Chwileczkę, powoli. Schiele wysyła panią, żeby mnie pani zabiła, a pani mu się sprzeciwia?
- Sama nie jestem pewna, co powinnam zrobić.
- Po co ten szal? Dlaczego nie pokaże mi pani twarzy? Boi się pani, że ją rozpoznam?
- Tak.
- Ale to jakiś absurd, przecież wiem, co jest grane. Jest pani jedną z jego dziewczyn, prawda?
- Nie.
- Nie ma jaj, żeby samemu tu przyjść, tylko wysyła jedną ze swoich przechodzonych panienek? Nie wierzę.
- Zamknij się.
- Jakaś dziwka włamuje się do mojego domu i prosi o pomoc, to naprawdę zabawne.
- Zamknij mordę.
- Bo co? Zastrzelisz mnie? Przecież tego nie chcesz, jeśli dobrze cię

zrozumiałem. Chcesz, żebym ci pomógł, tak?

– Masz znaleźć moje dzieci. Wyślij policję, niech przetrząsną miasto, zajrzą do każdej dziury. W zamian daruję ci życie.

– To naprawdę podniecające.

– Nie rozumiesz powagi sytuacji.

– Owszem, rozumiem doskonale. Mam cię wyciągnąć z gówna. Wierz mi, nie ty pierwsza mnie o to prosisz. Dość już zerznąłem takich tanich cip, wiem, o czym marzycie i czego chcecie. Myślicie, że w życiu jest tak łatwo? Rozkładacie nogi i marzycie o wielkim szczęściu, lecz tak się nie da. W prawdziwym życiu trzeba harować, by coś osiągnąć. Harować, rozumiesz? Nie wystarczy wpaść tu z bronią i błagać o pomoc.

– Nie boisz się śmierci, prawda?

– Nie.

– A powinieneś.

– Daj spokój, dopiero teraz się robi ciekawie. Jestem nago, a mój mały jeszcze nie opadł, moglibyśmy się nieźle zabawić. Potem pomyślę, co mogę dla ciebie zrobić. Odłóż pistolet i się rozbieraj.

– Leż, świnió.

– Podniecasz mnie. Muszę przyznać, że zabawa zaczyna się naprawdę rozkręcać, podoba mi się. Podniecasz mnie. Przecież widzisz. Domyślasz się chyba, że życie sędziego nie jest zbyt pasjonujące, dlatego szukam odmiany. I wygląda na to, że dziś wieczór znalazłem ją w swojej sypialni.

– Leż, bo strzelę.

– Nie strzelisz. Brak ci odwagi. Schiele najwyraźniej wybrał niewłaściwą dziwkę.

– Kładź się z powrotem.

– Za późno, ty mała zdziro.

Sędzia zrywa się z miejsca. Blum nie ma czasu na reakcję. Zagapiła się, nie spodziewała się, że otyły mężczyzna może być taki szybki. Że się odważy walczyć, że ją obali na podłogę, wytrąci jej z ręki broń. Miała

sekundę, najwyżej dwie, by pociągnąć za spust, ale zbyt długo zwlekała, a teraz pistolet leży daleko. Zwaliła się na nią kupa mięsa i tłuszczu, jurny, zaśliniony wieprz. Szacowny sędzia, który chodzi na dziwki. Leży na niej, zrywa jej z twarzy szal, próbuje unieruchomić jej ręce, nogi. Bo Blum się broni, młóci rękami, bo chce za wszelką cenę odzyskać kontrolę. Nie chce czuć na sobie jego skóry, jego członka. Ani sekundy dłużej. Kopie, drapie, krzyczy. A on ją bije. Bo chce, żeby przestała. Blum wrzeszczy. Z jej ust dobywają się rozpaczliwe dźwięki.

Lecz on jest silniejszy. Czuje jego pięść, całym ciężarem zwala się na jej poparzone przedramię, przez chwilę boi się, że zemdleje. Tak potworny to ból. A on nie przestaje. Szydzi z niej zamiast jej pomóc. Traktuje ją jak świeże mięso, jak szmatę, której można użyć, a potem ją zwyczajnie wyrzucić. *Ty dzika, zboczona kocico, stęka. Już ja cię poskromię.* Wtedy go gryzie. Bo nic innego nie przynosi skutku. Podnosi głowę i zaciska zęby na jego uchu. Z całej siły. Sędzia wrzeszczy z bólu i chwyta dłońmi za głowę. Dociera do niego, że czegoś brakuje. Teraz to on za późno zareagował.

Blum musi się spieszyć. Bo nie może go z siebie zrzucić, bo sędzia jest wściekły i za chwilę gotów ją zabić, gołymi rękami. Pistolet jest za daleko, dlatego sięga po lampę. Bez wahania uderza mosiężną podstawą w głowę sędziego. I znowu. I jeszcze raz. Aż się z niej wreszcie zsuwa. Aż przestaje się ruszać. Aż zapada cisza.

26

Blum się nie spieszy. Próbuje zrozumieć, co się stało. Dlaczego w sąsiedniej sypialni leży nagi, martwy mężczyzna. Patrzy na twarz w lustrze i myśli: *Kim jestem? Dlaczego znów kogoś zabiłam? Dlaczego nie może być normalnie? Dlaczego na koniec zawsze zostaję sama?* Czuje się bezradna jak dziecko, które pragnie tylko, by je przytulić. *Już nie mogę, mówi. Proszę, pomóż mi. Proszę, powiedz mi, co mam zrobić.* Ale nie ma nikogo, kto by jej odpowiedział, szepnął, co dalej. Jest sama. W łazience sędziego. Z pustką w głowie.

Patrzy na swoją twarz, którą szorowała bez końca. Na usta, które przepłukała mydłem, bo nie mogła znieść tego smaku. Smaku jego ucha, jego krwi. I tego, co zrobił. Obrażał ją zamiast pomóc. Nie chciał słuchać. Ani o niej, ani o jej córeczkach, ani dlaczego Schiele zmusił ją, by to robiła. Widział tylko dziwkę, która ma zaspokoić jego chuć. Uznał, że to zwykła prostytutka, gotowa zrobić wszystko, by zadowolić swojego alfonsa. Szmata, której brak odwagi, by to doprowadzić do końca. Ostatnie, co widział przed śmiercią. Jego ucho w jej ustach. Jak je z obrzydzeniem wypluwa.

Zaczyna sprzątać. Działa jak maszyna. Musi wszystko dokładnie wytrzeć. Kurki przy kranie, umywalkę, wszystko zdezynfekować. Wszystko, czego dotknęła. Wysterylizować. Wyciera każde miejsce, gdzie mogły spaść kropelki jej śliny. W łazience, sypialni, na zwłokach. Klęczy przy nim i nie dotykając ciała, wylewa amoniak. Na jego głowę, na resztki ucha. Na jego dłonie, palce. Pilnikiem usuwa wszystko spod jego paznokci, potem wyciera pilnik kawałkiem papieru toaletowego, który spuszcza w sedesie. Nie znajdują w tym domu jej śladu. Ani kawałeczka skóry, ani kropelki płynów fizjologicznych. Nic.

Chociaż jest skołowana, sprząta. Wie, o co się toczy gra. Śledczy zbadają ciało, będą się zastanawiać, co tu właściwie zaszło, znajdą kulę w wezglowiu łóżka, zrekonstruują przebieg wydarzeń, lecz niczego nie rozumieją. Bo sama tego nie rozumie. Ktoś się włamał do domu sędziego, stłukł szybę, strzelał do niego, ale nie trafił. Doszło do walki, w końcu sędzia został uderzony w głowę. Tyle że nie ma żadnych śladów. Nie zdołają rozwikłać tej zagadki. Blum im w tym nie pomoże. Przeciwnie, robi wszystko, żeby ją jeszcze bardziej zagmatwać. Dlaczego jest nagi? Dlaczego sprawca go nie zastrzelił? Gdzie jest broń i dlaczego w chwili znalezienia zwłok grał telewizor? Przed wyjściem Blum znów go włącza. Porno, ulubiony kanał sędziego. Założą, że chodzi o przestępstwo na tle seksualnym, że w domu była prostytutka. A może uznają, że było dwoje sprawców? Przynajmniej rozważą taką ewentualność. prostytutka i alfons. Będzie wiele pytań. I ani jednej odpowiedzi.

Niczym zjawa snuje się po domu, zastanawiając się, czy o czymś nie zapomniała. Potem wylewa jeszcze trochę wybielacza na ciało sędziego i zaczyna od początku. Jego krew znajdą tylko na podłodze. Odkurzyła dywan, wypolerowała lampę. Nikt nie połączy tej śmierci z zabójstwami w Austrii. Nie znajdą DNA Brünhilde Blum. Nigdy jej tutaj nie było, nie znała ofiary. Nikt nie wpadnie na to, że to Marie Müller. Blum wie, że wszystko zrobiła, jak należy. Schiele będzie zadowolony.

Wyjmuje komórkę, fotografuje zwłoki, potem wychodzi. Do ogrodu. Wsiada na rower i znika. Powoli jedzie ulicami Hamburga. Zwykła rowerzystka, kobieta, która przypadkowo zabiła sędziego. Kobieta, która miarowo naciska na pedały, jedzie dalej, wzdłuż Alster. Przystaje na chwilę i wrzuca pistolet do rzeki. W miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie. Żadnych odcisków palców, żadnych przechodniów, żadnych potencjalnych świadków. Potem rusza. Do baru, szybko, musi się napić, znieczulić. Bo życie znów stało się nie do zniesienia.

27

Tuż przed północą odczuwa ulgę. Myśli się rozmywają, jest tylko ona i komórka w jej dłoni. Zdjęcie, które zrobiła w domu sędziego. Zwłoki na drogim parkiecie. Środek do celu. Martwy sędzia. Naciska na „wyślij”. *Załatwione*, pisze. *Czekam na ciebie w Pony-Alm. Jeśli nie przyjedziesz, idę na policję*. Kiwa na barmana. Jeszcze jeden. Zanim zjawi się Schiele.

Siedzi przy barze, gdzie nikt jej nie zna, i liże rany. W miejscu, gdzie nikt jej nie będzie zaczepiał, bo całą sobą mówi, by dali jej spokój. Wpatruje się w dno kieliszka. Gdy jest pusty, barman znowu polewa. Blum czeka, kiedy zrobi się znośniej, kiedy alkohol pozwoli zapomnieć. Chce tylko się lepiej poczuć, przez chwilę. Nie myśleć o dziewczynkach, sędzi, Schielem. Pić. Zatrzymać się, poczuć, jak alkohol uderza w żyły, szumi jej w głowie. I znów się napić, bo jeszcze nie dość, bo wciąż myśli o jego uchu w swych ustach.

Ogłuszająca muzyka. Bar się zapełnia. Nikt jej nie obserwuje, nikt nie ma ochoty się zadawać z nieszczęśliwą kobietą. Rozmówi się z Schielem, powie mu, że dostanie, czego żąda, ale chce porozmawiać z dziewczynkami. Kiedy tylko wstanie dzień. Chce usłyszeć ich głosy. Gdy wytrzeźwieje. Dopiero wtedy. Teraz chce tylko jednego. Żeby przyjechał, wszedł do baru, usiadł obok. Egon Schiele. Wtedy się na niego rzuci i go zagryzie.

Widzi to oczami wyobraźni. Barman miesza drinki, nie spuszcza z niej oczu. Blum jest jak zwierzę, już nie myśli o sobie, chce tylko zabić. Chce go zgasić jak lampę, żeby zniknął w ciemności, żeby już go nie było, gdy się obudzi. Będzie go tłuc tak długo, aż powie, gdzie są jej maleństwa. Wypali na jego ciele tysiące znaków, zatka uszy na jego krzyki i będzie to robić, póki nie powie jej tego, co chce wiedzieć. Rozwiąże mu język. Lecz on się nie zjawia.

Jej żałosna próba wypłoszenia go z kryjówki spaliła na panewce. *Jeśli nie przyjedziesz, idę na policję.* Jest sama, pije, czuje, że kręci jej się w głowie, próbuje się wziąć w garść, bo wszystko się powoli rozmywa. Próbuje stłumić rozpacz. Nie wolno jej tutaj zasnąć, zsunąć się ze stołka. Musi czekać. Bo może jeszcze przyjedzie. Bo nie jest głupi, bo już wie, do czego jest zdolna. Bo mu wysłała to zdjęcie. Wie, że jest gotowa posunąć się jeszcze dalej, byle zobaczyć dziewczynki. Wie. Dlatego przyjedzie. Blum w to wierzy. Nie rusza się z miejsca, chociaż najchętniej by wyszła, wzięła taksówkę, wróciła do domu. Zostaje zamiast się położyć do łóżka, zamknąć oczy, postawić grubą kreskę pod wydarzeniami tej nocy.

Raz po raz łąpie okiem na drzwi. Tak bardzo pragnie, by przyszedł, powiedział, że już po wszystkim. Że zawiezie ją do dziewczynek, bo zrobiła to, czego żądał. *Dobra robota, Marie. Zabierzemy teraz dziewczynki, a potem was odwiozę do domu. Położę cię spać, Marie. Potrzebujesz snu. Dość już dla mnie zrobiłaś, Marie.* Tak bardzo tego pragnie. By to powiedział. Schiele. Z tym swoim zadufanym uśmiezkiem. *Wiem już, że mogę na ciebie liczyć.* Schiele, w jej wyobrażeniach. Schiele, który ją puszcza wolno. Schiele, nie Gonzo.

Bulterier Schielego. Staje w drzwiach baru. Siada obok niej, kiwa na barmana. Blum patrzy na niego, chce wysłuchać, co ma jej do powiedzenia. Zostanie na swoim miejscu i z nim pogada. Nieważne, co mówi jej instynkt, będzie rozsądna, nieważne, że alkohol dodaje jej odwagi. Zachowa się, jak należy, nie rozbije mu butelki na głowie. Powie mu, że Schiele nie musi się martwić, że wszystko idzie zgodnie z planem. Będzie układna i grzeczna, choć najchętniej roztrzaskałaby mu czaszkę. *Dobrze, że jesteś,* mówi. Rozsmarowuje tępemu gorylowi miód wokół pyska. *Napij się ze mną, Gonzo.* Wysłucha, co ma jej do powiedzenia. Nieważne, jak długo będzie mówił. Nieważne, co się jeszcze wydarzy. *Zdrowie, Gonzo.*

28

- Dziewczyno, jesteś kompletnie pijana.
- I co z tego?
- Nasz wspólny przyjaciel jest bardzo zaniepokojony. Powiedział, że mam się tobą zaopiekować. A to, jak wiesz, nie oznacza nic dobrego.
- Nie chciałam być sama.
- Groziłaś mu, a on tego nie lubi.
- Bzdura, chciałam z kimś pogadać.
- Zabiłaś sędziego?
- A jak myślisz?
- Co z bronią, którą ci dał?
- Leży na dnie rzeki.
- Dlaczego go nie zastrzeliłaś?
- Bo się bronił. Mało brakowało, a to ja bym leżała martwa.
- Ale ci się udało. Zrobiłaś ładną fotkę. *Dobry sędzia to martwy sędzia*, powiedział Schiele.
- Święte słowa.
- Utrzymaj tempo, a niedługo odzyskasz dzieci.
- Mam nadzieję.
- Jeśli miałbym być szczery, nie spodziewałem się, że to zrobisz. Żaden z nas w to nie wierzył. Najpierw ten skutnik, a teraz sędzia. Szacunek, dziewczyno.
- Powinniśmy za to wypić, nie sądzisz?
- Sądzę, że masz już dosyć.
- Mylisz się.
- W porządku, ale koniec z wódką. Mam coś lepszego. Rozsadzi ci czachę. Chodź ze mną do kibla.

– Mam iść z tobą do kibla?

– Chodź.

Gonzo bierze ją za rękę. Kładzie palec wskazujący na jej wargach i ciągnie za sobą. Blum się poddaje. Pozwala mu się zaciągnąć do kabiny, zamknąć drzwi. Milczy. Nie mówi ani słowa, gdy Gonzo wyjmuje z kieszeni kokainę i starannie formuje na spłuczce kreski. *Ty pierwsza*, mówią jego oczy. Blum bez wahania wciąga dwie kreski. Zwiniętym w rulonik banknotem, tak jak widziała na filmach. Dwa głębokie wdechy i biały proszek znika w jej nosie. Jakby to już robiła tysiąc razy, jakby to nie był jej debiut. Nic nadzwyczajnego. Dwoje imprezowiczów zamknęło się w kiblu, by wciągnąć towar. Gonzo i Blum.

Gdy wracają do baru, zaczyna to czuć. Szybciej, niż myślała. *Chcę tańczyć*, mówi. Otepienie alkoholowe znika, ma wrażenie, jakby się obudziła. Spada z niej cały ciężar, ospałość. Czuje się tak, jakby wsiadła do pędzącego auta: otwarte okna, wiatr na twarzy. Wciska gaz do dechy, bo nie ma nic do stracenia, bo tej nocy może tylko wygrać. Idzie na parkiet, kołysze się, wiruje. Gonzo siada i patrzy. Nie spuszcza z niej oczu. Uśmiecha się i czeka, aż Blum wróci. Znów grzecznie usiądzie obok. *Podoba mi się*, mówi Blum. *Widzę*, odpowiada Gonzo.

– Co teraz?

– Chcę się zabawić.

– Ze mną?

– Dlaczego nie?

– Boli cię jeszcze?

– Co?

– Oparzenie.

– W tej chwili nie. W tej chwili mam ochotę wyjść na ulicę i tańczyć.

Chodź, przejdźmy się.

– Chcesz wyjść?

– Tak. Chodźmy na spacer. Zobaczymy, co się stanie. Noc się dopiero

zaczęła.

– Należysz do niego. Powiedział, że nie mam prawa cię tknąć.

– A ty zawsze robisz to, co ci każe?

– Zazwyczaj.

– Jego tu nie ma, jesteś ty. Myślę, że zasłużyłeś, co? Chcesz przeciąć wstęgę?

– Chyba sobie żartujesz. Przecież mnie nienawidzisz.

– Idziesz ze mną albo zostajesz. Decyzja należy do ciebie, Gonzo.

– Chcesz ze mnie wyciągnąć, gdzie są twoje dzieci, co?

– Owszem.

– Nic z tego.

– Jeśli mi pomożesz, na pewno nie pożałujesz.

– To nie jest dobry pomysł.

– Powiedziałam: decyzja należy do ciebie.

– Zaczekaj.

– Co?

– Idę z tobą.

Idą ulicą. Ciągnie go za sobą, śpiewa. Chce zejść nad Łabę, na plażę. *Chcę z tobą leżeć w piasku*, mówi. Zakochana para idzie tanecznym krokiem przez miasto. Blum beztrudnie wyobraża sobie tę scenę, jest jak odmieniona. Nie czuje bólu, strachu, wściekłości. Jest jak syrena, śpiewem uwodzi swoją ofiarę. Gonzo. Robi, co mu każe, idzie obok niej, jest cierpliwy. Bo czuje, że Marie mówi poważnie. Że tej nocy jest jego. Jego, nie Schielego.

Masz jeszcze ten towar?, pyta. Częstuje ją. Przystają w bramie domu. Wciąga biały proszek z pokrywy kontenera na śmieci. Chce więcej, chce zapomnieć, nie myśleć o sędzi, o dziewczynkach. Chce, żeby poczuł jej język, jak powoli wędruje po jego szyi. Napiera na niego całym ciałem, liże jego skórę. *Dziękuję*, szepcze i idzie dalej. Coraz szybciej, bo czuje, że wszystko jest możliwe. Nie boi się, nie zastanawia się, przecina trzypasmową ulicę, potem park. Przechodzi przez ogrodzenie jakiejś

budowy, staje pod dźwigiem. Wspina się. *Chodź, Gonzo. Będziemy się pieprzyć.* Wybucha śmiechem, krzyczy. *W kabinie. No chodź.*

Idzie jak z płotka. Jest ciemno, nikt jej nie widzi. Jak się wspina na górę, szczebel po szczebelku, zaciska dłonie. Nie patrzy w dół, po prostu się wspina, Gonzo tuż pod nią. *Ty zboczona suko,* mówi. Dwadzieścia metrów nad ziemią. Nie ma odwrotu. Blum wciąż się śmieje, lecz nikt jej nie słyszy. Trzydzieści metrów i jeszcze wyżej. Jest szybsza od niego, zwinniejsza, nie myśli o tym, że może spaść, że jeden fałszywy krok oznacza koniec wszystkiego. Dłonie chwytają szczeble, puszczają, znów chwytają. Naćpana kobieta w drodze na szczyt dźwigu, bez zabezpieczeń. Pod nią mężczyzna, który ma jej powiedzieć, gdzie są jej dzieci. Mężczyzna, którego nienawidzi. Gonzo. Prawa ręka Schielego, skończony łajdak, którego zmusiła, by za nią poszedł. Jej język sprawił, że się wspina, tuż za nią. Że podjął grę. Grę, w której przegra. Bo ona jest na górze, a on na dole.

29

Jest tylko noc. Światła miasta. I Blum, która siedzi i milczy. Między metalowymi prętami, jak w klatce. Bo kabina była zamknięta, bo nie umiała otworzyć drzwi, bo już nie chciała, nie mogła. Iść naprzód, cofnąć się. Chciała się tylko zatrzymać, odetchnąć, ukryć się. Na górze.

Siedzi tak od godziny. Nie rusza się. Pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Nikt jej nie widzi, nikt nie słyszał, jak krzyczał. Gdy spadał. Nie słysząc syren, nie widząc policji, karettek. Jest tylko noc, która nie chce się skończyć. Sędzia, który leżał przed nią z rozłupaną czaszką, barman, który jej polewał, i Gonzo, który na nią wrzeszczał. *Zabiję, cię, suko. Pieprzona szmata.* I który spadł. Trzy sekundy wściekłości, rozpacz, potem zderzenie z ziemią. Ciche łupnięcie, ledwie słyszalne, ciało, które się roztrzaskało w ciemności.

Blum to słyszała. To, co powiedział. Chwilę przed tym, jak go zepchnęła. *Gdzie są dziewczynki?*, spytała. *W Hamburgu*, odpowiedział. *Gdzie w Hamburgu?*, drążyła. *Powiem ci, jak cię zerżnę.* A potem jeszcze jedno zdanie między jej strachem a jego chucią, zdanie, które ją przekonało, że może skończyć tę maskaradę. *Nie martw się, jego siostra dobrze się nimi opiekuje.* To wystarczyło, więcej nie musiał mówić. Chciał ją tylko uspokoić, chciał, żeby przestała pytać, chciał wreszcie wejść na górę i ściągnąć spodnie.

Ruszyła dalej. Musiała znaleźć odpowiednie miejsce, dobrze się złapać. Tam zaczekała. Kiedy się zbliżył, kopnęła go z całej siły. W głowę, niespodziewanie. Włożyła w to uderzenie całą nienawiść, rozpacz, gniew, które ją trzymały przy życiu. On krzyknął, zasłonił się ręką, wczepił w jej nogę. Kopnęła znowu, strząsnęła go z siebie jak robaka. W końcu się zachwiał. I spadł.

Gonzo. Prawa ręka Schielego, jego ulubiony bulterier. Już nic nie powie. Znajdą go, gdy wstanie dzień. Robotnicy przyjdą na budowę, zasłonią usta dłońmi, będą się wpatrywać w pogruchotane ciało, rozbitą czaszkę, kałużę krwi. Zadzwonią na policję. Do zakładu pogrzebowego. Zabiorą ciało. Blum robiła to setki razy. Wozila samobójców, ofiary wypadków, skoczków. Gdy ktoś się dziwił, że martwy leży w trawie, jakby w niej zasnął, mówiła, że to kwestia podłoża. Gdy ciało było nieuszkodzone, choć biedak skoczył z wiaduktu. Czasem są nienaturalnie powyginane członki, ale zwykle nie ma krwi. Bo podłoże amortyzuje upadek. Trawa, ziemia. Gonzo upadł na beton. Jest kompletnie pogruchotany. Poszarpana skóra, połamane kości, mięso na wierzchu. Jest ciemno, lecz Blum to widzi. Oczami wyobraźni. Chociaż w dole jest tylko czarna dziura, która go pochłonęła. Wozila i takie ciała. Zbierała porozrzucane członki, składała je w metalowej trumnie. Wiozła je do zakładu medycyny sądowej, na sekcję, a potem do siebie, do sali przygotowań. Ubierała je i składała w trumnie. Nieważne, co zrobili, nieważne, czy byli dobrzy czy źli, Blum ich grzebała. Nie zadawała pytań. Los sprawił, że umarli. Tak jak Gonzo.

Pijany wariat. Nawalony wspiął się na żuraw, stracił oparcie. Spadł. Znany przestępca, policjanci natychmiast rozpoznają tę twarz. Zaczną dokładniej badać miejsce wypadku. Wejdą na dźwig, szukając śladów walki, drugiej osoby. Założą, że to zabójstwo, może egzekucja. Będą skrupulatni, lecz niczego nie znajdą. Bo wszystko zmyje deszcz. Krople, które nagle na nią spadają. Wyjątkowo przyjemne. Prawdziwy uśmiech losu.

Blum wciąż się nie rusza, czuje zimno, mokre ubranie. Jest na samej górze, wyżej jest tylko niebo. I Karl, który spogląda na nią i kręci głową. *Co ty wyprawiasz, Blum? Musisz stąd zniknąć, niedługo się rozjaśni.* Lecz ona zostaje. Chce jeszcze przez chwilę popatrzeć na miasto. Pomyśleć, co dalej. Musi znaleźć siostrę Schielego. Gonzo nie kłamał, bezmyślnie rzucił jej ochłap. Blum wie, że gdzieś tam na dole za jednym z okien są jej córeczki. I że je znajdzie, przytuli. *Mamusia wszystko naprawiła, powie. Mamusia ich*

wszystkich zabiła.

Kobieta, która siedzi na szczycie dźwigu. Kobieta, która zabiła Gonza. Za chwilę zejdzie. Rozszarpie swój sweter i owinie sobie nim dłonie, ostrożnie zejdzie na dół, wytrze każdy szczebelek, którego dotknęła. Centymetr po centymetrze. Usunie wszystkie ślady, których jeszcze nie zmył deszcz. Ostatni raz rzuci na niego okiem, weźmie jego komórkę. Żeby nikt nie zobaczył zdjęcia sędziego, żeby nikt nie przeczytał esemesów od Schielego, śladów wiodących do niej. Blum wyjmie ją z jego kieszeni, usunie kartę SIM i ją zniszczy. Potem zmiążdży aparat i wszystko wrzuci do rzeki. Nikt go nie namierzy, po prostu zniknie.

Gdy skończy, pojedzie do domu. Usiądzie w autobusie wśród ludzi jadących do pracy, zupełnie zwyczajnie. Nikt nie zwróci na nią uwagi, nikt się za nią nie obejrzy. Będzie siedzieć i patrzeć przez okno. Kobieta, którą złapał deszcz. Deszcz, który wciąż pada.

Położyła się tylko na chwilę, ale nie może zasnąć. Nie ma czasu do stracenia. Łapie rower, musi się spieszyć. Zanim ktoś wpadnie na pomysł, że mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią Gonza. Musi znaleźć siostrę Schielego, dowiedzieć się, gdzie mieszka. Zanim Schiele zacznie pytać, co się wydarzyło tej nocy. Dlaczego jego piesek nie żyje, czy przypadkiem nie była z nim na tym dźwigu. Domyśli się, że to ona, na pewno. Bo nie mogło być inaczej, bo takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Bo była zdolna zabić sędziego.

Najpóźniej koło południa na ekranach telewizorów zamajaczy jego twarz. Sprzątaczką znajdzie go w sypialni. Nagiego, z rozbitą głową, odgryzionym uchem. Blum spuściła je w toalecie. Myśli o Schielem, o tym, że dostał to, czego chciał. I że jeszcze nie wie, że Gonzo nie żyje. Na pewno próbował się do niego dodzwonić, wiele razy. By spytać, co z Marie, czy mają ją pod kontrolą. Ale telefon milczy, Gonzo nie składa raportu. Schiele wciąż nie wie, co się stało. Jeszcze przez kilka godzin Blum może spokojnie szukać dziewczynki.

Wypytuje wszystkich, których poznała w ostatnich miesiącach, każdego, kto może coś wiedzieć. Dziewczyny, kelnerów, wszystkich, którzy nie śpią, co do których może mieć nadzieję, że nie pobiegną zaraz do Schielego, by mu powiedzieć, że ktoś węszy. Pyta mimochodem, jakby dopiero teraz przeszło jej to przez myśl. *Ma jeszcze jakąś rodzinę? Kiedy ojciec trafił za kratki, został sam, prawda? Zachowuje się, jakby była jedną z nich, zdjęła opatrunek zasłaniający piętno. Niech wszyscy widzą, że jest jedną z jego dziewczyn. Właśnie jedzie do pracy. Każdemu zadaje te same pytania. Ma brata? Albo siostrę? Nic. Nikt nic nie wie. Są tylko ojciec i syn. Jego matka umarła, nikogo więcej nie ma. Żadnego rodzeństwa.*

Blum nie wierzy. Nie dopuszcza do siebie myśli, że Gonzo ją okłamał, że zmyślił to tylko po to, żeby przestała pytać, żeby się wreszcie zamknęła i rozłożyła nogi. Małe kłamstewko, iskierka nadziei w stosie martwych ciał, pragnienie, które się nigdy nie ziści. Choćby nie wiem, ile razy pytała, niczego to nie zmieni, również kelner w ponurej knajpie nie powie jej nic innego. Znowu znika w miejscu, gdzie wciąż trwa noc. Zostawia dzień za drzwiami, wślizguje się do środka, siada przy barze. Obskurne miejsce. Prawdziwa mordownia. Blum uśmiecha się z udręczeniem. *Miałam ciężką noc, muszę się napić*, mówi.

Marie Müller. Pokazuje kelnerowi znamię, jakby to był bilet wstępu do tego świata. Gra nowicjuszkę, która chce się wkupić w łaski, ulubiona klaczka Schielego pospolituje się z szaraczkami. Pije. Musi być trzeźwa, szukać dalej, chociaż czuje, że opuszczają ją siły. *Coś, co mnie postawi na nogi*, mówi do kelnera. Czuje w ustach wódkę zmieszaną z czymś słodkim. Wlewa to w siebie. Bo nie chce się pogodzić z myślą, że zabrnęła w ślepą uliczkę. Że nie ma światełka w tunelu. Bo żadna siostra nie istnieje.

Mimo to siada, skanuje otoczenie, zastanawia się, z kim jeszcze mogłaby porozmawiać. Samotni mężczyźni, zbłąkane dusze. Jest jedyną kobietą w lokalu. Gapią się na nią, niektórzy kręcą głowami. Chociaż stara się być sympatyczna i czarująca, jest ciałem obcym, nie wie, jak długo będą ją tolerować, ile zostało jej czasu, nim ją wyrzucą. *Od kiedy dziwki mają tu wstęp?*, pyta jeden z nich. *Zamknij mordę*, odpowiada mu kelner. I wtedy otwierają się drzwi.

Nie widzi go, słyszy tylko głos. Nie spodziewała się, że się tu zjawi. Odwraca się. Widzi, jak ruchem głowy wskazuje jednemu z mężczyzn, że ma się wynosić. Zbliżyła się do niej, nachyla, szepcze do ucha. *Miło cię widzieć, Marie*. Schiele.

– Dlaczego jesteś taka przerażona? Nie cieszysz się, że przyszedłem? Wyruszyłem, jak tylko się dowiedziałem, że cię tu znaję.

– Co ty tu robisz?

– Jak się zapewne domyślasz, ten piękny lokal należy do mnie, więc pomyślałem, że zajrzę. Trzeba doglądać interesu.

– Czego ode mnie chcesz?

– Pytanie raczej, czego ty chcesz ode mnie, prawda?

– Zrobiłam, czego żądałeś. Możemy chyba już skończyć tę zabawę, nie sądzisz?

– Bynajmniej, Marie. Ta cała historia coraz bardziej mi się podoba. Zdjęcie, które mi przysłałaś, wprawilo mnie niemal w ekstazę. Świetna robota, naprawdę. Wiedziałem, że dasz sobie radę. Brawo.

– Chcę odzyskać córeczki.

– Już niedługo, Marie, już niedługo. Brakuje jeszcze dwóch małych Murzynków. Wtedy będzie po wszystkim.

– A jeśli powiem „nie”?

– Nie masz pojęcia, ile dzieci rocznie znika w Niemczech bez śladu. To przerażające, Marie, naprawdę.

– Nie musisz mi grozić, Schiele.

– Nie?

– Nie. Zrobiłam, co mi kazałeś, w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin zabiłam dla ciebie dwóch ludzi.

– Tylko?

– Nie rozumiem.

– Gonzo nie żyje. Ale zapewne już o tym wiesz.

– O czym ty mówisz?

– Znaleźli go dzisiaj rano. Mówią, że spadł z dźwigu.

– Z dźwigu? Co ty znów wymyśliłeś?

– Nie do wiary, prawda? Po prostu na niego wlaźł. I spadł. W środku nocy. Wariat.

– Po co miałyby wlaźić na jakiś dźwig?

– Też się nad tym zastanawiam. Może ty mi powiesz? Odpowiesz na pytania, które mi się cisną na usta, co?

– Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Rozmawialiśmy, powiedziałam mu, żeby mi dał spokój, że chcę wracać do domu. Mówiłam, że chciałam rozmawiać z tobą, a nie twoim pieskiem.

– Więc żył, kiedy go ostatni raz widziałaś, tak?

– Oczywiście. Wkurzyłam się, że go przysłałeś, zamiast samemu przyjechać. Chciałam wrócić do domu i położyć się spać. Przysięgam, nie wiem, co się stało z twoim gorylem.

– Jesteś pewna?

– Daj spokój, miałam inne zmartwienia. Pamiętasz zdjęcie, które ci wysłałam? Jeden trup na noc wystarczy, nie sądzisz?

– Jakoś trudno mi wierzyć w to, co mówisz, Marie. Bardzo trudno. Po tym, co się zdarzyło, to wręcz niemożliwe.

– Możesz mi zaufać.

– Niestety nie. Bo popełniłaś błąd, Marie. Jestem bardzo rozczarowany.

– O czym ty mówisz?

– O twoim przyjacielu szkutniku.

– Co z nim?

– Twój plan był niezły, ale nie dość dobry.

– Zabiłam go i spaliłam, czego chcesz więcej?

– Nie mam pojęcia, kogo spaliłaś, ale to na pewno nie był twój żaloszny przyjaciel.

– Co to ma znaczyć?

– Nie zabiłaś go, Marie.

– Jak to?

– Nie obawiaj się, moja droga. Naprawiłem twój błąd.

31

Tino. Ileż to razy w ostatnich dniach próbowała się do niego dodzwonić, jeszcze raz go poprosić, żeby nie wracał. Nagrała mu wiadomość, próbowała go uspokoić, przekonać, by jej zaufał, trzymał się z daleka od domu, od miasta. Obiecywała mu gwiazdkę z nieba, łudziła nadzieją na wspólne życie. *Kiedy będzie po wszystkim*, powiedziała. Bo czuła, że coś się stanie, że Tino jest sam na morzu i nie może się z tym pogodzić. Że Schiele czyha, gotów w każdej chwili zaatakować. *Naprawiłem to, dla ciebie*, powiedział. *Miałabyś problem, gdyby twój mały szkutnik pojawił się nagle cały i zdrowy.*

Blum stoi w porcie i opłakuje śmierć Tina. Musieli sprawdzić, czy jest jego łódź. Prawdopodobnie Schiele od początku nie wierzył, że jest gotowa to zrobić. Może śledzili Tina, podsłuchiwali jego komórkę? *Nie zabiłaś go, Marie*. Schiele powiedział to z uśmiechem na twarzy. *Naprawiłem twój błąd*. Powiedział to godzinę temu, z zadowoloną miną. Pokazał jej, że to on tu rządzi, nie ona. Wciąż słyszy jego głos, każde słowo jest jak potężny cios, smgnięcie batem.

– Osobiście się nim zająłem.

– Co mu zrobiłeś?

– Już mówiłem: naprawiłem twój błąd. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby martwy pogorzelec zaczął się kręcić po Blankenese? Policja byłaby u ciebie szybciej, niż przypuszczasz. Uchroniłem cię przed dożywociem. Niezbyt przyjemna perspektywa, prawda?

– On ci nie zrobił nic złego.

– Chciał tego samego co ja. Ciebie. A taki układ nigdy nie działa. Jedna klacz i dwóch jeźdźców. Naprawdę, tak będzie lepiej. Dla nas wszystkich.

– Gdzie on jest?

– Może w niebie? Albo w piekle. Nie mam pojęcia. Kto wie, co

biedaczek porabiał w tym życiu? Trudno zajrzeć za fasadę i tak naprawdę poznać człowieka. Dowiedzieć się, co myśli, co zrobił. Albo czego nie zrobił.

– Skończ z tym, Schiele.

– Okłamałaś mnie, Marie. Zdradziłaś. Cokolwiek teraz powiesz, już nigdy ci nie zaufam. A może powiesz mi prawdę? Jeszcze raz mnie rozczarujesz? A jeśli odkryję, że miałaś coś wspólnego ze śmiercią Gonza? Może powinna zginąć jedna z twoich córeczek? Tak by było sprawiedliwie, nie sądzisz?

– Przestań!

– Wybieraj, Marie. Z którą będzie ci łatwiej się rozstać? Z Emmą czy z Katrin? Przecież zawsze jedno dziecko kocha się bardziej, prawda? Powiedz, będę wiedział, gdy się okaże, że znów mnie okłamałaś.

– Nie kłamię.

– Gonzo był dla mnie jak brat. Jego śmierć bardzo mnie zasmuciła.

– Przykro mi, ale już ci mówiłam, nie mam z tym nic wspólnego. Chcę tylko odzyskać dzieci i zrobię wszystko, by tak się stało. Musisz mi wierzyć.

– Próbuję, Marie. I wybaczę ci to małe oszustwo ze skutnikiem. Nie chcemy być zbyt pryncypialni, prawda? A więc naprzód, ku nowym lądom, Marie. Dokończmy dzieło, byśmy mogli wspólnie zacząć wszystko od nowa. Już się nie mogę doczekać. Po wszystkim możemy się wybrać na wspaniałą wycieczkę. Ty, dziewczynki i ja. Może nad Bałtyk? Tam jest tak pięknie latem.

Siedzieli w knajpie. Blum widziała jego twarz, jego oczy. I to, co się w nich kryje. Wciąż je widzi. Wie, że to nie zabawa, Schiele nie strzela ślepakami. Ma ostrą amunicję. I trafia. Tino nie żyje. Już nigdy nie odbierze telefonu, nie weźmie jej w ramiona, nie będzie się bawił z dziewczynkami, z jego ust nigdy się nie dobiedzie śmiech, nie robi żadnego z tych swoich głupstw. Kolejne martwe ciało na jej drodze, kolejne wspomnienie, które przeszywa ją bólem. Żal. Wyrzuty sumienia. *To ty go zabiłaś, Blum. Ty*

jesteś odpowiedzialna za jego śmierć. Masz go na sumieniu.

Tino. Zabili go i pozbyli się ciała. Zniknął. *Nie musisz się niczego obawiać, powiedział Schiele. Możesz się spokojnie zająć gliniarzem. Nie popełnisz już błędu, Marie. Rozumiesz?* Daje jasno do zrozumienia, że to jej ostatnia szansa, że jeśli jeszcze raz spróbuje go wywieść w pole, jedno z jej dzieci umrze. *Ech, Marie, Marie. Wszystko zepsujesz, jeśli będziesz tak dalej postępować. Wciskasz gaz do dechy i pędzisz prosto na ścianę. Naprawdę tego chcesz?* Pyta przyjaznym tonem. Siedzą w knajpie, blisko siebie. Blum i Schiele.

Mogła wręcz czytać w jego myślach, w oczach. Wcale tego przed nią nie skrywał. Tego, że wciąż jej pożąda. Wciąż chce ją mieć pod kontrolą. Chce, żeby mu się oddała, dobrowolnie. Nie chce jej wziąć siłą, chce, żeby przyszła sama. Ma go błagać, by wziął ją w ramiona, pocałował. Chyba naprawdę wierzy, że to możliwe. Że wciąż mogą być razem. Po tym wszystkim, co się stało. Że kiedy to się skończy, będzie z nim dzielić życie, że jego pragnienie się spełni. Jest dla niego jak ropucha, którą wyciągnął z błotnistego bajora, jak żaba, którą chce pocałować, bo wyobraża sobie, że to księżniczka w zielonej skórce. Jego Marie. *Nie chcę cię krzywdzić, powiedział. Byłoby szkoda tak ślicznej buzi. Naprawdę, nie wybaczyłbym sobie, gdybym cię musiał uderzyć.*

Brutalna siła, która ma ją nauczyć rozumu, pięść, która w jej wyobraźni raz po raz ląduje na jej twarzy. W innych okolicznościach już dawno by to zrobił, ale się pohamował. Nie wiercił jej dziury w brzuchu, nie przyparł do ściany, by się dowiedzieć, czy miała coś wspólnego ze śmiercią Gonza. Tylko ją nastraszył, potrząsnął nią, pokazał, że ta gra toczy się według jego reguł. Bo tak sobie umyślił. Tak, a nie inaczej. Została tylko pusta łódź. Tino. Gdy Blum o nim myśli, chce umrzeć. Stoi w porcie i patrzy, jak jego cacko kołysze się na falach. Bez niego. Był taki kochany. Tak bardzo by chciała, by wyszedł spod pokładu, uśmiechnął się do niej. Tak bardzo by chciała raz jeszcze go dotknąć, powiedzieć mu, że to wszystko

nieporozumienie, pomyłka. Usiąść z nim na tarasie, napić się wina, słuchać go, jak opowiada o swoich łodziach. Tino. Odszedł. I już nigdy nie wróci. Tak powiedział Schiele. A potem wyjaśnił, co dalej. *Patrz w przyszłość, Marie. Czeka kolejne nazwisko z listy.*

Policjant, który prowadził śledztwo przeciw Cichemu Paulowi. Schiele go nienawidzi. Gdy o nim wspomina, wpada nieomal w furję, rzuca przekleństwami, mówi, że ze wszystkich na liście ten najbardziej zasłużył na śmierć. Prawdziwy wrzód na dupie, menda, szkodnik, który przez lata nie dawał im spokoju, maniak, który go sobie upatrzył. Schiele szczuje na niego Marie, w ciągu kilku minut robi z niego potwora, który zasłużył na śmierć.

Kolejna figura, która musi spaść z szachownicy, życie, które musi zgasnąć, by ona mogła żyć dalej. Ona i jej córeczki. *Zabij go*, powiedział Schiele. *Ależ z ciebie suka*, pomyślała Blum, patrząc w toalecie na swoje odbicie w lustrze. Schiele czekał w barze. Chciałaby zapomnieć, wymazać wszystko z pamięci. Tina, sędziego, Gonza. Tak bardzo chciałyby zobaczyć w tym lustrze beztroską twarz, uśmiech mówiący, że wszystko będzie dobrze. Lecz była tylko pogarda. Z każdą sekundą coraz większa. Spadła na dno szamba.

Sytuacja bez wyjścia i smak alkoholu w ustach. Blum wsiada do karawanu i jedzie na północ, zostawia za plecami łódź Tina. Jeśli jej maleństwa mają przeżyć, musi robić, co każe Schiele. Nie będzie już o tym myśleć, zastanawiać się, czy postępuje słusznie. Nie chce niczego widzieć, niczego słyszeć, nic mówić. Po prostu działa. Parkuje przed blokiem, w którym mieszka policjant. Będzie czekać tak długo, aż wróci. Zostanie w wozie i będzie go śledzić. Przy pierwszej okazji zrobi to. Bez wahania. Bo tak chce Schiele, bo nie znajdzie tej czerwonej zjeżdżalni, bo nie ma żadnej przeklętej siostry. Bo jest bezradna. Nie wie, co innego mogłaby zrobić.

Daniel Lambert. Mieszka na parterze, wygląda na jakieś pięćdziesiąt lat. Blum patrzy, jak parkuje, wyjmuje z bagażnika torby z zakupami, wchodzi do domu. Po minucie zapalają się światła. Zastłony są rozsunięte, widać go w kuchennym oknie. Blum obserwuje, jak wkłada do piekarnika mrożoną pizzę, myje sałatę, nakrywa do stołu. Nie tylko dla siebie, również dla kogoś, kogo nie widać. Blum nie wie, kto jeszcze jest w mieszkaniu, zastłony w drugim oknie są zaciągnięte, w pokoju nie pali się światło. Blum nie wie, czy to kobieta, dziecko czy może przyjaciel. Schiele podał jej tylko adres, rysopis. Sama musi zebrać pozostałe informacje, poznać jego przyzwyczajenia, plan dnia, ścieżki, którymi chadza, wszystkie powtarzalne elementy życia. Musi znaleźć miejsce, gdzie da się to zrobić, musi mieć pewność, że nikt jej nie wejdzie w paradę, musi znaleźć właściwy moment, obmyślić niezawodny sposób. Tak żeby osiągnąć cel. Dlatego czeka. Zostanie, aż wzejdzie słońce, aż Lambert wyjdzie z mieszkania. Aż jej pokaże, kim jest.

Daniel Lambert. *Piękne nazwisko*, myśli Blum. Potem zastanawia się nad tym drugim talerzem. Myśli o kimś, kto jest w tym mieszkaniu, kogo Lambert zostawi. Gdy umrze. Gdy spocznie na hamburskim cmentarzu, pogrzebany lub skremowany. Blum układa plan, jak to zrobić. Potrąci go. Jeśli będzie trzeba, zahamuje i przejedzie go drugi raz. Żeby umarł, żeby miała pewność, gdy powie Schielemu, że wykonała pracę domową. Daniel Lambert zostanie martwy na środku ulicy. Ktoś go znajdzie i wezwie policję.

Przyjadą i wszystko dokładnie zbadają. Przesłuchają świadków, ale wszyscy tylko pokręcą głowami. Nikt nic nie widział. Zadzwonią do zakładu pogrzebowego, by zabrano ciało. Jeśli los się do niej uśmiechnie, wezwą Johanna, a on wyśle swoją najlepszą pracownicę. Marie Müller. Zadzwo-

do niej i poprosi, by odebrała zwłoki. A ona zdrapie z ziemi martwego gliniarza i umieści go w metalowej trumnie, jakby go pierwszy raz widziała na oczy. Zawiezie go do zakładu medycyny sądowej. Tak właśnie się stanie, jeśli Daniel Lambert za chwilę wyjdzie z domu. Blum jest zmęczona, próbuje nie zasnąć. Nie chce przegapić chwili, gdy drzwi się otworzą i Lambert wypchnie na dwór wózek inwalidzki.

Drugi talerz. Młoda kobieta. Wychodzi z nią na spacer. Blum wysiada i idzie za nimi. Niezbyt blisko. Daniel Lambert nie ma pojęcia, że ktoś patrzy, jak pcha ulicą kobietę na wózku. W stronę parku. Rozmawia z nią, o czymś jej opowiada, zachowuje się naturalnie, jakby robił to każdego dnia. Są ze sobą bardzo związani. Codziennosc dwojga ludzi, niepełnosprawność, młoda twarz, której Lambert czule dotyka dłońmi. Zatrzymują się, przed nimi szumi fontanna. Długo milczą, patrzą tylko na wodę. Zapada cisza, czuć smutek. Ponad pół godziny milczenia, potem wstaje i pcha ją z powrotem. Tą samą drogą. Wózek znika w drzwiach bloku.

Blum nie chce wiedzieć, ale zarazem czuje, jak wzbiera w niej ciekawość. Kim jest ta kobieta, czy jej podejrzenia są trafne. Czy to jego córka, dlaczego siedzi na wózku, czy mieszkają tylko we dwoje. Czy jest ktoś, kto mógłby się nią zaopiekować. Młodą kobietą, która z nim mieszka, z którą chodzi na spacer przed pracą, z którą wieczorami po powrocie do domu jada kolacje. Jest zdana na jego pomoc, prawdopodobnie ma tylko jego. Blum wypiera te myśli, chce się ich pozbyć, nie chce mieć z tą historią nic wspólnego, nie chce go poznać. Chce tylko, żeby wyszedł z domu i gdzieś pojechał. Będzie go śledzić, dowie się, co robi. Potem wróci za nim do domu. Do tej młodej, ładnej kobiety. Blum czeka, wciąż widzi jej twarz. Nie chce tego, ale nie może się od niej uwolnić. Bo jest niepełnosprawna, chora, bezradna, bo może poruszać tylko rękoma, tułowiem, głową. Blum zastanawia się, co się z nią stanie, gdy go zabraknie. Czy da sobie radę sama. Bez niego.

Czeka. Tak bardzo by chciała, żeby już wyszedł z domu, żeby się

pożegnał z kobietą na wózkach i pojechał do pracy. Ale nic z tego. Musi cierpliwie czekać. Pogodzić się z tym, że nie może zajrzeć przez ścianę, że to, co łączy tych dwoje, rozgrywa się za zaciągniętą zasłoną. Patrzy na dom, przestępuje z nogi na nogę. Nie może stracić z oczu wejścia, nie może odejść zbyt daleko od bloku, nie może zwrócić niczyjej uwagi. Mimo to idzie pod drzewo i zagaduje mężczyznę, który obcina gałęzie. Musi się dowiedzieć, kim jest ta kobieta. Chce usłyszeć, że śmierć Daniela Lamberta nie będzie dla nikogo problemem. Że ta młoda kobieta jest w stanie o siebie zadbać. Chce usłyszeć coś, co ją uspokoi. Cokolwiek. *Przepraszam, mogę przeszkodzić? Chciałabym o coś spytać.* Stoją pod jabłonią, nieznajomy mężczyzna patrzy na nią życzliwie i odpowiada. Dla gadatliwego starszego pana rozmowa z nią to przyjemna odmiana. Uśmiecha się do niej.

– Czym mogę służyć pięknej pani?

– Bardzo pan miły.

– Śmiało, chce pani o coś zapytać, a ja chętnie odpowiem. Nie co dzień mam przyjemność spotkać tak czarującą damę.

– Pan mnie zawstydza.

– No więc? Czym mogę służyć?

– Nie jestem pewna, czy to wypada... Zwykle nie jestem tak wścibska, proszę mi wierzyć.

– Teraz mnie pani zaintrygowała.

– Właśnie spacerowałam w parku i widziałam poruszającą scenę. To nie moja sprawa, ale z jakiegoś powodu nie daje mi to spokoju. Jestem z natury ciekawska i łatwo się wzruszam, a to czasem prowadzi do dziwnych sytuacji. Proszę mi wierzyć, że z trudem powstrzymuję łzy.

– O co chodzi?

– Niezręcznie mi o to pytać, bo to nie moja sprawa.

– Moja droga, odrobina ciekawości jest bardzo zdrowa.

– Chodzi o tę młodą kobietę na wózkach. I o mężczyznę, który z nią chodzi na spacer. Są ze sobą bardzo związani. Aż miło na nich patrzeć.

- Mówi pani o Danielu i Mai? To jego córka.
- Widziałam, że weszli do tego domu, i pomyślałam, że pana spytam. Co jej się stało?
- To tragiczna historia.
- Przepraszam, nie powinnam panu przeszkadzać. Jest pan bardzo zajęty.
- Proszę się nie obawiać. Mogę pani o tym opowiedzieć. Życie bywa okrutne, ale zapewne to pani wie doskonale.
- Niestety.
- Jestem tu dozorcą. Znam Maję od dwudziestu pięciu lat, odkąd stawiała pierwsze kroczki na tym podwórku. To naprawdę straszne, co się jej przytrafiło.
- Miała wypadek?
- Nie.
- Więc co?
- Chciała się zabić.
- Straszne.
- Sześć lat temu rzuciła się pod pociąg. Lecz los zdecydował inaczej.
- Przeżyła, to chyba dobrze, prawda?
- Ale straciła nogi.
- Koszmar, nie zauważyłam. Była okryta kocem, myślałam, że jest sparaliżowana.
- To była cudowna dziewczyna, pełna radości, świat leżał u jej stóp. A dziś siedzi na wózku i musi jakoś dalej żyć. Dzięki Danielowi jako tako daje sobie radę, ale bez niego by sobie nie poradziła.
- A jej matka?
- Zmarła na raka, gdy Maja miała szesnaście lat. Wtedy się wszystko zaczęło. Od tamtej pory było już tylko gorzej.
- To bardzo smutne, co pan mówi.
- Niestety. Ale nie tracę nadziei, że kiedyś odzyska dawny uśmiech. *Może w końcu dla odmiany spotka ją w życiu coś dobrego.*

- Na pewno. Będę trzymać kciuki. Muszę już iść, inaczej się spóźnię na ważne spotkanie.
- Wygląda pani na bardzo zmęczoną.
- Ostatnio mało sypiam.
- To niedobrze.
- Co zrobić...

Nie ma nóg i nie ma już ojca, który by wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka, wyprowadził na spacer do parku. Maja Lambert. Może w końcu dla odmiany spotka ją w życiu coś dobrego, powiedział dozorca. Co w tym dobrego, że umrze jej ojciec, że zostanie sama na tym zasranym świecie? Tak będzie i Blum na to nic nie poradzi.

Żałuje, że spytała. Chce wyrzucić z głowy to, co słyszała. Zapomnieć o obciętych nogach, o dziewczynie, która próbowała się zabić. Blum nie chce mieć z tym nic wspólnego, to nie jej historia. *Masz własne problemy. Weź się w garść, Blum. Zrobisz to, co musisz. Przestań się zastanawiać, co jest słuszne. Nie możesz już popełnić żadnego błędu. Żadnego. Pomyśl o swoich dzieciach, ty głupia krowo.* Blum krzyczy. Łamiącym się głosem. W karawanie.

Jest zmęczona i zrozpaczona. Jedzie w kierunku lotniska, zachowuje odpowiednią odległość, parkuje dwadzieścia metrów od niego, przed Krajowym Urzędem Kryminalnym. Zostaje w aucie i patrzy, jak Lambert wchodzi po schodach i znika w budynku. Znów będzie czekać, tak jak czekała przez całe przedpołudnie. Znów będzie widzieć obrazy, które nie chcą zniknąć jej z głowy. Jak Lambert opiekuje się swoją córką, jak ją myje. Jak ją rozbiera w łazience i wkłada do wanny. Ojciec, który się troszczy o swoje dziecko. Tak jak kiedyś Mark. Ojciec Umy i Neli, najcudowniejszy człowiek, jakiego Blum spotkała w swym życiu. *Zrobię dla nich wszystko,* powiedział. Blum przypomina sobie, że siedzieli wtedy przed domem, na ławce. Tak dawno temu. A jednak wciąż go słyszy. Głos, który rozdziera jej serce, nim zaśnie.

– Musimy je chronić.

– Nie rozumiem.

- Dziewczynki. Zrobiłbym dla nich wszystko.
- Wiem.
- Nie zniósłbym, gdyby coś im się stało.
- A co by się miało stać?
- Nic. Po prostu nie mogę znieść tej myśli.
- Nic im nie grozi.
- Popatrz na nie. Są takie maleńkie, takie bezbronne. Proszę, weź mnie za rękę.
- Co ci jest?
- Boję się, że to się niedługo skończy.
- Chodź tu.
- Z tobą wszystko jest łatwiejsze.

Tuliła go, głaskała po głowie, pocałowała w czoło. A jednak miał rację. Skończyło się. A teraz jego strach stał się jej strachem. *Nie mogę znieść myśli, że mogłoby im się coś stać. Są takie maleńkie, takie bezbronne.* Uma i Nela. Musimy zrobić wszystko, żeby je chronić, Blum. To jej ostatnia myśl, nim zapadnie ciemność. Przeszła na tył, tam, gdzie normalnie leży trumna. Chce się zdrzemnąć, choć chwilę, kilka minut odpocząć. Już go nie zgubi. Daniel Lambert zostanie w swoim biurze. Nim wyjdzie, Blum się obudzi. Zaśnie tylko na pół godzinki, żeby odzyskać jasność myśli. *Nie martw się, Blum. Niedługo je zobaczysz. Już niedługo. Wszystko będzie dobrze.*

Wciąż to samo znajome zdanie. Słyszy je w dali, w ciemności. Są w ogrodzie. Jest zima, pada śnieg, dziewczynki lepią bałwana, śmieją się. Blum przynosi z kuchni marchewkę, stary garnek, który wkładają bałwanowi na głowę. Z nieba spadają wielkie płatki śniegu. Robi się białe. Już się nie boi, przez cztery godziny znów jest szczęśliwa. Potem otwiera oczy. W jednej chwili topnieje śnieg, znikają dziewczynki, znowu jest sama. Wszystko jest tak, jak było. Nie ma Marka, Tina, Rezy, Umy, Neli. Nie ma nikogo. Jest tylko Blum. Na parkingu.

Nagle przesywa ją strach, że odjechał. Daniel Lambert. Że straciła cenny czas, być może przegapiła idealną okazję. Spanikowana przeciska się na przód, siada za kierownicą i wypatruje jego smutnej twarzy, wozu. Stoi na swoim miejscu, tam, gdzie go zostawił. Lambert jest jeszcze w biurze, Blum się uspokaja. Czeka. Aż zejdzie po schodach, wsiądzie do auta, odjedzie. W końcu. Rusza za nim. Kiedy on przyspiesza, przyspiesza i ona, kiedy parkuje, ona również się zatrzymuje. Jest przytomna, uważna. Już go nie zgubi. W zimie będzie lepić z dziewczynkami bałwana. Zrobi wszystko, by tak się stało.

Daniel Lambert tankuje. Blum patrzy, jak otwiera wlew paliwa, zamyka go, idzie do kasy. Wychodzi, staje w słońcu i pije. Duszką opróżnia całą buteleczkę i ją wyrzuca. Parę razy głęboko oddycha, potem wsiada do wozu i jedzie dalej. Ze smakiem jägermeistra w ustach. Bo nie jest w stanie udźwignąć życia. Na pewno dlatego. Dlaczego się nie zabije? Dlaczego się nie rozpedzi i nie uderzy w drzewo? *Zrób to, po prostu umrzyj*, myśli Blum.

Jadą do dzielnicy burdeli. Parkują. Lambert pierwszy, Blum za nim. Nie widzi jej. Zwykłej turystki, która się włóczy po Reeperbahn. Z kapturem na głowie. Przystaje, ilekroć widzi, że się zatrzymał. Czeka, aż ruszy dalej, aż wyjdzie z lokalu, do którego zajrzał. Zwykły dzień pracy policjanta z wydziału zajmującego się handlem ludźmi. Lambert zasięga języka u swoich informatorów, on też chce wiedzieć, co naprawdę się stało w nocy, dlaczego Gonzo zginął. Po co wlaż na ten dźwig. Prawa ręka Schielego. Jest się czym martwić, warto drążyć i węszyć. Lambert chce wiedzieć, czy Schiele ma z tym coś wspólnego. Lambert chce go wsadzić za kratki. *Świnia od lat mi bruździ*, powiedział Schiele. *Zasłużył sobie*.

Jadą na wschód, w stronę Aussenalster. Wciąż słyszy głos Schielego. *Zrobisz coś dobrego, naprawdę*. Zatrzymuje się na światłach i patrzy na piętno. Odsuwa opatrunek, by sprawdzić, czy nie wdało się zakażenie. Jego nazwisko na jej skórze, wciąż boli. Jego słowa palą ją w środku. Blum wie, co musi zrobić, by zamilkł, by przestał się mieszać w jej życie. Dlatego nie

spuszcza Lamberta z oczu, jej stopa naciska gaz. Aż Lambert znów się zatrzyma. Tam, gdzie mieszkają bogacze, nad samym brzegiem, w najpiękniejszym zakątku Hamburga. Wysiada i naciska dzwonek przy furtce. Wspaniała willa, niemal feudalny zamek. Blum się zastanawia, czego Lambert tu szuka. Kim jest kobieta, która mu otwiera. Dlaczego Lambert rusza w stronę frontowych drzwi i znika w środku.

Blum czeka. Znów nie zostaje jej nic innego, jak patrzeć na wskazówkę zegara. Nie może nic zrobić, by uratować swoje dziewczynki. Wie, że musi jak najszybciej podjąć decyzję. To nie może trwać wiecznie. Lambert jedzie tu, Lambert jedzie tam. A jej maleństwa wciąż nie są tam, gdzie powinny. Przy niej. Bezpieczne.

Czeka dwadzieścia minut. Potem wysiada, idzie wzdłuż ogrodzenia, zagląda do ogrodu. Chce zabić czas, spojrzeć na cudowny świat po drugiej stronie płotu. *Nie mam wyboru, Lambert*, mówi pod nosem. I wtedy staje jak wryta. Nagle dostrzega wyjście. Przypomina sobie zachwyty dziewczynek. O tym, czego tak rozpaczliwie szukała. Plastikowe чудо. *Mamy tu nawet zjeżdżalnię. Wielką i bardzo długą. Jest cała czerwona.* Stoi na samym brzegu.

34

Blum została. Lambert wyszedł z domu i wsiadł do swojego wozu. Blum pozwoliła mu jechać, nie ruszyła za nim. Została przed domem wpatrzona w ogród. W środku aż się gotuje. Chce wiedzieć, co to ma znaczyć. Czy znajdzie tu swoje maleństwa. To nie może być przypadek. Zjeżdżalnia, wizyta Lamberta. Ten dom musi należeć do Schielego. Może to ta kobieta, o której mówił Gonzo? Jego siostra. Blum chce w to wierzyć. Chociaż nikt o niej nie wie, istnieje, jest tutaj. *A dziewczynki muszą być z nią. My też chcemy taką zjeżdżalnię, mamusiu. Łap nas, mamusiu. Gdzie byłaś tak długo, mamusiu?*

Lecz wokół panuje cisza. Nic nie wskazuje na to, że mogą tu być. W ogrodzie nie ma żywego ducha. Musi wejść do domu. Idzie do furtki. *Gabinet weterynaryjny Zwischnovski*, głosi napis na złotej tabliczce. Blum naciska przycisk domofonu i mówi. Stawia wszystko na jedną kartę, intuicja podpowiada jej, że się nie myli. Że drzwi się otworzą. Tak jakby wstukwała odpowiedni kod na zamku skarbcza. *Przysłała mnie pani brat*, mówi. Dwie sekundy ciszy, potem brzęczenie zamka.

Blum zamyka oczy. Serce wali jej jak oszalałe. Znalazła je. Umę i Nełę. Bez wahania idzie do drzwi frontowych, ściska rękę nieznanym kobiecie, która się wpatruje w jej piętno.

- Czego chce tym razem?
- Mogę prosić o szklankę wody? Nie czuję się najlepiej.
- Powiedziałaś mi, że nie chcę tu widzieć żadnej z was.
- Proszę, muszę się napić. Inaczej za chwilę zwymiotuję.
- Słucham?
- Źle się czuję. Muszę się napić, wtedy mi przejdzie.
- Jeśli mi pani zapaskudzi dywan, zabiję. Niech pani wypije i znikaj. Nie

chcę, żeby panią widzieli sąsiedzi. To nie jest dzielnica dziwek, to chyba widać, prawda?

– Dzielnica dziwek?

– Ani podejrzliwych gliniarzy. Mam tego po dziurki w nosie. Proszę to powiedzieć mojemu bratu. Nie życzę sobie, żeby ktoś tu węszył. Nie chcę, żeby któryś z sąsiadów pomyślał, że mam coś wspólnego z tym całym szambem.

– A nie ma pani?

– Nie, nie mam.

– Ale mieszka pani w tym ślicznym domu, wątpię, żeby pani na niego zarobiła uczciwą pracą.

– Jestem weterynarzem, ale nie zamierzam się pani tłumaczyć z moich dochodów. Proszę opuścić mój dom.

– Bo?

– Niech pani mówi, o co chodzi, i zjeżdża.

– Mam odebrać dzieci.

– Słucham?

– Dwie dziewczynki, mam je zabrać.

– Kim pani jest?

– Jak już się pani słusznie domyśliła, pracownicą pani brata. Powiedział mi, że mam stąd odebrać dzieci i mu je przywieźć.

– Tak powiedział?

– Tak.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi.

– O, doskonale pani rozumie. Nie traćmy więc czasu. Proszę mi dać dzieci i już stąd znikam.

– Tu nie ma żadnych dzieci.

– Więc ma mi pani powiedzieć, gdzie są.

– Już powiedziałam, nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– O Emmie i Katrin.

- Nie znam nikogo o takim imieniu. A już na pewno nie dzieci.
- A to? Co to takiego?
- O czym pani mówi?
- O tym różowym piórniku.
- To moje.
- Nie sądzę.
- Proszę wyjść.
- Nie wyjdę bez moich dzieci.
- *Pani* dzieci?
- Tak, *moich*.
- Za chwilę zadzwonię do brata.
- Lepiej nie.
- Zrobię to.
- Nie.

Blum uderza. Kryształową popielniczką. Dziesięć sekund temu z ust kobiety płynęły słowa, a teraz milczą. Blum chciała, żeby przestała wciskać klawisze. W rękę trzymała komórkę, zamierzała wybrać numer Schielego. *Coś się dzieje. Jest tu matka dziewczynek. Masz tu przyjechać i się tym zająć.* Już mu tego nie powie. Upadła, zanim zdążyła się z nim połączyć. Siostra Schielego leży jak drzewo. Powalona przez Blum. W środku lasu. Jest ciemno. Dzwonka zgasła światło.

Pusto. Ani żywego ducha. Chociaż przeszukała wszystkie pokoje. Chociaż pootwierała wszystkie drzwi. Chociaż tak bardzo chciała je znaleźć. Nikt nie odpowiada na jej wołanie, nikt nie rzuca jej się na szyję, nikogo nie ma. Sprawdziła najciemniejsze zakamarki. Ani śladu dziewczynek. Tylko piórniki Neli, leży w kuchni obok ekspresu. Blum wie, że tu były, że nie uderzyła tej kobiety bez powodu. Kredki jej córeczki mówią jej, że postąpiła słusznie. Ulubiona temperówka Neli, pióro, które dostała na urodziny. Blum musiała to zrobić. Związała kobietę, zakneblowała, zamknęła jej gębę. Skrępowana taśmą klejącą leży w spizarni. Blum zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku.

Jej maleństwa tu były. I siostra Schielego wie, gdzie są teraz. Otworzy usta, Blum się o to postara. Żeby powiedziała wszystko, co wie, niczego nie zataiła. Stoi w kuchni i szuka narzędzi, sposobów na to, by przemówiła. Będzie ją torturować. Aż się dowie, gdzie są jej maleństwa. Aż będzie pewna. Dowie się, co zamierza Schiele, czy dziewczynkom nic się nie stało, czy płakały. Rozgląda się. Tu spędziły kilka ostatnich dni, Blum jest tak blisko, czuje ich obecność. Chce chłonąć powietrze, którym oddychały, chce wiedzieć, kiedy Schiele je zabrał. I dokąd. Dlatego bierze z szuflady wałek do ciasta. Połamie jej palce, najpierw u dłoni, potem u stóp, jeden po drugim. Aż siostra Schielego w końcu odpowie na wszystkie pytania. Blum nie będzie mieć dla niej litości.

Ale sprawy się komplikują. Chce się właśnie odwrócić, gdy ktoś puka do drzwi tarasu. Blum wzdryga się przestraszona, prawie wpada w panikę. Zna mężczyznę, który macha do niej przez szybę. Nie ma pojęcia, co robić, co mu powiedzieć. Uciekać czy zostać. Patrzy na jego twarz, widzi usta, które się otwierają i zamykają. *Przepraszam, jeszcze jedno pytanie*, woła przez

drzwi. Mówi jak ten pocieszny, przenikliwy policjant z serialu, porucznik Columbo. Wraca. Daniel Lambert, człowiek, którego ma zabić, ojciec niepełnosprawnej córki. *Do diabła, myśl, Blum. Co teraz? Co mu powiesz? Czego on chce?* Blum musi znaleźć odpowiedź na te pytania, natychmiast. Bo Lambert już się dziwi, dlaczego nie podchodzi, dlaczego mu nie otwiera. *Tylko jedno krótkie pytanie, woła. To zajmie chwilę.* Unosi kąciki ust, uśmiecha się.

Lambert. Chce Schielego, nie ją. To z jego powodu tu przyjechał. Lambert nie wie, kim jest Blum, nie ma zielonego pojęcia. Przyjechał węszyć. Nie zagraża jej. Jeśli odpowiednio zareaguje, nic jej nie grozi, po prostu sobie pójdzie. Musi tylko się zachowywać tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku, nie może wzbudzić podejrzeń. Zwykły dzień pracy, jest tylko pomocą domową. *Już idę,* woła w jego kierunku i opasuje się leżącym na kredensie fartuchem. Pracuje tu, zajmuje się domem. Zajmie się również nim.

– Przepraszam, furtka była otwarta. Dzwoniłem, ale chyba pani nie usłyszała.

– Przestraszył mnie pan.

– Przepraszam, nie chciałem.

– Myślałam, że to włamywacz.

– Przeciwnie, jestem z policji. Oto moja legitymacja. Przed chwilą tu byłem, ale zapomniałem zadać pani Zwischnovski pewne pytanie. Czy mogę z nią zamienić dwa słowa?

– To niemożliwe.

– Wiem, że pani szefowa nie ma wielkiej ochoty ze mną rozmawiać, ale niestety jestem zmuszony nalegać. Tak czy inaczej będzie musiała odpowiedzieć na to pytanie, jeśli nie teraz, to w moim biurze.

– Żałuję, ale pani Zwischnovski nie ma. Musiała jechać do Frankfurtu, ma ważne spotkanie, dziś już nie wróci. Ale może ja panu pomogę?

– Pracuje tu pani?

– Od niedawna.

– I jak się pani podoba? Piękny dom, ogród, cudownie, prawda? Mam na myśli pracę tutaj.

– Nie narzekam, chociaż szefowa nie jest aniołem. Miał pan przecież okazję ją poznać.

– Rozumiem, co chce pani powiedzieć. Pani wie, kim ona jest, prawda? Zna pani jej powiązania rodzinne, wie, czym się zajmują jej bliscy?

– Wiem.

– Poznała pani jej brata? Egona Schielego?

– O tak, poznałam. To spotkanie wywarło na mnie niezatarte wrażenie. Proszę, niech pan spojrzy, jak się o mnie zatroszczył. Piękne, prawda?

– Naprawdę współczuję.

– To ma mi przypominać, do kogo należę, że jestem członkiem rodziny. Szalenie praktyczne, prawda? Rodzina się o mnie troszczy. Schiele dba o mnie.

– Schiele to skończony łajdak.

– Tak pan uważa?

– Owszem.

– Ja i tak mam szczęście. Mogę pracować tutaj, Schiele zrobił ze mnie swoją maskotkę. Nikt nie może mnie tknąć. Siedzę tu jak w złotej klatce i czekam, aż go najdzie ochota. Szczęściara ze mnie, prawda?

– Jak pani na imię?

– Marie.

– Ja jestem Daniel.

– Napije się pan ajerkoniaku?

– Ajerkoniku?

– Tak, mamy tu całą baterię butelek. Nic innego nie ma. Szefowa mnie kontroluje.

– W takim razie chętnie, niech będzie ajerkoniak.

Blum bierze jedną z wielu stojących na stoliku butelek, nalewa. Intuicja

jej nie zawiodła. Lambert bez wahania przyjmuje zaproszenie, podnosi kieliszek, pije. *Na zdrowie*, mówi. *Jeszcze jeden kieliszek?*, pyta Blum. Lambert kiwa głową. Daniel i Marie, w cudzej kuchni. Wciąż nie mówią sobie po imieniu. Dwoje intruzów rozmawia, podczas gdy siostra Schielego jęczy w spiżarni. *To nie jest dzielnica dziwek, to chyba widać, prawda? Ani podejrzliwych gliniarzy.* A mimo to siedzą tu i piją domowej roboty likier. Cudownie kolorowe etykiety, prawdopodobnie wygrana na jakiejś loterii, dobry uczynek bogatej krowy. Siostry Schielego, która żyje tu sobie jak w raj, która udaje, że nie ma nic wspólnego z szambem, w którym się tapla jej brat.

Pani doktor Zwischnovski. Zimna i zdystansowana. Blum zastanawia się, czy ich słyszy. Prawdopodobnie nie, dębowe drzwi są prawie że dźwiękoszczelne, wszystko tu jest najwyższej jakości. Stół w jadalni, parkiety, biała designerska sofa w salonie. *Proszę*, mówi Blum. *Tu nam będzie wygodniej.* Lambert kiwa głową. Korzysta z okazji. W końcu spotkał kogoś, kto jest gotów mówić. Dziewczynę ze stajni Schielego, która jest skłonna otworzyć usta i opowiedzieć o swoim szefie, jego siostrze. Kogoś, kto się nie boi. Marie, z butelką likieru w ręce. Marie, która się do niego uśmiecha. Która coraz głębiej wchodzi w swoją rolę. Odgrywa teatrzyk. Bo chodzi o jej życie, o jej maleństwo, o informacje, których potrzebuje, by odnaleźć Umę i Nelę. Każde słowo jest na wagę złota. Więc zaprasza go do salonu. Igra z ogniem.

Lambert. Siedzi przed nią i czeka, by znów napełniła jego kieliszek. Złamany człowiek, którego bez trudu obaliłaby na ziemię. Kryształową popielniczką, tuzinem innych przedmiotów z tego pokoju. Mogłaby go zabić, zatrzeć ślady i zniknąć. Schiele nosiłby ją za to na rękach. Za to, że znów zagrała według jego reguł. Mogłaby. Gdyby nie jego siostra, która leży w spiżarni i niecierpliwie czeka. Blum uderzyła niewłaściwego człowieka, tego faulu Schiele nie puści jej płazem. Dlatego zamiast zabić Lamberta siedzi z nim i rozmawia. Na chwilę zapomina, że jest policjantem, a ona

ściganą w całej Europie morderczynią. Gawędzą jak starzy przyjaciele. Na sofie.

– Normalnie nie rozmawiam z policjantami.

– Tym bardziej dziękuję, że robi pani wyjątek.

– Ale to nic nie da, sam się pan przekona.

– Jeśli będzie pani przeciwko niemu zeznawać, możemy go wsadzić za kratki.

– Ale mnie to nic nie da, naprawdę.

– Mimo to możemy spróbować, prawda?

– Dlaczego miałby mi pan pomagać? Przecież nic pana nie obchodzi.

– Przeciwnie.

– Nie rozumiem.

– Wiem, jakie to upokarzające.

– Co?

– To, co ma pani na przedramieniu. Naprawdę pani współczuję. Wiem, przez co pani przeszła.

– Gówno pan wie. Nie pan pojęcia, jak to jest. Każdego dnia marzę o tym, żeby to znikło. Żeby to się nigdy nie wydarzyło. Żeby nigdy nie spotkała tego łajdaka. Nie ma pan pojęcia.

– Znam kilka kobiet, którym zrobił to samo, co pani. Które skrzywdził. Którym zabrał wszystko. Schiele zniszczył wielu ludzi.

– A pan jest dobrym samarytaninem, tak?

– Nie, jestem ojcem.

– I dlatego wie pan, co czuję?

– Mam córkę i zrobiłbym dla niej wszystko. Ale się niestety spóźniłem. Nie zdołałem jej pomóc.

– Co się z nią stało?

– Nie mogła z tym żyć.

– Z czym?

– Z tym piętnem na swojej skórze.

Córka Lamberta. Młoda kobieta, której Schiele odebrał życie, prawo do szczęścia, do miłości. Powoli ją wykończył. Uwiódł, wykorzystał, a na koniec wyrzucił. Lambert mówi o tym, jak umarła mu żona i nagle została po niej ogromna dziura. O rozpaczy, od której się wszystko zaczęło. *Maja przestała się odzywać. Nie chciała mieć ze mną nic wspólnego.* Ładna dziewczyna, smutna, samotna, czuła się nierozumiana. I wtedy spotkała Schielego. Zagadnął ją w dyskotecce, traktował ją jak księżniczkę. Z początku nosił ją niemal na rękach, prawił komplementy, kupował kwiaty, mówił, że się w niej śmiertelnie zakochał. Że w końcu spotkał dziewczynę swych marzeń. Piękny Egon. Ani słowa o tym, że jest sutenerem, że za tydzień ją namówi, by wyszła na ulicę. Dla niego. Tylko nieopisane szczęście, chwila ucieczki od smutku.

Klasyczny przypadek. Maja to tylko jedna z wielu dziewcząt, które w ten sposób trafiły na ulicę. Do obowiązków Schielego należało zapewnianie świeżego towaru, w tamtym czasie był naganiaczem. Kogucikiem, który miał ściągać do kurnika nieopierzone kurki. Był szarmancki, hojny, obiecywał wielką miłość. Lecz na końcu dostawały coś zupełnie innego. Klientów, którym musiały dogadzać. Żeby byli z nich zadowoleni, żeby cieszyły się ich względami. Co dzień dołączały nowe. *Długo o niczym nie miałem pojęcia. Byłem zbyt zajęty własnym żalem, pracą. Zostawiłem Maję samej sobie.*

Lambert płacze, gdy o tym mówi. *Pracuję w tym wydziale, wszystko się działo na moich oczach, a ja niczego nie widziałem.* Tego, że Schiele odebrał mu córkę. Że się dla niego sprzedawała. Że pozwalała na siebie włączyć obcym facetom, że była gotowa się szmacić. Byle się przypodobać Schielemu. Lambert wie, przez co przeszła, zna dziewczyny z ulicy.

Rozmowy z nimi, słuchanie ich historii to część jego pracy. Maja wpadła w sidła Schielego. Do tego stopnia, że pozwoliła sobie wypalić piętno, chciała mu pokazać, że jest mu oddana, że nie ma powodu jej wymieniać na inną dziewczynę, której również obieca gwiazdkę z nieba. Schiele był mężczyzną jej marzeń. Mimo to ją wyrzucił.

Lambert czuje ból, gdy to wspomina. Czuje niewypowiedzianą udrękę, lecz mimo to wyciąga wszystko na światło dzienne. *Wyprowadziła się z domu. Straciłem ją z oczu, nie widziałem, jak idzie powoli na dno. Musiała w którymś momencie zrozumieć, że nie jest księżniczką, która znalazła swojego księcia. Że jest zwykłą dziwką. Dziwką bez matki, dziwką, której ojciec zajęty jest sobą. Rzuciła się pod pociąg, bo nie mogła już tego znieść. Ani dnia dłużej. Tego życia, które nie było życiem. Ale się nie udało.*

Po jego policzkach spływają łzy. Blum nie musi o nic pytać, Lambert mówi dalej. Sam z siebie, tak jakby czuł ulgę, że w końcu się może wygadać. Mówi o swoich wyrzutach sumienia. Że nie dopilnował Mai. O swoim bólu, bo z pracy wiedział, co przeszła. Jego mała Maja. Kobieta, która zamiast zginąć, straciła nogi. Budzi się co rano i myśli o tych wszystkich mężczyznach, którzy ją mieli, brudnych materacach, na których się kładła. Co rano. *Nie mogę o tym zapomnieć, mówi. Wciąż to mam przed oczami. Wyobrażam sobie, co te knury robiły z moim maleństwem. Dlatego go nienawidzę. I kiedyś za to zapłacę. Choćby to było ostatnie, co zrobię w tym życiu.*

Jego twarz wykrzywia nienawiść. Rozpacz i wściekłość. W rękę ściska butelkę likieru. Nalewa sobie i pije. *Wie pani, co w tej sprawie z pociągiem było dobrego?, pyta. Piętno było na jej lewym udzie. Tego uda już nie ma.* Z jego ust dobywa się ponury śmiech.

Wygląda na to, że jest mu obojętne, co Blum sobie o nim pomyśli, co powie. Że załamie się na jej oczach. Wie, co mogłaby mu odpowiedzieć, i godzi się na to. *Takie jest życie. Myślisz, że mnie jest łatwiej? Że twoja córeczka jest jedyną, która musiała ssać kutasy obcych facetów?* Naprzeciw

niego siedzi jedna z dziwek Schielego. Tak myśli. Dziwka, która chce się wyrwać z bagna. Tak mu powiedziała. Dziwka, która go słucha, bo też nienawidzi Schielego. Dlatego z nią rozmawia, otwiera się, mówi. *I co teraz?*, pyta. *Nogi jej nie odrosną.* Blum tylko kiwa potakująco głową. Bo wie, że Lambert ma rację.

Im dłużej mówi, tym bardziej się do siebie zbliżają. Mają tego samego wroga. Ogarnia ją błoga świadomość, że nie jest już sama. Lecz Lambert jest policjantem. Nie grają w jednej drużynie, nie zrobią następnego kroku. Blum położy temu kres. Nie ma czasu do stracenia, musi się go jakoś pozbyć, zając się swoimi dziećmi. Kiedy Lambert zaczyna mówić o sędzi i Gonzie, Blum poprzysięga sobie, że nie pozwoli, by Umie i Neli stało się coś złego. Schiele nic im nie zrobi, nikt więcej nie straci przez niego nóg, Blum je znajdzie. Musi się pozbyć Lamberta. *Niestety nie mogę panu pomóc*, mówi. *Muszę wracać do pracy, inaczej będę miała kłopoty. Proszę dopić, muszę umyć kieliszki.* Jest grzeczna. Uprzejmie prosi, by sobie poszedł, zapisuje numer jego komórki, obiecuje, że się odezwie, jeśli zobaczy coś niezwykłego, jeśli się czegoś dowie. O śmierci prawej ręki Schielego, związkach z sędzią, który wsadził jego ojca za kratki. Lambert prosi o to, Blum kiwa głową, ściska mu dłoń. *Dziękuję za rozmowę*, mówi Lambert. *Zrobię co w mojej mocy*, odpowiada Blum. Lambert wychodzi tarasowymi drzwiami, idzie przez ogród. Blum wraca do spiżarni.

Nie wiem, gdzie są twoje dzieci. Zabrał je mój brat. Nie mówił dokąd. Pewnie się domyślił, że szukasz swoich rozwydrzonych bachorów. W jej głosie wciąż słychać tę pogardliwą nutę, jasny sygnał dla Blum, kto tu rządzi. Siostra Schielego. Chociaż leży u jej stóp skrępowana, próbuje odzyskać kontrolę. Masz mnie natychmiast rozwiązać, inaczej mój brat zajmie się nie tylko twoimi dziećmi, ale i tobą. A to się źle dla was skończy, możesz mi wierzyć.

Blum niczego tak nie pragnie, jak tłuc ją wałkiem do ciasta, aż zamknie gębę. Jednak nie robi tego. Tłumi gniew i zadaje pytania. *Jak one się czują? Pytały o mnie?* Chce usłyszeć, że nic im nie jest, że nie są ranne, że ta bogata krowa ich nie skrzywdziła. *Starsza płakała. Przez cały dzień ryczała, nie chciała się uspokoić. To jakiś zaburzony dzieciak.* Wstrętny babsztyl nie przestaje jej upokarzać, chce jej pokazać, że Blum nie ma wyjścia, że zobaczy swoje dzieci dopiero, gdy pozwoli jej na to Schiele. Gdy Blum wróci na miejsce, stanie w szeregu jego posłusznych dziwek i zrobi to, co jej kazał.

Myślę, że nie masz się czego obawiać. Twoje bachory są za młode, żeby je pieprzyć. Mój brat da im spokój. Pod warunkiem, że mnie rozwiążesz i sobie pójdziesz. Nie jestem potworem, widzę, że robisz to tylko dla swoich bękartów. Choć szczerze mówiąc, nie rozumiem, jak to możliwe, że taka kobieta wydała na świat dzieci. To dla mnie prawdziwa zagadka. Mimo wszystko przymknę oko i pozwolę ci odejść. Pod warunkiem, że będziesz rozsądna. Siostra Schielego walczy o życie. Ale Blum ani myśli jej puścić wolno. Nawet przez chwilę.

Dosłownie kipi gniewem. I nienawiścią. Chce ją uciszyć. Jak radio, z którego głośników płynie okropna muzyka. Nacisnąć guzik. Raz, drugi,

trzeci, aż umrze. Off. Cisza. Nie chce słuchać raniących słów, wyzwisk, pogardy. Ale jeszcze się powstrzymuje. Patrzy na tę kobietę, zastanawia się, co dalej. Siostra Schielego jest jej towarem na wymianę. Złotem, którym Blum ma nadzieję spłacić swój dług, złotem, które Schiele będzie chciał odzyskać, za wszelką cenę. Krew z jego krwi, ktoś bardzo mu bliski, dla kogo jest gotów zrobić wszystko. Skarb, który Blum musi ostrożnie zapakować i przetransportować. Tak, żeby nikt tego nie widział. Z punktu A do punktu B, nie wzbudzając sensacji, po cichu, bez jęków, krzyków, nie zostawiając śladów.

Obchodzi wszystkie pokoje, szuka gabinetu, sali zabiegowej, szafki z lekami. Jest. To, czego szukała. Ketamina, środek znieczulający. Ampułki, pięćset miligramów. Wszystko, czego potrzebuje, w szufladzie. Napełnia strzykawkę, na wyczucie, bo nie ma pojęcia, jaka dawka jest odpowiednia. Jaka powali słonia, a jaka królika. Dokładnie wszystko zamyka, stara się niczego nie dotykać. Wyciera odciski ściereczką, zmywa kieliszek, z którego pił Lambert. Sprząta. Powoli, cierpliwie, by niczego nie przeoczyć. Nie spieszy się, chociaż w środku aż się gotuje. Idzie do salonu, podchodzi do biblioteczki, bierze z komody napełnioną strzykawkę. Wraca do spiżarni.

Gdzie byłaś? Jak śmiesz mnie zostawiać samą?! Mój brat cię zabije. Wiesz o tym, prawda? Ty głupia krowo, nie masz pojęcia, co z tobą zrobi. Cokolwiek zamierzasz, pożałujesz. Siostra Schielego zaczyna się domyślać, że Blum nie żartuje, że jest gotowa na wszystko. *Co to, do diabła, jest? Oszalałaś? Nie możesz tego zrobić.* Krzyczy. Teraz już wie, że Blum nie puści jej wolno. *Domięśniowo*, głosi napis na ampułce. Blum wbija igłę. W udo. Wstrzykuje całą zawartość małej strzykawki. Chce, żeby pani doktor Zwischnovski przestała mówić. Ketamina zaczyna działać. Radio milknie. Urywa się okropna piosenka.

Kobieta na podłodze spiżarni. Gdyby jej pierś się nie unosiła i nie opadała, byłaby martwym ciałem. Zwłokami, którymi Blum musiałaby się zająć. Kawalkiem mięsa, który trzeba wyrzucić, ukryć gdzieś, gdzie nikt go

nie zobaczy, nie wyczuje odoru. Zakopać, oddzielić żywych od zmarłych, odkreślić równiutką kreską. Dla Blum to chleb powszedni. Wyciąga ją ze spiżarni, opróżnia w ogrodzie pojemnik na bioodpady i wtacza go do domu. Podnosi ciało i wciska do pojemnika. Nie patyczkuje się. Wygina członki, wpycha, ugniata. To tylko śmieci. Drobną kobietą i odór zepsutej żywności, robaków pełzających po ścianie pojemnika. Zamyka pokrywę.

Siostra Schielego zniknęła. Jest tam, gdzie nikt jej nie będzie szukał. W pojemniku na odpady, jednym z tysięcy w Hamburgu. Blum parkuje samochód przy samym wejściu, przetacza pojemnik, wciąga go do środka. Jak plastikową trumnę na kółkach. Pokrywę przymocowała taśmą klejącą. Usuwa ślady, zamyka dom, spokojnie jedzie przez Hamburg. Siostra Schielego już się nie rusza. Przez chwilę w sercu Blum gości nadzieja.

- Mamusiu, patrz, co zrobiłam!
- Troszkę ciszej, Katrin, Emma śpi.
- Jestem Nela, mamusiu, nie Katrin.
- Wiem, kochanie. Ale musimy się przyzwyczajać, rozumiesz, prawda? Emma, Katrin i Marie. Przyzwyczaimy się, zobaczysz.
- Już nie lubię tego imienia, chcę, żebyśmy się nazywały jak kiedyś.
- Niestety to niemożliwe.
- Chcę wrócić do domu, mamusiu. Chcę, żeby znów było jak na obrazku, który narysowałam.
- Pokaż.
- Na tej ławce to ty. Obok jest Reza. Bo tatusia już nie ma. Siedzicie na słońcu, tak jak lubisz, mamusiu. A to my, Uma i ja. Weszłyśmy na wiśnię i plujemy pestkami na dach karawanu. Ty i Reza tego nie widzicie. Rozmawiacie. Patrz, jak się śmiejesz, mamusiu. Pięknie, prawda?
- Tak, cudownie. Pięknie to narysowałaś.
- A tu na górze, na chmurce, jest dziadek. Jeszcze idzie do nieba, dlatego go widać. Tata już zniknął.
- Tatuś was kocha, chociaż go nie ma. Wiesz o tym, prawda?
- Tatuś nie żyje.
- Tak, ale i tak was kocha. Razem z dziadkiem opiekują się wami.
- Bujasz. Ty musisz się nami opiekować, mamusiu. Tylko ty zostałaś. Nie ma wiśni, dziadka, tatusia, Rezy. Tylko ty i my.
- Damy sobie radę.
- Ty, mamusiu. Ty musisz sobie dać radę. My jesteśmy za małe.
- Jesteście najcudowniejszymi dziewczynkami na świecie.
- Może my też powinniśmy umrzeć, mamusiu?

- Co ty mówisz? Skąd ci to przyszło do głowy?
- Wtedy wszyscy będziemy razem.
- Nie, nikt więcej nie umrze. Nikt, rozumiesz?
- Obiecujesz?
- Obiecuję. Będę na was uważać. I na siebie. Zobaczysz.

Blum przypomina sobie jej głosik. Jeszcze parę dni temu ją widziała, słyszała. Obrazek, który leży na środku deski rozdzielczej. Który trzyma w ręku. Wszystko, co powiedziała Nela. Blum siedzi i czeka. Nie chce wysiadać, chce zostać, wspominać, znów to poczuć. Jej uścisk. Bo Nela się do niej przytuliła, a ona głaskała ją po główce. Bez końca. Tuliła i kołysała swoje maleństwo. Okłamała ją. *Będę na was uważać*. Nie uważała. Nie tak, jak powinna. Odkąd Mark zginął, popełnia same błędy. Każdy kolejny krok wiedzie ją w coraz głębsze bagno. Już nie ma odwrotu. Nie może odzyskać dawnego życia. To, co narysowała Nela, to tylko mrzonka, kawałek papieru. Starannie go składa, chowa do kieszeni. Potem wysiada.

Blankenese. Znów czuje ból. Jeszcze rzut oka za siebie, na Łabę, i rusza na górę. Tak bardzo chciałyby iść z dziewczynkami, trzymać je za rączki, biegać po piasku, po wodzie, patrzeć na mijające je statki, duże i małe. Tak bardzo za nimi tęskni. Za śmiechem swych maleństw. Wspomnienia rozdzierają jej serce, sprawiają ból. Przed jej oczami przesuwają się obrazy, ledwie sprzed tygodnia. Uma i Nela. Już ich tu nie ma. Choćby nie wiem jak długo stała na brzegu rzeki, nie przybiegną, nie rzucają jej się na szyję. Dlatego otwiera drzwi bagażnika i wyciąga pojemnik. Musi go zaciągnąć na górę, do domku w Treppenviertel, który tak polubiła, który mógł stać się jej nowym domem. Musi wciągnąć pojemnik po schodach, szybko, zanim siostra Schielego się ocknie, zanim ktoś przyjdzie i zaoferuje jej pomoc. Spyta, dlaczego biega po ulicy z pojemnikiem na śmieci. I co jest w środku. Dlaczego nie chce skorzystać z proponowanej pomocy. Nie chce usłyszeć tych pytań. Dlatego ciągnie pojemnik ile sił, na górę, szybko. Jeszcze dwie, trzy minuty i będzie u celu. Nikt jej nie widzi. Byle dotrzeć do furtki.

Jeszcze tylko parę metrów.

Blum ciężko oddycha. Wciąga pojemnik do ogrodu. Udało się, siostra Schielego wciąż milczy, nie krzyczy, nie alarmuje sąsiadów. Wszystko toczy się według planu. Blum cieszy się, że dotarła na miejsce. Otwiera piwnicę i zostawia swój fracht. Musi się zdobyć na ostatni wysiłek, wyciągnąć ją z pojemnika, schować w kryjówce dziewczynek. To idealne miejsce. Nikt o nim nie wie, nawet Schiele. Blum spełniła prośbę dziewczynek i wyłamała drewniane drzwi, które znalazły w zaroślach na zboczu. Sprawdziła, co jest w środku. Przez tydzień wyносиła rupiecie, sprzątała, podierała stemplami ściany i strop. Piwnica, której kiedyś używano jako chłodni, zamieniła się w plac zabaw. Królestwo Umy i Neli, ukryty raj, w którym teraz umieści siostrę Schielego.

Blum rzuca ciało na posadzkę, przeciąga w kąt. Idzie na górę, do domu, wyjmując z lodówki butelkę i pije. I chociaż ledwie się trzyma na nogach, wraca. Zamiast się położyć i w końcu zasnąć, idzie do ogrodu, do piwnicy, do siostry Schielego. Bo coś głośno w niej krzyczy, bo czuje, że coś tu nie gra. Siostra Schielego wciąż się nie budzi. Blum musi ją ocucić, musi się spieszyć. Pani weterynarz nie może umrzeć.

Potrząsa nią. Lecz siostra Schielego się nie rusza. Oddycha, ale się nie rusza. Blum krzyczy, bije ją po twarzy, unosi jej tułów, podnosi bezwładne ramiona. Nic. Ciało leży jak kłoda. Blum zagląda do Google'a, sprawdza, jak ocucić nieprzytomnego. Nie znajduje odpowiedzi. Żadnej pomocnej rady, czegoś, co by ją uspokoiło. Z każdą minutą jest coraz bardziej przerażona. Ogarnia ją panika, myśl, że mogła zamordować siostrę Schielego, jest nie do zniesienia. Blum zdaje sobie sprawę, co to znaczy, co by się stało, gdyby się o tym dowiedział. Co by zrobił z jej córeczkami. Już nie wie, co robić. Nie ma pojęcia.

Kładzie się obok niej. Czuje jej oddech. Modli się, żeby to nie był koniec. Żeby serce tej przeklętej kobiety nie przestawało bić. Zapada upiorna cisza. Blum co chwila wstrzymuje oddech. Robi się zimno.

I ciemno. Zostawiła uchylone drzwi, tylko trochę. Do środka wpada odrobina światła. Resztki słońca, nim zapadnie mrok.

Tak bardzo chciałyby zasnąć. Ale nie może. Musi czuwać. Siłą woli otwiera oczy. W myślach krzyczy na siebie. *Masz z nią zostać. Ona ci nic nie zrobiła. Ona nie odpowiada za czyny swojego brata. Popełniłaś wielki błąd, Blum. Znowu.* Raz po raz powtarza w myśli zdania, które dosłownie tną skórę, zdania, które nie pozwalają jej zasnąć. Przez dwie godziny. *Jeśli umrze, on cię zabije. Ciebie i twoje dzieci. Nie zawaha się ani przez chwilę.* Jeśli kobieta obok niej się nie obudzi. *Nie umieraj. Proszę, nie umieraj.* Szepcze zrozpaczona. Aż w końcu siostra Schielego otwiera oczy.

Blum nie wierzy, że to się dzieje naprawdę. Siostra Schielego wraca. Najpierw cichy jęk, potem głośne: *Nie.* Krzyczy. Najpierw wzywa pomocy, potem wrzeszczy na Blum. Obrzuca ją wyzwiskami. Chce, żeby ktoś jej pomógł, uwolnił, nic nie rozumie, rozgląda się wokół, nie ma pojęcia, jak tu trafiła, dlaczego Blum siedzi obok niej i z uśmiechem wpatruje się w jej twarz. Dlaczego jest związana. Szarpie się, próbuje się uwolnić, biec. Ale nie może. Jej wołanie o pomoc trafia w próżnię, nikt go nie słyszy, pochłania je ziemia. Każde słowo. *Cieszę się, że przeżyłaś,* mówi Blum. Potem milknie i czeka. Aż siostra Schielego przestanie krzyczeć. Aż z jej przerażonych oczu popłyną nieme łzy. Aż się uspokoi. *Wody, mówi. Proszę, daj mi wody.* Blum wstaje i zostawia ją samą. Wraca z butelką. *Najpierw nagramy film,* mówi. *Potem dam ci się napić.*

– Czego ode mnie chcesz? Nie zrobiłam ci nic złego. Dlaczego to robisz?

– Możesz powiedzieć bratu, jak się czujesz. Nagramy krótki film. Ucieszy się, że cię słyszy.

– Chcesz pieniędzy?

– Chcę odzyskać dzieci, nic więcej.

– Proszę, przestań. Możemy to załatwić inaczej, przysięgam. Mogę ci

pomóc.

– Już mi pomagasz. Zaczynamy na „cztery”. Wykorzystaj swoją szansę. Trzy, cztery. Start.

– *Hermannie, musisz mi pomóc. Czegokolwiek od ciebie żąda, daj jej to. Oddaj jej dzieci, inaczej mnie zabije. Dała mi jakiś zastrzyk. Musisz mnie uwolnić.*

– I stop. Wystarczy.

– Chce mi się pić.

– Twój pieprzony braciszek ma na imię Hermann?

– Tak.

– Więc Hermann nie chciał być Hermannem, to zrozumiałe. Egon Schiele brzmi dużo lepiej.

– Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że zabrał ci dzieci. Nie powinien był tego robić. Rozumiem, że się wściekłaś, naprawdę.

– Miejmy nadzieję, że zrobi to, o co go poprosiłaś. Że kocha swoją siostrzyczkę i rodzina naprawdę dużo dla niego znaczy. Inaczej źle skończysz.

– Rozumiem, przez co przechodzisz.

– Nie masz pojęcia.

– Proszę, daj mi wody. I rozwiąż mnie, muszę się ruszać, inaczej powstanie zator i umrę. Przysięgam, że Hermann zrobi wszystko, żeby mnie stąd wyciągnąć. Odda ci dzieci. Przysięgam. Wierz mi, nie będzie się wahał ani chwili. Jeśli mu wyślesz ten film, zrobi wszystko, czego zażadasz.

– Nie mam nic przeciwko tobie, ale nie mogę pozwolić, żeby moje dzieci spotkało coś złego.

– Uwierz mi, naprawdę ci współczuję. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

– Muszę iść.

– Nie, proszę. Nie mogę się ruszać. Chce mi się pić. Nie możesz mnie

tak zostawić. Chcesz, żebym umarła? Proszę, rozwiąż mnie. Przynajmniej rękę. Żebym się mogła napić. Przecież nie jesteś potworem, prawda?

– W porządku, tylko rękę.

– Pomóż mi, nie pożałujesz.

– Dam ci wody, ale na więcej nie licz. Zostawię cię samą, na kilka godzin. Pogódź się z tym. Teraz wyłącznie od twojego brata zależy, jak długo to potrwa.

– Znam to miejsce. Wiem, gdzie mnie przywiozłaś.

– Pij. I przestań gadać.

– W dzieciństwie bawiłam się tu z Hermannem. Nie wiedziałam, że ta piwnica jeszcze istnieje. Myślałam, że wszystko się zawaliło i zarosło krzakami.

– Dość gadania.

– To piękny dom, nie rozumiem, dlaczego cię tu umieścił. Nie mogłam uwierzyć, kiedy mi powiedział, że chce zamienić ten raj w hotel dla personelu.

– Teraz cię zwiążę i wyjdę. Nie licz na więcej litości.

– Zanim pójdziesz, muszę ci coś powiedzieć.

– Co?

– Zdradzę ci pewną odwieczną prawdę. Prawdę, której ludzie tacy jak ty nie chcą przyjąć do wiadomości. Tanie dziwki, które sądzą, że mogą posmakować wielkiego świata. Musisz wreszcie zrozumieć, że ci się nie uda. Nie masz szans. To ty pójdziesz na dno, nie ja.

Blum jest zbyt wolna. Nie rozumiała. Nie spodziewała się tego. Wszystko się dzieje zbyt szybko. Zamiast się napić, siostra Schielego chwyta butelkę za szyjkę, uderza o ścianę, rozbija ją. W dłoni ma śmiertelny oręż. Zadaje cios, trafia Blum w ramię, o włos mija głowę. Wściekła kobieta, która walczy o życie. I Blum, która krzyczy. Bo czuje palący ból. Kolejna rana, znów krew. Siostra Schielego ponawia atak. Chce to skończyć, chce zabić. *Ty głupia suko*, mówi. I wbija szkło w brzuch

Blum.

40

Warstwa skóry była zbyt gruba, szkło zbyt tępe. To jeszcze nie koniec. Blum nie wykrwawi się w tej hamburskiej piwnicy, rana jest powierzchowna, zwykłe rozcięcie. Blum wie, jak mocno i głęboko trzeba wbić ostrze, by przebić powłokę brzuszną, jak ostrych do tego potrzeba narzędzi. Musi zapomnieć o bólu, o nowych ranach na swoim ciele, musi przeżyć, bronić się, odparować następny atak, uniknąć kolejnych trafień. Bo siostra Schielego wpadła w furję, zadaje ciosy jak opętana. Ale nie może jej trafić. Blum bierze rozbieg i rzuca się na nią. Prawym ramieniem naprzód, jakby chciała wyważyć drzwi, obalić potężnego rugbistę. Zamyka oczy i rusza. Chce, by to się skończyło.

Chaos, wrzask. Krzyk dwóch kobiet. I nagle zapada cisza. Blum zaciska usta, siostra Schielego puszcza jej ramię, stłuczona butelka wyślizguje się z jej omdlałej dłoni. Kobieta, która jeszcze przed chwilą była śmiertelnym zagrożeniem, nagle nieruchomieje, jest zupełnie niegroźna. Furia pada na ziemię. Blum ją obala. Przygniata ją całym ciałem, przyciska łokciem jej gardło. Nie chciała, żeby przestała oddychać, żeby jej piers już się nie unosiła. Żeby została w tej piwnicy, żeby przestała się ruszać. Na zawsze.

Siostra Schielego. Mówiła o jej dzieciach. Przekonała Blum, by rozwiązała jej ręce, podała butelkę. Blum chciała tylko, by się napiła. Nie zamierzała jej zabić, nie chciała, żeby jej głowa opadła na ogrodowe grabie, którymi dziewczynki zdejmowały z kątów pajęczyny. Żeby zęby grabi wbiły się głęboko w jej potylicę.

Blum zaczyna rozumieć. Stoi, rozgląda się dookoła. Nie chce, żeby siostra Schielego przestała mówić. Podnosi jej głowę, patrzy, jak głęboko wbiły się zęby. Wszystko stało się tak szybko. Nagle arogancja ustąpiła miejsca milczeniu. Blum również milczy. Nie wie, co powiedzieć. I komu.

Nie wie, co robić, jak cofnąć czas. I co dalej. Nie wie już nic. Dlatego zamyka drzwi piwnicy i idzie.

Wraca do domu. Jakby nic się nie stało. Rozbiera się, wchodzi pod prysznic. Wszędzie jest krew. Musi ją zmyć. Chce cofnąć czas. Żeby na jej ciele nie było ran. Piętna na ramieniu, guza na czole, skaleczenia na rękę, dziury w brzuchu. Znowu rany. Cięte, szarpane, tłuczone. Oparzenie. Blum. Pod strumieniami wody.

Mija godzina, odkąd siostra Schielego nie żyje. Albo więcej. Blum straciła poczucie czasu, siedzi na łóżku. Oczyszczyła rany, opatrzyła je, czuje ból. Pieczenie, pulsowanie. Odkąd Schiele wypalił jej swoje imię, wciąż czuje ból. Każdego dnia. Bierze ampułkę, którą zabrała z gabinetu weterynaryjnego. Środek znieczulający. Ogląda etykietę, rozpakowuje strzykawkę. Chce się tylko zdrzemnąć, odpocząć, zamknąć oczy. Żeby nie podejmować żadnej decyzji. Już. Ale najpierw musi zadzwonić, poprosić o przesunięcie terminu. Jeszcze przez chwilę musi być silna, potem napełni strzykawkę i wbije igłę w swe udo. Uśmierzy ból, położy się. Jeszcze tylko zamieni z nim kilka słów. Sprawdzi, czy wszystko w porządku. Bo nie ma innego wyjścia. Już nie.

– Marie, moja piękna, co za radość.

– Muszę cię o coś prosić.

– O co chodzi?

– Muszę się przespać.

– Więc śpij.

– Jestem kompletnie wyczerpana i chora, dłużej nie dam rady. Muszę odpocząć, potem dokończę. Obiecuję.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że zrobię wszystko, o co prosiłeś, ale najpierw muszę się położyć. Inaczej nie dam rady.

– Więc nasz przyjaciel z policji wciąż żyje?

– Tak, ale już niedługo. Obserwowałam go przez trzy dni, wiem o nim

wszystko, znam jego zwyczaje. Najpóźniej za trzy dni będzie martwy, obiecuję.

– Chcesz, żebym przesunął ci termin, tak?

– Proszę.

– Dlaczego miałbym łamać zasady, które sam ustaliłem? Zasady są bardzo ważne, Marie. Zwłaszcza w czasach, gdy moi ludzie spadają z dźwigów.

– Wiesz, sporo myślałam i sądzę, że masz rację.

– W sprawie?

– Pasujemy do siebie. Może to nie taki zły pomysł, żebyśmy spróbowali.

– Zaskakujesz mnie, Marie.

– Nie jestem lepsza od ciebie. Przeciwnie.

– Cieszę się, że tak to widzisz. Nawet bardzo.

– Pozwól mi odpocząć, potem się zajmę Lambertem. I twoim księgowym. Umrą, wszystko będzie tak, jak sobie życzysz.

– Wszystko?

– Wszystko.

– W takim razie możesz się spokojnie kurować. Twój głos nie brzmi najlepiej. Musisz być faktycznie wyczerpana. Wracaj szybko do zdrowia. Przecież nie chcemy, żeby cię dopadła policja, prawda?

– Nie chcemy.

– Twoje córki już się cieszą na twój powrót, Marie. Powiedziałem im, że niedługo się zobaczycie.

– Dziękuję.

– Popłynęło kilka łez, ale poza tym jest wszystko w porządku. Dbam o nie, naprawdę. Przecież wiem, jak je kochasz.

– Zadzwoń, jak tylko poczuje się lepiej.

– Jeszcze jedno, Marie. Zapytam cię po raz ostatni i już nigdy do tego nie wrócę, obiecuję. Ale muszę to wiedzieć.

– Co takiego?

– To ważne, żebyśmy byli ze sobą szczerzy. Dlatego jeszcze raz cię pytam, czy masz coś wspólnego ze śmiercią mojego ukochanego przyjaciela Gonza.

– Nie.

– To dobrze, Marie. Nawet nie wiesz, ile mi sprawiłaś radości tym telefonem.

– Rozumiem, ale muszę kończyć. Nie mam siły utrzymać słuchawki. Wybacz mi, proszę.

– Śpij dobrze, najdroższa.

– Muszę wziąć coś na sen, więc nie usłyszę, gdybyś dzwonił.

– Odpoczywaj, Marie. A potem pełna wigoru bierz się do pracy i dokończ tę okropną sprawę. Po wszystkim urządzimy grilla w ogrodzie.

– Grilla?

– Tak. Przywiozę mięso. Znakomite ekologiczne steki. I szampana. Uczymy powrót mamusi. Będzie bezalkoholowe wino dla dzieci i konfetti. Będzie cudownie, Marie.

– Już się nie mogę doczekać.

– A teraz kładź się i odpoczywaj.

41

Nie ma pojęcia, jak długo spała. Odłożyła słuchawkę i zostawiła wszystko za sobą. Jego głos, każde słowo, które wypowiedział. To było nie do zniesienia, chciała jak najszybciej zasnąć. Pragnęła, żeby to się skończyło. Wszystko. Chciała przestać myśleć o martwej kobiecie w piwnicy, o księgowym, o Lambercie, o uroczystym grillu, który Schiele obiecał dla niej urządzić, o jego ustach, które aż płoną z żądy, o jego rękach. O jego palcach, które chcą dotykać jej włosów. O wszystkim. Dlatego zrobiła sobie zastrzyk. I zasnęła.

Spała bardzo długo i bardzo głęboko. Co jakiś czas się budziła i znów odpływała. Nie pamiętała żadnego snu, tylko walenie, które ją obudziło. Dzwonek i pukanie. Gdzieś daleko. Jakby nie miało nic wspólnego z nią, domem, w którym się ukryła, z rzeczywistością. To tylko hałas w jej głowie. Groźny. Przez kilka minut. Na przemian dzwonek i pukanie. Nadal. Nie ustaje. Blum zaczyna rozumieć, że to nie w jej głowie, tylko naprawdę. Że ktoś chce wejść do domu, ktoś chce, żeby się obudziła. Żeby zeszła na dół i otworzyła drzwi.

Wraca do życia, które nie daje jej nawet chwili spokoju, do katastrofy, która roztacza się przed jej oczami. Policja, która szuka siostry Schielego, Schiele, który ją znajduje w piwnicy. Schiele, który przychodzi, by ją obedrzeć ze skóry. Budzi się i wyobraża sobie, jak ją ukarze. Jak zada jej jeszcze większy ból, nie wystarczy mu, że już leży na ziemi. Znowu pukanie. Na dole. Blum musi wstać, zobaczyć, kto to. Może chodzi o dzieci, a może Schiele się niepokoi. Rzut oka na zegar. Spała dwadzieścia godzin. Wyczerpana wyłączyła się na cały dzień, jej ciało powiedziało, że dłużej nie da rady. Wciąż na nią krzyczy. *Położ się, Blum. Jeszcze nie jesteś gotowa. Musisz się napić.* Bo jest taka słaba. Od dawna nic nie piła, nie jadła. Tak

chętnie zamknęłaby oczy. Zaczekała, aż minie to otępienie. Lecz znów słyszy pukanie. Nie ustaje.

Blum dźwiga się z łóżka, zatacza się. Otumaniona schodzi na dół. Z mozołem stawia kolejne kroki. Nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Tak trudno jej wrócić do życia. Ale wie, że musi otworzyć. Że może jedynie ograniczyć szkody. Jeśli zrobi to, co jej kazał. Musi otworzyć, wpuścić go, porozmawiać z nim, znów go okłamać, udać, że wszystko jest tak, jak chciał. Przyjąć ramię, które jej zaoferuje, uśmiech, spełnić jego wolę. *Spałam, nie słyszałam cię. Przyszłam najszybciej, jak tylko mogłam.* Prawie upada. Przytrzymuje się poręczy. Zatrzymuje się, oddycha, zamyka oczy. Idzie dalej. Bo musi. Do drzwi wejściowych.

Prześcieradło, którym się owinęła, zsuwa się na podłogę. Podnosi je. Wszystko jest białe. Opatrunki, spękane usta, strach. Wszystko takie rozmyte, niegroźne. Bo nic jej się nie może stać, bo gorzej już być nie może, bo nie ma wyboru. *Rób ze mną, co chcesz, Schiele. Możesz mnie wreszcie zerznąć. Wykończ mnie, Schiele.* Czuje, że jest jej już wszystko jedno. *Daj mi to, czego chce. Otwórz te cholerne drzwi.* Nieważne, co się wydarzy, Blum nie ma już siły. Chce tylko, żeby to wszystko się skończyło, już nie da rady się bronić, opierać, kłamać, zabijać. Nie chce. Chce tylko otworzyć te drzwi, musi tylko położyć rękę na klamce, nacisnąć. Wtedy w końcu zapadnie cisza. Będzie mogła otworzyć oczy. Umilknie dzwonek, pukanie. Blum to robi. *Już idę, woła.* Znów się zatacza.

Nie może wstać. Nie chce. Leży. Nasłuchuje. Bo nagle rozlega się głos, bardzo blisko. Głos, który brzmi znajomo. To nie Schiele. To nie on chce wejść, to ktoś inny. Blum słyszy go, nie może uwierzyć, jej umysł nie potrafi tego ogarnąć. Nie pojmuje, jak to możliwe. Blum zna ten głos. *To ja. Otwórz, proszę. Wpuść mnie, Blum.* To niemożliwe, a jednak go słyszy. To musi być sen, halucynacje, ketamina płata jej figła. Niemożliwe. *Co z tobą, Blum? Wszystko w porządku? Proszę, otwórz wreszcie.*

Powoli siada, próbuje wstać. Chce wiedzieć, czy to nie sen, czy ten głos

nie rozbrzmiewa tylko w jej głowie, czy nie ma omamów. Musi tylko nacisnąć klamkę. Wtedy się dowie, czy oszalała, czy też słuch jej nie myli. Czy naprawdę słyszy ten głos. Tutaj, w Hamburgu, na wyciągnięcie ręki. Głos, za którym tak strasznie tęskniła, o którym myślała, że już nigdy go nie usłyszy. Głos człowieka, który dla niej był gotów zrobić wszystko, nie potępiał jej, stał u jej boku, wspierał.

Przyjaciel. Tak bardzo by chciała, żeby to była prawda. Żeby naprawdę tu był. Naciska klamkę, otwiera drzwi. I nagle wychodzi słońce. Stoi przed nią, uśmiecha się. Blum patrzy na niego, staje jak wryta. On ją bierze w ramiona. *Wróciłem*, mówi. Blum nie odpowiada. Tylko płacze. I czuje go. To Reza.

42

Reza o nic nie pyta. Po prostu otacza ją opieką. Tak jak zawsze. Blum potrzebuje pomocy i Reza staje u jej boku. Przyjechał w samą porę, jest jej wybawieniem. Blum nie pyta, jak ją odnalazł, dlaczego nie jest w więzieniu, co się stało. Opiera się tylko o niego i milczy. Wystarczy, że ją trzyma w ramionach. Na razie, przez kilka godzin. Że może położyć policzek na jego piersi, że ją chroni, że gładzi jej głowę. Jego palce muskają jej włosy. Jak promienie słońca. Blum pławi się w spokoju, który od niego bije. I w jego słowach. *Cokolwiek się stało, przejdziemy przez to.*

Reza. Małomówny przyjaciel. Nie pyta, gdzie są dziewczynki, dlaczego jej ciało jest pokryte ranami, dlaczego płacze. Reza milczy. Reza tylko patrzy, ogląda dom, ogród. Daje jej czas. Opowie mu o wszystkim, gdy się obudzi, a on ugotuje dla niej zupę. I kurczaka, którego kupił na targu, warzywa. Coś ciepłego, co pokrzepi zatruty organizm.

Siedzą obok siebie przy kuchennym stole. Między nimi przeszłość, rzut oka na ostatnie miesiące, krótki przegląd wszystkiego, co się zdarzyło. Blum stara się to wytrzymać, niczego nie pomija. Mówi, jak dotarła aż do Norwegii, na Lofoty. Jak wróciła ciężarówką do Niemiec. Jak trafiła do biura Schielego, jak Schiele wcisnął jej do ręki pistolet, jak strzeliła do Gonza. O małym rajcu, do którego wpuścił ją Schiele. O Tinie, beztroskim życiu, pracy w zakładzie Johanna. I jak Schiele położył temu wszystkiemu kres.

O winie, którą dźwiga na swoich barkach, o zabójstwie, którego nie chciała dokonać, o zwłokach, które spaliła, o tym, jak chciała chronić Tina, o księgowym mafii, którego oszczędziła, o sędzi, piętnie, Gonzie na dźwigu, Tinie, który został zabity. I o dziewczynkach, które Schiele jej zabrał. Blum opowiada mu straszną historię. Potworną i niewiarygodną. *Wiem, jak to*

brzmi, Rezo. Ale to wszystko prawda. I nie mam pojęcia, jak się z tego wydostać. Czy zobaczę jeszcze kiedyś dziewczynki. Znów płacze. To wszystko jest ponad jej siły. Reza tuli ją czule. Zabiję go za to, co ci zrobił, mówi. Nie, odpowiada Blum. Dlaczego?, pyta zdziwiony. Bo sama to zrobię.

Pytania i odpowiedzi. Przez cały dzień. Spotkanie, o którym Blum nie śmiała marzyć. W które nie wierzyła. *Jak to możliwe, że tutaj jesteś? Wypuścili cię?* Tak długo mówiła o sobie, teraz chce wiedzieć wszystko o nim, o Innsbrucku. Od chwili, kiedy uciekła. *Co oni z tobą zrobili, Rezo? Jak to możliwe, że wyszedłeś na wolność? Śledzili cię?* Nagle ogarnia ją strach, że przywłókł za sobą policję, że śledczy się domyślili, że pojedzie do niej. Że Blum się z nim skontaktuje. Strach, który Reza natychmiast rozwiewa. *Nie bój się, mówi. Nikt nie wie, że tu jestem.*

– Skąd wiesz?

– Śledzili mnie. Co najmniej przez dwa miesiące. Potem zrezygnowali. Kiedy mnie wypuścili, pojechałem do Bośni. Pracowałem u przyjaciela. Nie dałem im powodu, żeby mnie dłużej obserwowali. Moje życie w Austrii po prostu się skończyło. Wszyscy, których tam znałem, nie żyją. Albo zniknęli.

– Przepraszam, Rezo.

– Za co?

– Przeze mnie trafiłeś do więzienia. Nie chciałam tego.

– W porządku, Blum.

– Nie, to nie jest w porządku.

– Wiedziałem, że w końcu mnie wypuszczą.

– Dlaczego?

– Bo z nimi nie rozmawiałem. Znasz mnie. Powiedziałem tylko, że nie mam pojęcia, co się stało. Byłem jedynie twoim pracownikiem, bośniackim uchodźcą, który się cieszył, że ma dobrą pracę.

– Uwierzyli ci?

– Nie.

- Ale?
- Nic na mnie nie mieli. Przez kilka miesięcy niczego ze mnie nie wyciągnęli. Nie znaleźli też żadnych dowodów.
- Na ciałach nie było twojego DNA?
- Nic, co mogliby wykorzystać.
- A Karl?
- Regularnie mnie odwiedzał w więzieniu.
- Musiało mu być ciężko.
- Nie skarżył się. Do samego końca. Bardzo kochał ciebie i dziewczynki.
- Wiem.
- Byłem na jego pogrzebie. Było pięknie. Żegnało go mnóstwo ludzi.
- Znalazłam przypadkiem jego nekrolog.
- Wiem.
- Skąd?
- Tak cię znalazłem.
- To znaczy?
- Zapaliłaś mu znicz w Internecie.
- Nie tylko ja.
- Ale ty ich zapaliłaś najwięcej. Ponad sto. Jedna osoba kliknęła ponad sto razy. Kto mógł to zrobić, jeśli nie ty?
- I tak mnie znalazłeś?
- Adres IP wskazywał na Hamburg, pomógł mi przyjaciel, też Bośniak. Jest specem od komputerów.
- Hamburg to wielkie miasto.
- Adres IP należał do zakładu pogrzebowego, w którym pracujesz. Wiedziałem, że prędzej czy później wrócisz do zawodu.
- Rozmawiałeś z Johannem?
- Tak, odwiedziłem go. Pokazałem mu twoje zdjęcie. Powiedział mi, gdzie mieszkasz. I oto jestem.
- Nie wierzę, że tak łatwo mnie znalazłeś.

– Ale to prawda, Blum.
– Dobrze, że nie jesteś policjantem, Rezo.
– Skasowałem tamten nekrolog. Nie ma już twoich zniczy, nie został żaden twój ślad.

– Tak się cieszę, że jesteś.

– Ja też się cieszę.

– Dziękuję, Rezo.

Chciał ją odnaleźć. I odnalazł. W najlepszym możliwym momencie. Wraz z jego głosem odzyskała część domu, dawnego życia. Jest dla niej prawdziwym darem niebios. Reza. I Blum. Długo siedzą obok siebie na sofie, rozmawiają. Boli ją serce, gdy o tym mówi, ale nie może inaczej. Opowiada o dziewczynkach, pokazuje filmik. Ten, na którym mówią o czerwonej zjeżdżalni. Śmieją się radośnie prosto w obiektyw. Reza patrzy. Widzi to, co Blum przez ostatnie dni oglądała tysiąc razy. Małe buzie, za którymi tak tęsknił, jego małe księżniczki. *Znajdziemy je*, obiecuje. Chce ją pocieszyć. Blum milczy.

Potem mówi mu, że to jej wina. To, że dziewczynki są teraz same, zdane na łaskę tego psychopaty, gdzieś w mieście. Blum płacze. *Spieprzyłam to*, mówi. *Zmarnowałam ostatnią szansę, by je odzyskać*. Opowiada mu, jak wypuściła z rąk jokera, jak jeszcze pogorszyła sprawę. Że w piwnicy w ogrodzie leży martwa kobieta. Siostra Schielego, z grabiami w głowie. Gdy mu opowiada, wszystko odżywa. Ale Blum czuje się lepiej, nie dźwiga już tego przytłaczającego brzemienia. Bo w końcu jest ktoś, kto je zdejmuje z jej ramion. Reza.

43

Wzeszło słońce. Reza leży przy Blum. Przytulił ją, w jego ramionach zasnęła. *Już nigdy cię nie opuszczę*, powiedział. I Blum mu uwierzyła.

Miała koszmary, mówiła przez sen, Reza ją uspokajał. *Jestem przy tobie*, szeptał. *Śpij*. Blum była mała, a Reza wielki. Niósł ją przez ciemność, leżał przy niej, czuwał. Patrzył na nią. Ilekroć się odwracała i otwierała oczy, napotykała jego spojrzenie. Ciepłe i silne. I takie bliskie. Nic złego nie mogło się stać. *Wszystkim się zajmiemy*, powiedział. *Kiedy zrobi się jasno. Kiedy odzyskasz siły*. Reza. Jego głos. *Śpij, Blum. Śpij*. Spała.

Aż do tej chwili. Widzi swoją twarz w lustrze nad umywalką. Wpatruje się w nią, gdy Reza ją opatruje. Stoi przed nim nago. *Pozwól, że to zrobię*, powiedział. Pozwoliła. Reza obmywa jej rany, dezynfekuje, opatruje. Blum mu pozwala. Nie może się nasycić jego bliskością, chciałaby wpełznąć w niego, skryć się w jego wnętrzu. *Proszę, pocałuj mnie*, mówi. I Reza ją całuje. Delikatnie, w usta. Czuje na sobie jego dłonie, opuszki palców. Gładzi ją. Powolutku. Niesie ją z powrotem do łóżka, kładą się i znikają. Kradną jeszcze trochę czasu dla siebie, jakby świat za drzwiami nie istniał, jakby nic jej nie zagrażało. Jakby w kuchni nie było dziecięcych buczków. Zabawek rozrzuconych na podłodze salonu. Są tylko te ręce, które ją podtrzymują. Cudowna chwila, której nikt im nie może odebrać. Ostatni pocałunek. Potem mu pokazuje piwnicę.

Reza ogląda wszystko bez słowa. Piękna kryjówka pod ziemią, w której dziewczynki tak się lubiły bawić, kuchnia dla lalek, kolorowe zabawki. I martwe ciało, na podłodze. Siostra Schielego, leży z otwartymi ustami, wytrzeszczonymi oczami, zastygła w ostatnim momencie życia. Grabie wciąż tkwią w jej głowie. *Musimy ją stąd zabrać*, mówi Blum.

– Dokąd?

– Poćwiartujemy ją i pochowamy. Johann niczego nie zauważy. Zapakujemy kawałki i dołożymy do innych trumien. Uda się, tak jak wtedy.

– To zbyt niebezpieczne.

– Razem zdołamy to zrobić.

– Za duże ryzyko. Zbyt wiele może się zdarzyć. Krew, kiedy będziemy ją ciąć, transport, Johann. Na pewno nie jest głupi. Ktoś nas może zobaczyć, jak wynosimy stąd ciało. Ściany mają oczy.

– Więc co proponujesz?

– Zakopimy ją, tutaj.

– Oszalałeś? Jeśli Schiele ją tutaj znajdzie, wszystkich nas pozabija. Nie może się domyślić, że mam coś wspólnego ze zniknięciem jego siostry.

– Zakopimy ją głęboko i wszystko dokładnie zamaskujemy.

– Nie masz pojęcia, co to za człowiek. To psychopata. Jeśli znajdzie tu choćby włos swojej siostry, wpadnie w szal.

– Niczego nie znajdzie, zaufaj mi. Ona zniknie, na zawsze. I już nigdy o niej nie wspomnimy. Ani słowa, że się z nią kiedykolwiek spotkałaś, nie masz pojęcia, gdzie może być, gdzie mieszka.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Pamiętasz tego policjanta, o którym ci opowiadałam? Przyszedł do jej domu, kiedy tam byłam. Rozmawiałam z nim, rozpozna mnie. Powiąże mnie z jej zniknięciem.

– Niczego nie powiąże.

– Skąd wiesz?

– Bo umrze. Figuruje na liście, prawda? To znaczy, że musi zginąć, jeśli chcesz odzyskać dziewczynki.

– Nikogo więcej nie zabiję.

– W takim razie ja to zrobię. Dla ciebie.

Bierze ją w ramiona. Oboje wiedzą, że nie ma innego wyjścia. Zniknięcie siostry Schielego wywoła burzę, zacznie się śledztwo. Lambert

przypomni sobie jej twarz. Twarz kobiety, z którą pił w domu zaginionej likier jajeczny. Dowie się, że nie opowiedział historii swojego życia gosposi, tylko włamywaczce, komuś, kto wie więcej o zniknięciu pani weterynarz, kto być może maczał w nim palce. Lambert będzie jej szukać, tak długo, aż znajdzie. Przypomni sobie jej twarz, stworzą portret pamięciowy i go opublikują. Program komputerowy stwierdzi podobieństwo, znajdą jej DNA, bez trudu odkryją, kim jest naprawdę. Jeśli Daniel Lambert nie umrze.

Reza ma rację i Blum to wie. Nie rozmawiają już o tym, zabierają się do pracy. Jak gdyby nigdy nic przesuwają siostrę Schielego pod ścianę i zaczynają kopać. Sztych po sztychu, przez kilka godzin. Wspólnie przygotowują głęboki grób, żaden pies nie wyczuje zapachu zwłok. Ziemia z wykopu ląduje na górze. Potem Blum wychodzi do ogrodu, myje pojemnik na odpady. Szoruje, skrobie, usuwa wszelkie ślady martwej kobiety. Wszystko wrzucają do dołu. Grabie, stłuczoną butelkę, na koniec ciało. Ciężka harówka, ale dają radę. Reza i Blum. Zасыpują grób, ziemia spada do dołu. Piwnica wraca do pierwotnego stanu. Po kilku godzinach wygląda, jakby nic się nie wydarzyło. Zupełnie nic.

44

- Martwię się o ciebie, Marie.
- Nie musisz, już mi lepiej. Wstałam z łóżka.
- Powoli zaczynam się przyzwyczajać, że nie odbierasz moich telefonów. To niezbyt grzecznie, Marie.
- Przepraszam. Mówiłam ci, że muszę odespać. Wyłączyłam komórkę. Chciałam na chwilę o wszystkim zapomnieć, o niczym nie myśleć.
- Spałaś dwa dni?
- Tak, wzięłam silny środek nasenny. Dobrze mi to zrobiło, mogę się zabrać do pracy.
- Nie powinnaś mnie okłamywać, Marie.
- Nie rozumiem.
- Myślałem, że chcemy zacząć wspólne życie, że w końcu będziemy ze sobą szczerzy. Że nie będziesz mieć przede mną tajemnic.
- Bo nie mam.
- Przez chwilę naprawdę w to wierzyłem, Marie.
- Ale to prawda, Egonie.
- Nigdy tak do mnie nie mówiłaś.
- A jak mam mówić? Hermann?
- Hermann?
- Tak. Jedna z dziewczyn mi powiedziała, że tak masz na imię.
- Naprawdę?
- To piękne imię. To chyba dobrze, że oboje znamy swoje prawdziwe imiona, prawda? Nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic.
- Coś tu nie gra, Marie.
- Niby co? Pozwól mi skończyć, co zaczęłam, potem urządzimy w ogrodzie grilla. Tak jak proponowałeś.

– Mam inny problem, Marie.

– Jaki?

– Moja siostra zniknęła.

– Och.

– Jakby się zapadła pod ziemię. Nie ma jej w domu, w mieście nikt nie wie, gdzie się podziała.

– Masz siostrę?

– Tak. I bardzo ją kocham. Wiesz przecież, że najważniejsza jest dla mnie rodzina. Odkąd przez ciebie mój ojciec trafił do więzienia, mam tylko siostrę.

– Ile razy mam ci powtarzać, że mi przykro? Gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym to, nie wahałabym się ani chwili. Popełniłam błąd i bardzo tego żałuję, naprawdę. Nie chciałam ci zabrać ojca.

– Ale to zrobiłaś. A teraz straciłem też siostrę. Wszyscy, których kochałem, zniknęli. Mój ojciec, Gonzo, a teraz ona. Tutaj coś śmierdzi, nie sądzisz, Marie? Nie uważasz, że mam powody się martwić?

– Nie wiem, jak mogę ci pomóc. Jak ci to wynagrodzić. Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył?

– Zastanawiam się, czy masz coś wspólnego z jej zniknięciem.

– Nawet nie wiedziałam, że masz siostrę.

– Nie wiedziałaś?

– Nie. Przecież mówię.

– Ale o nią wypytywałaś.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– A jak myślisz? Kiedy się przestała odzywać, zacząłem się niepokoić. Pojechałem do jej domu, szukałem jej. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy jeden z moich wiernych pracowników szepnął mi, że ty też jej szukałaś. Zacząłem się zastanawiać, czegóż to śliczna Marie mogła chcieć od mojej siostry. *Skąd w ogóle wiedziała, że mam siostrę? Przecież mało kto o tym wie, pomyślałem.* Od tej pory dręczy mnie jedno pytanie: *Dlaczego Marie*

węszy za moimi plecami?

– To nieprawda, to musi być jakieś nieporozumienie.

– Trudno mi w to uwierzyć, Marie. Jestem naprawdę bezradny. I dlatego cię pytam: co tu się dzieje? O co tu chodzi, Marie? Co ty przede mną ukrywasz? I najważniejsze pytanie: gdzie jest moja siostra?

– Przysięgam, że to jakaś pomyłka. Nie mam pojęcia, dlaczego przychodzisz z tym do mnie.

– Nie wierzę ci, Marie. Bardzo cię lubię, ale żarty się skończyły. Muszę dbać, żeby w mojej rodzinie panował posłuch. Rozumiesz to, prawda?

– Jesteś w błędzie, naprawdę. Nie wiem, gdzie jest twoja siostra. Byłam w tym barze i ktoś wspomniał, że masz siostrę. Nikogo nie wypytywałam, to była zwykła pogawędka przy piwie, paplanina jakiegoś podchmielonego typu. Nie brałam tego poważnie, naprawdę. Musisz mi uwierzyć, Egonie.

– Tylko moja siostra mówi na mnie Hermann. Nikt inny. Tylko ona. Uparła się, bo nie chce się pogodzić, że wybrałam tę samą profesję co ojciec.

– Mylisz się, twoi ludzie szepczą między sobą, wiedzą więcej, niż myślisz, przysięgam.

– Nazywam się Egon Schiele. A ty jesteś Marie Müller. I lepiej, żeby tak pozostało.

– Tak, Egonie.

– Dobrze, Marie. Mimo wszystko muszę cię ukarać. W końcu na moich barkach spoczywa wielka odpowiedzialność. Tak jak ty muszę się troszczyć o swoją rodzinę, muszę się dowiedzieć, gdzie jest moja siostra. Muszę poznać prawdę, a to będzie możliwe tylko wtedy, gdy przestaniesz mnie okłamywać.

– Ile razy mam ci powtarzać? Nie okłamuję cię. Poza tym muszę kończyć, zaraz odjeżdża mój pociąg. Jadę do Lamberta.

– Gdzie jesteś, Marie?

– Na Dworcu Głównym.

– I znowu to robisz.

– Dość tego. Nie mogę dłużej rozmawiać. Jeśli chcesz, żebym zabiła dla ciebie tych ludzi, daj mi w spokoju pracować. Wjeżdża pociąg, muszę kończyć.

– Widzę cię, Marie.

– Co? Gdzie jesteś?

– Masz na sobie koszulę nocną, stoisz w salonie przy oknie. Nie na peronie.

– Jesteś tu?

– Tak, Marie. Jestem.

– Chciałam, żebyś przestał mnie podejrzewać. Ubieram się i zaraz jadę do Lamberta. Chcę tylko odzyskać dzieci, rozumiesz?

– Naprawdę smutno mi z powodu tego, co musi się stać.

– To znaczy?

– Słyszysz, Marie? Zgrzyt klucza w zamku. Wchodzą do domu. Dwadzieścia sekund temu dałem znak, by ruszali, powinni już tam być.

– Co ty wyprawiasz? Nic nie zrobiłam. Czego, na litość boską, ode mnie chcesz?

– Nie ma sensu uciekać, Marie. Na pewno nie do ogrodu. Bo tutaj czekam ja. A zapewniam cię, że spotkanie ze mną spodobałoby ci się jeszcze mniej niż z Dingiem i Charlesem. Bo ja najprawdopodobniej nie umiałbym się powstrzymać. Dingo i Charles na pewno zrobią to lepiej ode mnie, nie są w tę sprawę aż tak zaangażowani emocjonalnie.

– Proszę, nie rób tego.

– Jeśli im powiesz, co chcę wiedzieć, nie będą tego przeciągać. Sprężą się, obiecuję. Dingo i Charles to moi dwaj najwierniejsi ludzie. Nie licząc Gonza, ma się rozumieć.

– Powiedz im, żeby stąd wyszli. Odwołaj ich. Daj mi spokój, proszę.

– Dopóki rozmawiamy, jesteś bezpieczna.

– Zrobię wszystko, czego zażadasz.

– Gdzie jest moja siostra? Powiedz, a gwizdnę i wrócę. Oni znikną, a ja

wejść i spokojnie porozmawiamy.

– Naprawdę nie wiem, gdzie jest twoja siostra, przysięgam.

– W takim razie się rozłączam i sobie idę.

– Proszę, nie.

– Nie chcę patrzeć na to, co się za chwilę stanie. Chociaż przywykłem, że czasem ktoś inny pieprzy moje dziewczyny, to tym razem bym tego nie zniósł. Myśl, że Dingo i Charles będą cię mieć przede mną, doprowadza mnie do szału. Ale co zrobić, zasługują na małą pociechę. Bo ich też bardzo zasmuciła śmierć Gonza. Przez ostatnie dni byli przybici, więc im powiedziałem, że raz mogą zaszaleć.

– Proszę, nie. Egonie.

– Ach, Marie, chłopcy tak się cieszyli na spotkanie z tobą. Powiedz im, że sobie idę.

– Nie, nie, nie! Zostań!

– Do zobaczenia, Marie.

45

Rezy nie ma. Wyszedł do supermarketu. Jakie to banalne. *Wieczorem ugotuję coś pysznego, powiedział. Zaraz wracam. Ale nie wraca. Choć tak bardzo go potrzebuje. Nikt jej nie pomoże. Stanie się to, co ma się stać.*

Kolejne piętno. Gorzej. Dwóch mężczyzn, ładunek elektryczny, który ją obezwładnia. Podnoszą ją, rozbierają. Próbuje się bronić. Drapie, gryzie, krzyczy. Nie przestają. Nie odchodzą. Schiele nie wchodzi i nie mówi, żeby przestali ją bić, dotykać.

Zaciska powieki. Bo nie ma siły się bronić. Pozwala, by to się stało. Są silniejsi, rozsadza ich chuć. Dingo i Charles. Ustalają kolejność. Wyrrywają jej włosy, ciągną, dłuższy wygrywa. *Ty pierwszy, Dingo. Blum słyszy to jak przez mgłę. Jak Charles zachęca kumpla. Portki w dół i dajesz, stary. To straszne. Śmiało. To, co jej robią. Wal sukę. Wszystko się rozpada.*

46

- Jak tam było, Rezo?
 - Gdzie?
 - W Bośni, na wojnie.
 - Wojna się skończyła, Blum.
 - Nigdy o tym nie mówiłeś.
 - A co miałbym mówić?
 - Jak tam było.
 - Wierz mi, nie chcesz tego wiedzieć.
 - Chcę. Może wtedy zrozumiem, dlaczego taki jesteś.
 - Jaki?
 - Cichy. Małomówny. Zawsze myślałam, że stałeś się taki przez wojnę.
 - Nie wiem.
 - Widziałeś straszne rzeczy, prawda?
 - Tak.
 - Jaka była najgorsza?
 - Dlaczego pytasz?
 - Bo chcę wiedzieć, jak daleko możesz się posunąć. Ile możesz znieść.
- Jak to możliwe, że mi pomagasz. Czy to było coś gorszego niż to, co zrobiłam.
- Było.
 - Co?
 - Gwałt.
 - Byłeś przy tym?
 - Musiałem patrzeć. Związali mnie. Patrzyłem i nie mogłem nic zrobić.
- Nie mogłem im pomóc, kobietom, które znałem. Zostawili nas z tym, co się stało. Z tymi obrazami w głowie. To było gorsze niż śmierć.

– Bo trzeba z tym żyć?

– Tak.

– A można?

– Można.

– Jak?

– Wiele kobiet urodziło dzieci. I je wychowują. Ich widok każdego dnia przypomina im to, co się stało, a mimo to się nie poddają. Nie wiem, jak to możliwe, ale to prawda.

– Ja bym tak nie mogła.

– Mogłabyś, Blum. Ale nie będziesz musiała. *Jestem tutaj, ochronię cię.*

– Ochronisz?

– Tak, Blum. Ciebie to nie spotka.

Uśmiechnął się do niej. Blum wciąż to pamięta. Słyszy jego głos, w ciemności. Wtedy, dwa, trzy lata temu. I teraz, kiedy otwiera oczy. Nagle się zjawia. Reza. Cud, o który się modliła. Spełnienie tamtej obietnicy. *Jestem tutaj, ochronię cię.*

Dingo i Charles go nie widzą, upajają się tym, co za chwilę nastąpi, nie oglądają się, nie odwracają głów. *Dawaj, Dingo. Inaczej sam się zajmę tą cipką.* Charles rechocze. Dingo spuszcza spodnie. Nie widzą go. Siekiery, którą zabrał z szopy na drewno. Zakrada się jak drapieżnik. Rzuca się i zadaje cios. Z całej siły, bo widzi jej puste oczy.

Obala ich jak dwa drzewa. Blum widzi to jak w zwolnionym tempie. Charlesa, który nagle osuwa się na podłogę z otwartymi ustami. Rezę, który uderza. Rozpłatanе ostrzem plecy, krew. Krzyk i zapada cisza. Charles umiera. Dingo odwraca się, podnosi rękę, próbuje się bronić, uniknąć tego, co nieuniknione. Lecz Reza jest szybszy. Obuch siekiery trafia w głowę. Dingo się zatacza. Puszczą Blum, powoli się zsuwa ze stołu. Spada drugi cios. Dingo leży na podłodze. Jeszcze oddycha, jego pierś się unosi i opada, ale jest nieprzytomny, bezbronny. Reza jest szybki. Krępuje go przedłużaczem, zostawia na podłodze. Wstaje. Patrzy na Blum.

Wybacz mi, szepcze. Blum milczy. Okrywa się. Wstydzi się i chociaż to Reza, chce ukryć rany, które niemal zadali jej Dingo i Charles. Nagie ciało, brud. Chce to z siebie zmyć. Natychmiast. Pot, chuć, każde słowo, które nad nią wypowiedzieli. Wziąć prysznic i zabrać się do pracy. Chociaż nie ma siły. Chociaż wolałaby umrzeć, bo wciąż zżera ją strach. Bo wciąż widzi zagrożenie. Mężczyzn, którzy chcieli ją zgwałcić. Pokaż, co tam masz, księżniczko. Zaraz cię nauczymy rozumu.

Dingo. Blum wciąż go słyszy, chociaż jego usta zakleja taśma. *Przysięgam, wykończę cię, skurwysynu.* Kopie go. Pluje na niego. Chce, żeby odzyskał przytomność, żeby otworzył oczy, spojrzał na nią. Będzie go kopać, póki nie zdechnie. Ale Reza ją powstrzymuje, odciąga. *Nie możemy go zabić, Blum. Jeszcze nie teraz.*

Blum pachnie szamponem i mydłem. Jej skóra, włosy. Wszystko czyste. Blum pali. Zaciąga się raz za razem. Siedzi w kuchni, w ręku kieliszek wódki. *Pozwól, że ja to zrobię*, powiedział Reza. Odciągnął ją od Dinga, prosił, żeby przestała go kopać. *Uwierz mi, będzie mówił. Powie nam, gdzie są dziewczynki. Zaufaj mi*, powiedział. Wtedy poszła na górę.

Reza jest pewny swego. *Każdy w końcu pęka*. Mówił to śmiertelnie poważnie, widziała to w jego oczach. Że się nie zawaha, że to nie czcze pogrożki, że jest gotów zrobić wszystko, co zapowiada. Dingo milczy. Wciąż jest zakneblowany. Robi, co każe Reza. *Ani słowa. Milcz i słuchaj. Wyjaśnię ci, co się stanie, jeśli mi nie powiesz tego, co chcę usłyszeć. Dowiesz się, co ci zrobię. Wtedy zdecydujesz. Czy chcesz cierpieć dla Schielego. Co wolisz: mówić czy umrzeć*. Reza mówi cicho i spokojnie. Dingo jest przywiązany do stołu. Do ciała swojego kumpla. Reza ogłuszył go siekierą. Nie żartuje. Dingo już to zrozumiał. Że nie ma sensu się miotać, jęczeć, krzyczeć. Bierze się w garść. Zapomina o bólu, rozbitej głowie.

Reza również bierze kieliszek, wlewa w siebie zawartość. Potem otwiera usta i mówi. Szczegółowo. Opowiada o wojnie, o tym, co widział, co robił. Jego głos mrozi jak lód. Przeraza. To, co mówi, jest potworne. A zarazem tak prawdziwe. Opowiada, co za chwilę się zdarzy. Tu, w kuchni. Spokojnie i ze szczegółami. Kat mówi o swojej pracy. Bez emocji opisuje wymyślne tortury. Widać, że jest zdolny wykonać wszystko, co zapowiada. Dingo będzie mówił. To tylko kwestia czasu. Wszystko zależy od niego. Czy będzie rozsądny, czy Reza go zmusi.

Zrozumiałeś?, pyta Reza. Dingo kiwa głową. *Żadnych kłamstw*. Znów kiwnięcie. Oczy Dinga mówią, że jest gotów powiedzieć wszystko, co wie, że chce za wszelką cenę się stąd wydostać. *Wszystko w twoich rękach*, mówi

Reza. Potem zrywa mu taśmę z ust.

– Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Ja nic nie zrobiłem, rozumiesz? Pytaj, nie ma sprawy. Nie musisz mnie torturować. Wszystko jest okej. Co chcesz wiedzieć?

– Gdzie są dziewczynki?

– Puścisz mnie, jeśli ci powiem wszystko, co wiem?

– Nie. Bo zaraz polecisz do swojego pańcia i wszystko wyśpiewasz.

– Nie zrobię tego, przysięgam.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Jeśli ci powiem, co wiem, Schiele mnie zabije. Chcę być jak najdalej stąd, kiedy bomba pieprznie. Charles nie żyje. Schiele się wścieknie.

– Gdzie są dziewczynki?

– Wypuścisz mnie?

– Wypuszczę.

– Dowiedziałem się przez przypadek. Właściwie nie powinienem o niczym wiedzieć. Schiele porwał dwoje dzieci, trzyma to w tajemnicy. Dowiedziałem się od jednej z dziewczyn.

– Gdzie one są?

– Na łodzi.

– Co to za łódź?

– Jacht. Tam je ukrył. Pewnie się bał, że ta dziwka znajdzie swoje bachory.

– Gdzie jest ta łódź?

– Nie wiem. Wiem tylko, że się nazywa „Marie” i kosztowała majątek. Austriacki model, dominator 800, prawdziwy potwór. Nie wiedziałem, że górale budują łodzie, przecież tam nie ma wody.

– Gdzie jest ta łódź?

– Pewnie w przystani jachtowej.

– Gdzie dokładnie?

– Nie wiem, przysięgam. Ale bez trudu powinieneś ją znaleźć. Niewiele

jest takich w Hamburgu.

– To dobrze.

– Mogę iść?

– Nie.

– Powiedziałem ci, co chciałeś wiedzieć.

– Skrzywdziłeś ją.

– Daj spokój, nic się nie stało, mała przeżyje.

– Nazwałeś ją dziwką.

– I co z tego? Dlatego mnie zabijesz? Ta mała szmata musiała ci nieźle zawrócić w głowie.

– Popełniliście błąd, nie trzeba tu było przychodzić.

– Miałem przelecieć tę dziwkę. Pieprzyć ją, aż się rozpęknie. Ta mała potrzebuje kutasa. Spójrz, jaka jest napalona. Najwyraźniej Schiele nie umiał jej dogodzić.

– Koniec, dość tego.

– Koniec? To dopiero początek. Zobaczysz, tobie też się dobierzemy do dupy. Zadarliście z niewłaściwymi ludźmi, Schiele cię obedrze ze skóry. Będzie cię tłukł, aż zdechniesz.

– Mylisz się.

Dingo krzyczy, grozi. Reza siada. Bierze butelkę, kieliszek, nalewa. Wyrzuca sobie, że go nie było, że jej nie ochronił. Blum to czuje. Widzi jego bezradność. Chciałby zasklepić jej rany. Żeby wszystko było jak dawniej, żeby Blum znów mogła się śmiać, wziąć dziewczynki w ramiona, wygłupiać się z nimi, żartować. Gdzieś daleko, gdzie nikt ich nie znajdzie. Reza marzy o tym. Patrzy na nią i pije. Blum gasi papierosa i wstaje.

Nie spieszy się. Rozważnie planuje każdy ruch, bo nie może zostać żaden ślad po tym, co się zdarzyło. Schyla się, podnosi z podłogi siekierę. Nie słyszy już tego, co mówi Dingo. Jak wrzeszczy, przeklina, obrzuca ją wyzwiskami. Zatrzymuje się przed nim na chwilę, patrzy na niego. Widzi tylko, jak ruszają się jego usta. Jak wybałusza oczy, chce się uwolnić, miota

się na wszystkie strony. Ale to na nic. Blum unosi ramiona, bierze zamach, uderza. I znowu. Aż w kuchni zapadnie cisza.

48

– Musimy szukać dalej.

– Nie, Blum, musimy wracać do domu. Trzeba się zająć tamtymi. Musimy posprzątać.

– Będę szukać tej cholernej łodzi, aż ją znajdę.

– Jej tu nie ma. Powinna cumować tutaj, ale jej nie ma. Może być wszędzie.

– Rezo?

– Tak?

– Dziewczynki.

– Wiem. Ale musimy wracać. Schiele czeka na swoich goryli, na pewno już próbował się do nich dodzwonić. Będzie ich szukał. Zacznie tam, gdzie ich widział po raz ostatni. Rozumiesz? Nie może ich znaleźć, dopóki nie odzyskamy dziewczynek.

– Ja zostaję.

– Proszę, Blum. Ten człowiek jest niebezpieczny. Opowiadałaś mi o nim, więc wiem. Wpadnie w szal, bo czuje, że traci kontrolę. Zginęło trzech jego ludzi, zniknęła siostra. Jeśli się dowie, co się stało, nie będzie miał litości.

– Dlatego musimy wypłynąć w morze. Już zbyt długo są same. Proszę, pomóż mi je znaleźć. Jak najszybciej. Schiele już nad sobą nie panuje. Wysłał dwóch ludzi, żeby mnie zgwałcili. Skrzywdzi je, jeśli ich nie znajdziemy.

– Ale ciała... W twojej kuchni jest rzeźnia. Co, jeśli ktoś zajrzy przez okno i je zobaczy? Sąsiad, listonosz, dostawca. Dowiedzą się, kim jesteś. Zamkną cię, Blum. To będzie koniec. Koniec, rozumiesz? Już nigdy nie zobaczysz Umy i Neli.

– Proszę, musimy je znaleźć.

– Jak?

– Wiemy, że są na jachcie, prawda? To znaczy, że są na wodzie, nie na łódzie. Dlatego musimy wynająć jakąś łódź i szukać ich, aż je znajdziemy.

– Nie przekonam cię, prawda?

– Nie.

To bez znaczenia, czy postępują słusznie. Blum podjęła decyzję, nie chce się dłużej ukrywać, udawać, kłamać. Chce się dowiedzieć, gdzie jest ta łódź, szuka jej, biega po marinie. To tutaj cumuje jacht Schielego, w środku miasta, stąd wypływał w rejsy ze swoimi dziewczynami. Tu się zaczynały jego imprezy na wodzie, orgie na Łabie. *Pewnie znowu szaleje, mówi kapitan portu. Wie, kogo Blum i Reza mają na myśli. Schiele, hojny, zawsze czarujący, uśmiechnięty, daje wysokie napiwki. I co za jacht. Wpada w rozmarzenie, ale nie umie im pomóc. Niestety nie wiem, dokąd popłynął. Tutaj nikt nie ma obowiązku mi się meldować. Każdy robi, co mu się podoba. Ale przecież musi prędzej czy później odstawić swoje pracownice na ląd. Kasa musi się zgadzać, nie?* Uśmiecha się zakłopotany. Bo widzi rozpacz na twarzy Blum. *Przykro mi, ale naprawdę nie mogę pomóc.* Odwraca się i odchodzi.

Blum. Przekonała Rezę, by przeszukali dolny bieg Łaby, sprawdzili w innych portach, w kanałach. Ciągnie go za sobą, mijają wspaniałe jachty, ludzi, którzy przyszli tu spędzić cudowny wieczór. Idą do wypożyczalni. *Chcemy wynająć ponton, z silnikiem, mówi Blum. Podaje pieniądze. Właściciel sprawdza dokumenty Rezy, przygotowuje łódź. Czerwoną i zwinną. To jedyny sposób. Odcumowują i wypływają. Najpierw Wedel. Muszą sprawdzić marinę. Jeśli zacumował w którejś przystani, to najprędzej tam, powiedział kapitan. To by była najlepsza opcja. Piękne miejsce. Tamtejszy kapitan to mój kolega, przekazcie mu pozdrowienia.*

Wypływają z miasta, mijają Blankenese. Blum widzi dom, w którym mieszkała, kryty trzcina dach, nowe życie, które się właśnie skończyło.

Zostało cmentarzysko. Zwłoki w kuchni. Nie może tam wrócić, ani ona, ani dziewczynki. Nie chce widzieć tych martwych ciał, nie chce sprzątać. Nie pogrzebie ich, nie chce mieć z Schielem nic wspólnego. Nie odbiera, gdy znów dzwoni telefon. Odrzuca połączenie. Najchętniej cisnęłaby komórkę do wody, ale nie może. Jeszcze nie. Wie, że musi z nim porozmawiać, lecz to odwleka. Jego pytania, kolejne upokorzenia, następną karę, to, co nieuniknione. Zdania, które usłyszy z jego ust. *Sama tego chciałaś, Marie. Złamałaś zasady, nie grałaś fair. Znajdziesz je w wodzie, martwe. Najpierw Emmę, a potem Katrin. Bo mamusia myślała, że jest sprytniejsza niż wujek Egon. Twoje słodkie maleństwa potopią się jak kocięta, Marie.*

Muszą się spieszyć. Prują fale w drodze do Wedel, by szukać jachtu, dziewczynek. By znaleźć je, nim Schiele wypowie te słowa. Musi porozmawiać z właścicielami innych łodzi. Spytać, czy ktoś go widział. Jego jacht. Umę i Nelę. Spieszą się. Reza i Blum. Cumują, rozmawiają, szukają, rozglądają się, biegają po deskach pomostów. Nic. Ani śladu Schielego, jego łodzi. *Płyniemy dalej, mówi Blum. Do Finkenwerder, do kanału. Musi być w którejś przystani. Wiem to. Czuję, że są blisko.* Blum jest przekonana, że ich nie zabrał daleko. Że chciał mieć kartę przetargową w zasięgu ręki. Dlatego musi być gdzieś w pobliżu. Jego jacht. W Hamburgu, nigdzie indziej.

Rozdygotana zawraca ponton, płynie w stronę Finkenwerder. Jakiś airbus podchodzi do lądowania. Wpływają do następnej przystani. Wszystko aż łśni. Rządek łodzi równiutko cumuje do nabrzeża. Tu też nie ma jachtu Schielego. *Na pewno się teraz nie poddam. Nie zostało już wiele możliwości. Przecież nie rzucił kotwicy na środku Łaby, prawda?* Blum mówi to i milknie. Bo powoli ogarniają ją wątpliwości. Bo wkrada się strach. Że nie doceniła Schielego. Bo powoli się ściemnia.

Płyną dalej. *Jeszcze tylko do Binnenhafen. Proszę, Rezo.* Reza kiwa jedynie głową, spełnia każde życzenie Blum. On steruje. Płyną po Süderelbe, przez dzielnicę przemysłową. Wokół stocznie, fabryki. Szanse, że

ich poszukiwania zakończą się sukcesem, są coraz mniejsze. Odgłos silnika z minuty na minutę staje się coraz bardziej nieznośny. Robi się ciemno. Wkrótce nie będzie nic widać, jacht Schielego skryje się w mroku, w nocy niczego nie działają. Chyba że będzie tutaj.

Nazywa się „Marie”. Tak mówił Dingo. Imię jego matki, imię, które wybrała sobie Blum. *Piękne imię,* powiedział Schiele. *Jaki cudowny przypadek.* Pięć liter, dwudziestometrowy jacht, trudno go przeoczyć. Chyba że ktoś go ukrył, na przykład za jakimś zepsutym dźwigiem. W najdalszym zakamarku portu. Jakby się spodziewał, że będą go szukać. Jakby się bał, że mogą ją znaleźć, jego luksusową zabawkę. Jacht, na którym widnieje jej imię. Na którym pali się światło.

Blum długo go szukała. Przetrasnęła całe miasto. I oto jest. Wpada w euforię. Chce wbiec na pokład, otworzyć drzwi kabiny, chwycić je w ramiona. Lecz Reza ją powstrzymuje. *Proszę, nie. Nie możemy tam tak po prostu wejść.* Zatrzymuje ją. Przekonuje, że to, co mówi, ma sens. Że tak będzie rozsądniej. Zaczekać. Obserwować jacht, dowiedzieć się, ilu ludzi jest na pokładzie. Czy naprawdę tam są. Uma i Nela. Na jachcie Schielego, który spokojnie kołysze się przed nimi na wodzie.

Wyłączają silnik pontonu, schodzą na ląd, skradają się. Jak złodzieje kryją się za kontenerem na śmieci. Blum modli się, żeby tam były. Nastawia uszu. *Może usłyszymy ich głosy*, szepcze. Lecz wokół panuje cisza. Widzą tylko światło w kabinie, raz po raz jakiś cień, ale niczego nie słyszą. Na zewnątrz nie wydobywa się żaden dźwięk. Nic, co by wskazywało na to, że są u celu. Że ten wieprz, który ją prawie zgwałcił, mówił prawdę. Dingo. Może blefował, walczył o życie, powiedział to, co chcieli usłyszeć. Blum musi się tego dowiedzieć. Nie zamierza dłużej czekać. Lecz Reza ją błaga. *Jak się ściemni, rzucimy kamieniem. Zobaczymy, co się stanie, kiedy stuknie w pokład.* Blum aż się gotuje, ale wie, że Reza ma rację, że nie mogą popełnić falstartu. Mają tylko jedną szansę. Chwyta się brzytwy, nie ma żadnej pewności. Nie może działać pochopnie. Nie może zerwać tej cieniutkiej nici, która nagle połączyła ją z dziewczynkami.

Blum aż dygocze ze strachu. Jeszcze raz ignoruje jego telefon. Schiele po raz trzeci nagrywa jej się na pocztę, zostawia swój głos w jej głowie. Bo Blum zachowuje się tak, jakby nie słyszała jego przynagleń, wezwania, by dała znak życia, by zadzwoniła. *Niezwłocznie*, to jego ulubione słowo. Jego głos powoli się wwierca w jej głowę, gdy odsłuchuje wiadomość. *Jak się zapewne domyślasz, zaczynam się o ciebie naprawdę martwić. Rad bym*

wiedzieć, jak się czujesz, czy chłopcy byli dla ciebie mili. Czy było ci dobrze.

Dusza Blum aż krzyczy. Mimo to próbuje się uspokoić. Już nigdy więcej go do siebie nie dopuści. Nigdy. Nie pozwoli się upokarzać, gwałcić, zastraszać. Nie chce go widzieć, nie chce z nim rozmawiać. Nie zamieni z nim ani słowa więcej. Bo pozostaje jej tylko jedno: wejść na pokład tej łodzi. Nieważne, że jeszcze jest jasno. Nie może dłużej czekać, puszcza mimo uszu błagania Rezy. *Muszę to wiedzieć, natychmiast*, mówi. Wstaje i chce biec, lecz w tym momencie otwierają się drzwi. Ktoś wychodzi na pokład.

Młoda kobieta. Zapala papierosa, zaciąga się dymem. Jest sama. Znudzona patrzy na wodę, obgryza paznokcie. Jedna z dziewczyn Schielego, musiał ją odkomenderować do opieki nad dziećmi. Na pewno leżą na dole w łózkach i śpią, dlatego Blum ich nie słyszy. *Porozmawiam z nią*, mówi. Lecz Reza znowu ją powstrzymuje, nie chce, by Blum niepotrzebnie ryzykowała. Schiele na pewno uprzedził swoją pracownicę, że może się zjawić matka dziewczynek, jego nowa faworyta, bezużyteczna szmata, której pozwala mieszkać w swoim domu w Blankenese. Dziewczyna na pewno z miejsca chwyciłaby za komórkę, zadzwoniła do pańcia, zaalarmowała pozostałych, którzy pewnie śpią pod pokładem. Dlatego Reza upiera się, że to on pójdzie, to on z nią porozmawia. *Jesteśmy prawie u celu. Nie możemy teraz popełnić błędu*. Całuje Blum w czoło i idzie.

Reza jest obcy w tym mieście. Właściciel łodzi, który wieczorem robi rundkę po porcie, dla relaksu. Dziewczyna go nie zna. Zwykły nieznajomy, który woła: *Hej*. Chce pogawędzić. Powoli idzie w kierunku łodzi. Blum się kryje. Jest blisko, słyszy każde słowo Rezy. *Poczęstuje mnie pani papierosem?*, pyta. Musi wciągnąć dziewczynę w pogawędkę. Zanim się odwróci i zniknie w kajucie. Musi się dowiedzieć, czy jest sama. Czy jest jeszcze ktoś, kogo będzie musiał obezwładnić. Czy pod pokładem są dziewczynki. Uma i Nela. *Papierosa?* *Jasne*, odpowiada dziewczyna.

– Dziękuję, bardzo pani miła.

- Zawsze jestem miła.
- Tak?
- Przecież to widać, prawda?
- Jest pani bardzo ładna, jeśli to miała pani na myśli.
- Ty jesteś z tych nieśmiałych, co?
- Nie da się ukryć.
- Masz tutaj łódź?
- Taką tam małą łajbę, bez porównania z tym cudem. Piękny jacht.
- Niestety nie mój. Tylko tu pracuję.
- Czym się pani zajmuje?
- Pieprzeniem.
- To znaczy...?
- Tak, to znaczy. Masz z tym problem?
- Nie, nie. Przeciwnie.
- Podoba ci się, co? Już ci się robi mokro. Dziewczyna, na którą miałeś ochotę, już prawie zawija do twojego portu. Musisz tylko wyciągnąć parę banknotów i zrobi się miło. Nie spodziewałeś się, że pójdzie tak łatwo, co?
- Nie.
- Wierz mi, jestem naprawdę dobra.
- Wierzę.
- I? Chcesz mnie czy nie? Chcesz, żeby mała Lisa ci obciągnęła?
- Dlaczego nie?
- Więc włącz tu i spuszczaaj spodnie. Będziesz sobie oglądał gwiazdy, a ja się zajmę twoim małym koleżką.
- Wolałbym zejść na dół.
- Niestety, nie da rady.
- Dlaczego?
- Bo tam śpią te cholerne bachory, a ja ich nie chcę obudzić. Ledwie zamknęły jadaczki.
- Masz dzieci?

– To nie moje. Tu nic nie jest moje. Oprócz tych ślicznych cycuszków. Więc albo je bierz, albo spadaj.

– Mój jacht cumuje minutę stąd. Chodź do mnie.

– Nie mogę ich zostawiać samych.

– Zaraz wrócisz. To nie potrwa długo.

– Czyli szybki numerek. Jak dla ciebie pięć dych.

– W porządku.

– No to chodź, marynarzu, zakołyszemy twoją łajbą.

Blum to słyszy. Że jej córeczki są pod pokładem. To prawda! Czuje strach, gniew i szczęście. Chciałaby krzyczeć, śmiać się, skakać, pobiec do nich. Ale się powstrzymuje. Czeka. Patrzy, jak dziewczyna z piersiami na wierzchu schodzi na ląd, jak Reza ją obejmuje, jak odchodzą. Jak najdalej od jachtu, żeby Blum mogła niepostrzeżenie wejść na pokład. Reza wywabia ją, zrobił wszystko, jak należy, nacisnął właściwy guzik. I zadba o to, żeby dziewczyna nie wszczęła alarmu, pewnie ją skrępuje kawałkiem liny, wetknie jej w usta szmatę, do czegoś przywiąże. Znajdą ją rano, kiedy Reza i Blum będą daleko. Kiedy będą płynąć łodzią Schielego po pełnym morzu. Z dziewczynkami w objęciach.

Blum słyszy, jak Reza włącza silnik. Stoi pod pokładem, patrzy na dziewczynki, a jacht płynie w stronę śluzy. Wypływają na Łabę, w kierunku Cuxhaven, jak najdalej od Hamburga. Na otwarte morze, chcą się rozplynać w błękicie. Zanim tamci znajdą dziewczynę, którą Reza zamknął w bagażniku jej wozu. Wywabił ją z łodzi, dowiedział się, gdzie stoi jej auto, zabrał jej kluczyki i obezwładnił, najdelikatniej, jak to możliwe. Potem włożył jej do kieszeni pieniądze i wrócił na jacht. Rzucił cumę, zerknął na Blum, uśmiechnął się.

Leżą obok siebie, trzymają się za rączki. Małe siostrzyczki. Wystraszone, ukryte pod pokładem. Jej córeczki. To prawdziwy cud. Małe ciałka miarowo się poruszają, unoszą się i opadają. Uma i Nela. Gdy się obudzą, mamusia chwyci je w objęcia. Nie będą musiały dłużej znosić tej niepewności, bezradności, samotności. Już nie będą się czuć porzucone. Dlatego palce Blum muskają czule ich policzki i włosy, usta Blum dotykają znajomej skóry. Blum czuje ich zapach. I płacze. Cichutko szepcze. *Mamusia wróciła. Kocham was, moje aniołki. Przepraszam, że was nie upilnowałam. Ale teraz już wszystko będzie dobrze. Mamusia zostanie przy was.* Kładzie się przy nich. Otula swoją miłością.

Trzydzieści węzłów. Płyną w dół Łaby. Nie zatrzymają się, aż się rozjaśni. Reza płynie coraz dalej i dalej, nie czuje zmęczenia, chce je zabrać w bezpieczne miejsce. Zatrzymuje się tylko raz, na chwilę. Schodzi pod pokład, patrzy na nie. Na łóżko. Śpią we trójkę. Uma, Nela i Blum. Potem wraca na górę. Znów płyną przez ciemności. W kabinie słychać tylko odgłos silnika. Czuć ciepło Blum, które powoli budzi dziewczynki ze snu. Wspomnienie, cudowne uczucie, którego się nie spodziewały. Zapala się światło. Obok nich niespodzianka. Mamusia.

Patrzę na nią, jakby spadła z nieba. Potem wykrzyknę z radości, zerwę się, rzucę na nią, wtulę, zasypię pytaniami. *Gdzie byłaś, mamusiu? Dlaczego nie przyjechałaś wcześniej? Kim jest ta pani, która nas pilnowała? Dlaczego masz bandaż? Jesteś ranna? Jak się czujesz, mamusiu? Cieszymy się, że wróciłaś. Bałyśmy się, że już nigdy cię nie zobaczymy. Przytul nas. Nie puszczaj nas. Mamusiu.*

Jakie to cudowne. Każde ich słowo. Każdy ruch, gest, blask w oczach, ta radość. Ulga. Euforia. Bo żyją, bo nagle znów wstaje dzień, bo wychodzi z nimi na pokład i pokazuje, kto jeszcze wrócił. Reza. Biegną do niego, rzucają mu się na szyję, nie mogą uwierzyć. Spotkanie, które pozwala o wszystkim zapomnieć. Morze, niebo i słońce.

Są daleko, u brzegów Helgoland. Reza wyłączył silnik. Dryfują po pełnym morzu. Są sami. Oddychają, pławią się w szczęściu. Spędzają cały dzień razem. Razem gotują, jedzą, skaczą do wody, pływają. Jakby przeszłość nie istniała, jakby miała już nigdy nie wrócić, jakby się od niej raz na zawsze uwolnili. Czują się jak na wakacjach. Jakby wyczarterowali ten jacht i wypłynęli w rejs. Blum opowiada dziewczynkom wesołe historyjki. Chce, żeby się uśmiechały, żeby były szczęśliwe. Jakby na świecie nie było zła. Nela śpi szczęśliwa w jej cieniu. A Uma zadaje pytania, pozwala mamusi, by jej zaplotła warkoczyki, cieszy się, że przez chwilę ma ją tylko dla siebie.

– Wiedziałam, że wrócisz, mamusiu.

– Moja dzielna myszka. Wspaniale się spisałyście, ty i twoja siostrzyczka. Jestem z was dumna.

– Nela bez przerwy płakała, chociaż jest starsza. Myślała, że już nigdy cię nie zobaczymy.

– Przecież bym was nie zostawiła.

– Tatuś nas zostawił.

– Tatuś nie żyje.

– Ty też mogłaś umrzeć, mamusiu.

- Nie. Mamusia żyje. I jeszcze długo nie umrze.
 - Tego nie możesz wiedzieć.
 - Masz rację, ale głęboko w sercu czuję, że zobaczę, jak dorastacie i same będziecie mieć dzieci. Tego na pewno nie przegapię.
 - Wujek Egon powiedział, że wyjechałaś.
 - To nie jest wasz wujek. I wcale nie wyjechałam.
 - Powiedział, że już nas nie kochasz. Że teraz on się nami zaopiekuje.
- Dlatego Nela płakała. Powiedział, że się cieszysz, że się nas w końcu pozbyłaś.
- Wiesz, że to bzdura, prawda?
 - Wiem.
 - Teraz już wszystko będzie dobrze.
 - Powiedział, że jeśli nie będziemy grzeczne, wrzuci nas do morza i pożrą nas ryby. On nie żartował, mamusiu. Strasznie krzyczał.
 - To zły człowiek. Jak wilk z bajki o Czerwonym Kapturku. Ale wilk już nie żyje. Rozcięliśmy mu brzuch i was uwolniliśmy.
 - On powiedział, że wróci.
 - Nie wróci.
 - Mówił też, że jesteś mordercą.
 - Tak powiedział?
 - Tak.
 - Chciał was nastraszyć.
 - Ja wiem, co robi morderca. Zabija ludzi. Mam rację, prawda?
 - Tak.
 - Zabiłaś kogoś, mamusiu?

Blum parska nienaturalnym śmiechem, przytula Umę, przyciska do piersi, całuje. Jakby to był kompletny absurd, zupełna nedorzeczność. *Mamusia nie zabija ludzi, kochanie.* Kłamie. Odsuwa wszystko jak najdalej, w tej chwili chce być tylko tu i teraz. Już nigdy nie straci ich z oczu. Zaczyna łaskotać Umę, rozśmiesza ją. Gładzi Nelę po główce. *Mamusia*

nikogo nie zabiła, powtarza w myślach. *Mamusia was kocha*, mówi. Cudowny dzień na pełnym morzu. Już nikt nie umrze. Czuje na twarzy lekki wiatr.

Blum chce to odwlec. Decyzję, którą musi podjąć, rozmowę z Rezą. Odsuwa ją od siebie od trzech dni. Zachowuje się, jakby tak miało zostać na zawsze. *Popływajmy jeszcze trochę*, mówi. Bo sama nie wie, czego chce. Co dalej. Bo dobrze jest tak, jak jest. Chce zostać tutaj, na morzu. Nie chce wracać na ląd, znów uciekać. *Proszę, Rezo*.

Delektuje się spokojem, liże rany. Zmienia opatrunki. Jakby wszystko było w najlepszym porządku. Spokój. Cudowne dni z dziewczynkami. Nie słucha tego, co mówi Reza. *Musimy uciekać. Dziewczyna już dawno mu powiedziała, co się stało. Szukają łodzi. Nie możemy tu dłużej zostać. Ale Blum nie ma zamiaru go słuchać. Chce zostać na morzu, u brzegów Helgoland. Czuje, że musi to doprowadzić do końca. Reza chce włączyć silnik, popłynąć jak najdalej stąd, do Anglii, Hiszpanii, Maroka, gdzieś, gdzie będą bezpieczni, gdzie nikt ich nie zna. Lecz Blum go powstrzymuje.*

Jeszcze nie, szepcze w duchu. Czuje, że musi zaczekać. Nie mogą tak po prostu zejść na ląd, zapełnić lodówki, zrobić zapasów wody pitnej i odpłynąć. Dopóki może, broni się przed słowami, które ma już na końcu języka. Nie chce znów zawieść dziewczynek, zobaczyć rozczarowania w ich oczach. *Mamusia musi wyjechać. Nie chce im tego mówić. Muszę jeszcze wrócić, załatwić kilka spraw. Gra z nimi w karty, w uno. Pławi się w porannym słońcu. Jeszcze przez chwilę zachowuje się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Potem to mówi. Chociaż pęka jej serce.*

– Nie mam wyboru, Rezo. Muszę zabrać paszporty. Nie chcę znów zaczynać wszystkiego od początku. Zostały w domu, bez nich nie możemy nigdzie wyjechać.

– Coś wymyślimy.

– Nie mamy pieniędzy.

- Mamy jacht. Sprzedamy go i kupimy wszystko, czego potrzebujemy.
- To nie takie proste, Rezo. Schiele na pewno zgłosił kradzież łodzi, nikt jej nie kupi. Nie mamy nic, Rezo. Nic.
- Mamy siebie.
- To za mało, by przeżyć.
- Popłyniemy do Chorwacji, mam tam znajomych. Nie musisz wracać.
- Nie mam wyboru. Nie powiem dziewczynkom, że znów musimy zmienić imiona. Nie zrozumieją tego. Ledwie się przyzwyczyły do tych. Uma to Emma, a Nela to Katrin. I tak musi zostać, rozumiesz?
- Powiedziałaś im, że już nigdy ich nie opuścisz. Że z nimi zostaniesz. Spójrz na nie, są takie szczęśliwe. Nie psuj tego.
- Nie mam wyjścia, Rezo. Za dwa, trzy dni wrócę i znowu będziemy razem. Wyjedziemy stąd. Na zawsze, Rezo. Daleko.
- On cię zabije.
- Nie pozwolę mu na to.
- Pójdę za ciebie.
- Nie. Musisz zostać z dziewczynkami. Musisz ich pilnować. Mam tylko ciebie. Tylko przy tobie będą bezpieczne.
- Boję się o ciebie.
- Jeśli chcemy mieć jakąś przyszłość, muszę wrócić. Schiele wie, jak się nazywam. Zna imiona dziewczynek. To on mi załatwił paszporty, tylko on zna moją przeszłość. Tylko on, rozumiesz? Jestem jego małym sekretem.
- I?
- Muszę sprawić, by zachował ten sekret dla siebie.
- Jak?
- Coś wymyślę.
- Proszę, pozwól, że ja to zrobię.
- Nie.
- Dlaczego?
- Bo to mnie skrzywdził, nie ciebie.

– Nie możemy działać pochopnie, musimy to dokładnie przemyśleć. Nie możesz tak po prostu wrócić do Hamburga, do domu, do niego. Jak sobie to wyobrażasz? Co, na litość boską, zamierzasz zrobić?

– Zamierzam go zabić.

– Jak? Nawet się do niego nie zbliżysz. Będzie na ciebie czekał. Zniknęła jego siostra, jego łódź, dziewczynki. Jest wściekły.

– Tak jak ja.

– Proszę, zostań.

– Nie mogę, Rezo.

Znów musi to zrobić. To, co zrobiła w sypialni sędziego. Posprzątać. Nie może zostawić żadnych śladów, ma być tak, jakby nic się nie wydarzyło. W ślicznym domku nad Łabą. W małym zakładzie pogrzebowym w Blankenese. Więc sprząta. Tak długo, aż wytrze ostatni swój ślad.

Reza wysadził ją na brzegu. Załadował prowiant na łódź, a ją zostawił na lądzie. W Cuxhaven. Wołała, żeby jacht był jak najdalej od Schielego. *Zadzwoń, kiedy będzie po wszystkim*, powiedziała i poszła. Nie obejrzała się. Nie chciała widzieć machania dziewczynek, ich zawiedzionych twarzyczek. Wsiadła do pociągu i jest w Hamburgu. Przy stacji Landungsbrücken wsiadła do karawanu. Musi jechać do Johanna, oddać mu wóz, przeprosić. Za to, że wzięła auto bez pytania, nic mu nie powiedziała. Johann prędzej czy później zgłosi kradzież, więc musi tam dotrzeć jak najszybciej. Musi przeprosić, że go zostawiła na lodzie, że od dwóch tygodni nie daje znaku życia. Że po prostu zniknęła, nie odpowiadała na telefony. *Przepraszam, Johann. Powinnam była zadzwonić. Byłeś dla mnie taki dobry, tyle dla mnie zrobiłeś. Nie chciałam cię zawieść, naprawdę.* Blum stoi przed nim, jąka się. Spala się ze wstydu. *W porządku*, odpowiada Johann.

Johann wie, że Blum już nie wróci. Że to pożegnanie. Pozwala jej odejść. O nic nie wypytuje. Dokąd jedzie, dlaczego tak nagle znika z jego życia. Przyjmuje to ze spokojem, nie zatrzymuje jej. Przeciwnie, pyta, czy czegoś jej potrzeba, czy może jej jakoś pomóc. To nie ciekawość, która zmuszałaby ją do kłamstwa. Nie pyta o Rezę, który się zjawił w zakładzie, pokazał jej zdjęcie. *Kim jest ten mężczyzna, który cię szukał? Masz kłopoty? Czego od ciebie chciał?* Johann jest dyskretny, mówi tylko, że jeśli będzie czegoś potrzebować, zawsze może na niego liczyć. *Jeśli masz kłopoty, możesz mi śmiało powiedzieć.* Jest jak dobry dziadek, którego nigdy nie

miała. Przypomina jej Karla. Johann chce ją chronić, bo czuje, że coś się dzieje. Jest troskliwy, pomocny, do samego końca. *Co prawda trochę się martwię, ale wiem, że dasz sobie radę*, mówi. *Jeśli jeszcze potrzebujesz wozu, weź go i po prostu go zamknij, jak skończysz. Kluczyki włóż do doniczki przy drzwiach.* Blum go obejmuje. Długo trzyma go w ramionach. *Dziękuję*, mówi. Johann odwzajemnia jej uścisk. Potem się odwraca i wychodzi z zakładu, zostawia ją samą.

Blum zabiera się do pracy. Zakłada rękawiczki jednorazowe, bierze środek do dezynfekcji i dokładnie czyści salę przygotowań, salę pożegnań, niszę kuchenną. Wszystko, starannie. O niczym nie zapomina. Wyciera każdą butelkę, każdą filiżankę, każdą igłę. Nie znajdują żadnych odcisków palców ani kropelki śliny, ani odrobiny naskórka. Ani w zakładzie, ani w domu, w którym prawie że odnalazła szczęście. Blum wraca tam, po raz ostatni. Musi posprzątać, zabrać paszporty, spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Wzięła z zakładu dwadzieścia litrów wybielacza i środków do dezynfekcji. Wszystko rozpyli, wszystko dokładnie wytrze, usunie każdy ślad przeszłości. Nie zostawi swojego DNA, ani w salonie, ani w pokoju dziewczynek, ani w łazience. Ani w kuchni. Wszystkim się zajmie, zostawi tylko martwe ciała. Sprząta wokół nich. Jakby jej nigdy tutaj nie było, jakby nic się nie wydarzyło. Ignoruje odór dwóch rozkładających się wieprzy.

Jest lato, upał, muchy złożyły w ranach jaja, po ciałach łażą już larwy. Dla Blum to nic nadzwyczajnego, zwykły dzień pracy. Zna ten odór, nie zwraca na niego uwagi. Towarzyszył jej, odkąd pamięta. Rozkład, plamy opadowe, płyny ustrojowe szukające ujścia. Topielcy, zmarli, którzy tygodniami czekali w mieszkaniu, aż ktoś ich odnajdzie. Nic nadzwyczajnego. Przynajmniej dla Blum. Wreszcie kończy. Obeszła wszystkie pomieszczenia, była w ogrodzie, w piwnicy. Wszystko dezynfekuje, resztę wrzuca do ognia. Do kominka. Szczoteczki do zębów, szczotki do włosów, pluszaki, zabawki, pokrowce na meble, pościel. Wszystko zamienia w popiół. Zasłony, dywany. Tnie je na mniejsze kawałki

i patrzy, jak idą z dymem. Nie znajdują nawet włosa.

Czyści odpływy, opróżnia syfony. Przez całe popołudnie, wieczór, pół nocy. Pedantycznie. O niczym nie zapomina. Wciska się w każdy kąt. Odkurza, pali, rozpyła wybielacz, szoruje, wyciera. Nie może o niczym zapomnieć. Wrzuca worek odkurzacza do ognia. Co jakiś czas wynosi popiół do ogrodu. Nie zostawi po sobie żadnego śladu. Technicy badający dom powiedzą, że jeszcze nigdy nie widzieli takiego miejsca zbrodni. Blum nie przegra, nie z powodu nieumytej szklanki. Niczego nie znajdują, już ona się o to postara. Sprząta. Aż wstaje dzień. Jak obłąkana, bo wciąż myśli o swoich małościach. Jak leżą z Rezą w łóżku i po raz setny pytają, kiedy wreszcie wróci mamusia.

Stoi w sterylnym domu. W domu, w którym zostają dwa martwe ciała. Stoi i patrzy. Jakby nie miała z tym nic wspólnego. Powoli się schyla i bierze siekiere, która leży obok zwłok na podłodze. Podnosi ją i idzie do zlewozmywaka. Zdrapuje zaschlą krew, wyciera odciski palców. Tak długo, aż siekiera zaczyna lśnić. Wtedy wychodzi do ogrodu, do szopy na drewno. Bierze zamach, wbija umytą siekiere w pień i bierze inną.

Ulubiona zabawka Schielego. Uwielbiał rąbać drewno. To mu przypominało pewien film. *Innamorato Pazzo*. Pokazał go Blum. Adriano Celentano z nagim torsem jak wariat rąbać drewno. Bo jego ukochana doprowadza go swoją nagością do szaleństwa. *Czuję to samo, co ten biedak*, powiedział. Odreagowywał. Prawie za każdym razem, gdy ją odwiedzał, rąbał drewno. Blum jest mu za to szalenie wdzięczna. Za to, że wszędzie zostawił swoje odciski palców.

Siekiera. Blum trzyma ją ostrożnie, w wyciągniętej ręce. Wciąż ma na dłoniach rękawiczki. Bez pośpiechu wraca do kuchni, starannie wciska ostrze w ranę Charlesa. Trzyma w ręku narzędzie zbrodni, spokojnie powtarza to, co się wydarzyło. Powoli, jak na zwolnionych obrotach, wpycha ją w rany na plecach, przykładając do głowy Dinga. Śledczy nie będą mieć żadnych wątpliwości. Egon Schiele zabił dwóch mężczyzn. Zabił ich,

a potem posprzątał.

Technicy nie znajdą niczego, co by ich doprowadziło do Blum, do dziewczynek. Nikt nie połączy tej zbrodni z jej przeszłością, nikt nie odkryje jej tajemnicy. Taki jest plan. Wierzy, że jej się uda. I zaczyna wszystko od nowa. Jeszcze raz sprawdzi każdą szparę, znajdzie każdy włos, niczego nie przeoczy. Zaczeka, aż zgaśnie ogień. Położy się na chwilę, bo jej powieki ciążą jak ołów. Musi się zdrzemnąć. Godzinę, może dwie. Potem zajmie się Schielem. A później wróci na pokład i przytuli swoje maleństwa.

- Zaskakujesz mnie, Marie. Nie spodziewałem się, że zadzwonisz.
- Myślisz, że odeszłabym bez pożegnania?
- Cieszę się, Marie. Nawet nie wiesz, jak bardzo.
- Nie sądzisz, że powinniśmy się spotkać?
- Koniecznie.
- Będę tęsknić za tym miejscem.
- To znaczy?
- Za Łabą. Lubię patrzeć na przyplływające statki. Jest jak nad morzem. Dziewczynkom bardzo się tu podobało, lubiły się bawić w piasku. Zbudowały z Tinem ogromny zamek. Ale zamek runął. A Tino nie żyje.
- Możemy porozmawiać.
- Naprawdę? Więc powiedz mi: co się z nim stało?
- Znow mówisz o tym swoim żalonym skutniku? Myślałem, że to zamknięty rozdział.
- Chciałabym wiedzieć, jak umarł.
- Nie odgrzewajmy starych kotletów. Porozmawiajmy raczej o rozwiązaniu naszego aktualnego problemu. To mi się wydaje ważniejsze.
- Jeśli chcesz, mogę się rozłączyć. Wrzucę komórkę do Łaby i zniknę na zawsze. Nigdy więcej nas nie zobaczysz. Chcesz tego?
- Nie chcę.
- Więc powiedz, co mu zrobiłeś.
- Zabraliśmy go na ląd, ogłuszyliśmy i utopiliśmy w zbiorniku z gnojówką. Nieprędko go znajdą.
- Dlaczego to zrobiłeś?
- Bo złamałaś zasady, przecież wiesz. Ustaliliśmy coś, a ty nie dotrzymałaś umowy. To ty odpowiadasz za jego śmierć, nie ja.

- Masz rację, to wszystko moja wina.
- Cieszę się, że tak to widzisz, Marie. A teraz porozmawiajmy wreszcie o mojej siostrze.
- Zaskoczyła cię moja wiadomość, prawda? Jak ci się podobał filmik? Piękny, nie sądzisz?
- Tak, nawet bardzo.
- Zainspirowałeś mnie. Cudownie było ją filmować. Wyobrażałam sobie, jak zareagujesz. Wiedziałam, że się ucieszysz. Zobaczysz, że u niej wszystko dobrze.
- Jeśli mam być szczery, to zakładałem raczej, że już nigdy jej nie zobaczę.
- Jak to się można pomylić, prawda?
- Mam nadzieję, że jej nie skrzywdziłaś.
- Może troszkę.
- Jeśli coś jej się stało, gorzko tego pożałujesz.
- Na razie nic jej nie jest.
- Mam nadzieję. I postaraj się, żeby tak zostało, dla własnego dobra.
- Jeśli nie zrobisz tego, co ci powiem, twoja siostra umrze.
- Nie sądzisz, że jesteśmy kwita?
- Nie sądzę, jeszcze nie.
- Odzyskałaś dzieci. Czego jeszcze chcesz?
- Pieniądzy.
- Rozczarowujesz mnie, Marie. Naprawdę myślałem, że jesteś inna niż te wszystkie kobiety, które się wokół mnie kręcą. Przykro słyszeć, że się myliłem.
- Daruj sobie ten teatr. To koniec. Ty przegrałeś, ja wygrałam. Proste.
- Masz jaja, to muszę przyznać.
- Chcę osiemset tysięcy euro. Tyle wystarczy, by zacząć nowe życie. Dla takiego biznesmena jak ty załatwienie tej sumy nie powinno być trudne. Masz czas do jutra do południa.

– Ty chyba naprawdę oszalałaś. Myślisz, że z kim masz do czynienia, co? Myślisz, że trzymam miliony w szufladzie biurka?

– Nie obchodzi mnie, skąd weźmiesz pieniądze. Masz je przynieść jutro na dworzec. Tor trzeci, dwunasta trzydzieści pięć. Nie wcześniej i nie później.

– Bądźmy szczerzy, Marie. Nie panujesz nad sytuacją. Wszystko ci się wymyka z rąk. Byłem przerażony, gdy zobaczyłem, co zrobiłaś z moim pięknym domem. I moim biednym chłopcom.

– Byłeś tam?

– Oczywiście. Stęskniłem się za tobą. Szukałem cię, ale znalazłem tylko tę rzeźnię w mojej kuchni. Coś straszego. Chcieli się tylko trochę zabawić, nie musiałaś ich od razu zabijać.

– Zabawili się, możesz mi wierzyć.

– Cały czas się zastanawiam, jak to zrobiłaś. To naprawdę fascynujące, że udała ci się taka sztuka. Dwóch postawnych facetów i drobna kobieta, niewiarygodne.

– Dość gadania.

– W takim razie powiedz mi, gdzie moja siostra.

– Już ci powiedziałam. Wszystko zależy od ciebie. Możesz ją zobaczyć, a może umrzeć. Jej życie jest w twoich rękach. Osiemset tysięcy. Jutro. Dwunasta trzydzieści pięć, tor trzeci.

– Nie wydaje mi się, żeby w twoim położeniu można było stawiać jakieś żądania.

– Więc jeszcze raz obejrzyj filmik.

– Szuka cię policja na całym świecie.

– No i?

– Prędzej czy później ktoś znajdzie ciała w moim ślicznym domu i wyjdzie na jaw, co się stało. Dobrze wiesz, że tak będzie. To tylko kwestia czasu.

– Zostaw mnie te zmartwienia.

– Moglibyśmy puścić cały dom z dymem. Tak jak spaliłaś szopę swojego skutnika. Pstryk i nie ma śladów zabójcy. Będziesz wolna, tylko oddaj mi siostrę. Towarzystwo ubezpieczeniowe pokryje straty i wszystko będzie dobrze. Co ty na to?

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz, prawda? Zabijemy ją, jeśli jutro nie przyniesiesz pieniędzy.

– My?

– Kiedy się z tobą spotkam, ktoś jej będzie pilnował. I ten ktoś ją zabije, jeśli nie wrócę z pieniędzmi. Bo musisz wiedzieć, że mam gdzieś, co się z nią stanie. Jedyne powód, dla którego tu jeszcze jestem, to pieniądze. Czy to dociera do tej twojej alfonsowskiej główki?

– Nie boisz się mnie?

– Nie. Już nie. Zrobiłeś mi wszystko, co najgorszego można zrobić kobiecie.

– W takim razie porozmawiajmy jak rozsądni ludzie.

– Nie ma o czym. Przyjdiesz albo nie. Przyniesiesz pieniądze albo nie. Twoja siostra przeżyje albo umrze.

– Co ty wyprawiasz, Marie?

– Porządkuję sprawy.

Zadzwoiła do niego. Powiedziała mu wszystko, co zamierzała. Wcześniej wysłała film. Siostra Schielego powstała z martwych, specjalnie dla brata. To prawdziwy cud. Że Blum przypomniała sobie o tym, co powiedziała jego siostra w piwnicy, do aparatu. *Hermannie, musisz mi pomóc. Czegokolwiek od ciebie żąda, daj jej to. Oddaj jej dzieci, inaczej mnie zabije. Dała mi jakiś zastrzyk. Musisz mnie uwolnić.* Nacisnęła „wyślij”. Potem zadzwoniła. Miała satysfakcję, że w końcu może stanąć naprzeciw niego z podniesionym czołem.

Głęboko oddycha. Wdech i wydech. Wciąż trzyma komórkę w ręku. Wyobraża sobie morze, takie o poranku. Cisza, bezwietrznie, woda jest gładka jak szklana tafla. Są tylko jej słowa. *Twoja siostra przeżyje albo umrze.* Jasno i dobitnie. Chociaż cała aż dygotała, chociaż to zdanie kosztowało ją mnóstwo sił, głos jej nie zadrżał, powiedziała to, jak należy. A on zareagował tak, jak się spodziewała. Jest nerwowy, zaczyna ją traktować poważnie, wie, do czego jest zdolna. Jego zabaweczka, nad którą już nie ma kontroli. Jego Marie. Wpadła w amok. Musi ją powstrzymać.

Blum odkłada telefon, zdejmuje opatrunek. Wpatruje się w piętno na przedramieniu. Egon Schiele. Jedenaście liter, które miało jej go przypominać do końca życia. *Ręczna robota, powiedział. Teraz należysz do mnie. Na zawsze.* Blum słyszy jego głos. Chociaż w domu panuje cisza. Tylko deszcz za oknem, krople bębnią o szybę. Burza. W niej. Na jej skórze. *Teraz należysz do mnie, powiedział, uśmiechnął się. Szydził z niej. Blum dłużej tego nie zniesie. Ani chwili. Dlatego to robi, już się nie zastanawia.* Nad tym, co się zaraz wydarzy, jak potwornie będzie bolało. Nie myśli o tym.

Żelazko. Kupiła je cztery miesiące temu, na pchlim targu w Altonie.

Włącza wtyczkę do gniazdka. To jedyny sposób, aby się od niego uwolnić. Nastawia temperaturę i czeka, aż się nagrzej. Patrzy na piętno, w głowie kołacze jej tylko jedna myśl, którą próbuje uciszyć. *Nie możesz tego zrobić, Blum. Nie wytrzymasz tego bez znieczulenia. Napij się, weź tabletkę.* Ale ona chce być przytomna. Chce czuć. Jak on z niej znika. Chce go unicestwić. Dzisiaj. I każdego następnego dnia. W końcu ból ustanie, rana się zagoi. Blum to wie. Dlatego bierze żelazko do ręki. Przyciska do przedramienia. Mija sekunda. Dwie. *Nie jestem niczyją własnością,* mówi przez zaciśnięte wargi. Trzy sekundy, cztery. *Należę tylko do siebie,* krzyczy. Pięć, sześć. *Na zawsze.* Siedem, osiem. Jeszcze raz dociska żelazko, potem upuszcza je na podłogę.

Krzyczy. Krzyczy bez końca. Bo ból jest nie do zniesienia. Najchętniej odciąłaby sobie rękę. Chciałaby zemdleć, walić głową o ścianę. Aż ból ustanie, aż przestanie czuć ten okropny swąd spalonej skóry. Zapach chloru, środka do dezynfekcji, rozkładu, który się rozpełzł po całym domu. Chciałaby zgasić wszystkie światła. Ale tego nie robi. Choćby ból był nie wiem jak ogromny, wytrzyma, nie zejdzie pod pokład. Wie, że to minie. Ból. Już niedługo.

Patrzy, co zostało z Egona Schielego. Spogląda na swoje przedramię. Chociaż łzy płyną jej z oczu, śmieje się. Usta wykrzywiają się w bólu, lecz ich kąciki wędrują ku górze. Rozpacz i radość. Bo tam, gdzie było jego imię, jest tylko czerwony trójkąt. Kawałek przeszłości wypalony z jej skóry. Schiele zniknął. Do ostatniej literki. Nie zabierze stąd żadnej pamiątki, wszystko zostanie tutaj. W Hamburgu, w Blankenese.

Porządkuję sprawy, powiedziała. Smaruje się maścią na oparzenia. Zaciska zęby. Uprząta ostatnie ślady, rozpyła resztę wybielacza, czyści żelazko, jeszcze raz zagląda do lodówki, spiżarni, toalety dla gości. Potem upycha do swojego plecaka szmaty, puste butelki, wszystko, co musi zabrać. Wyrzuci to gdzieś po drodze, w mieście. Zabiera paszporty, paralizator przyniesiony przez Dinga i siekiere. Zamyka za sobą drzwi, przekręca klucz

i idzie.

Jedzie karawanem przez miasto. Jeszcze cała noc i przedpołudnie, nim się spotka z Schielem na dworcu. Nim wróci do dzieci, znów usłyszy ich beztroski śmiech, weźmie Umę i Nelę w objęcia. Jeszcze jakieś dwadzieścia godzin i Reza ją odbierze. Zadzwoi do Johanna i powie mu, gdzie zostawiła karawan. Marie Müller i jej córeczki znikną, na zawsze. Zadzwoi do szkoły, podziękuję, powie, że wracają do Berlina. Pożegna się. Po drodze wpadnie do biura meldunkowego. Po kilku tygodniach już nikt nie będzie pamiętał Marie Müller i jej córeczek. Nikt. Nawet kiedy w jej domu znajdą dwa martwe ciała.

Podwójne morderstwo w sennym Blankenese z początku wywoła szok, przez kilka dni ludzie będą opowiadać o kobiecie, która mieszkała w tym domu. *To pewnie prostytutka*, powiedzą. Kochanka króla alfonsów, to jego dom. Była, co prawda, miła i sympatyczna, ale wiadomo, czego się po takiej spodziewać. Nic dziwnego, że stało się to, co się stało. *Tacy ludzie nie mają tu czego szukać*, powie któryś z sąsiadów. Wszystkim ulży, że zniknęła. Policji niewiele będą umieli o niej powiedzieć. Nikt się z nią nie zadawał, była zamknięta, nie utrzymywała kontaktów z sąsiadami. *My nic nie wiemy*, powiedzą. *Nie zadajemy się z takimi ludźmi*. Życie szybko wróci na dawne tory. W Blankenese i w ogóle w całym Hamburgu. Jakby jej tu nigdy nie było. Nikt nie będzie jej podejrzewał, nikt nie będzie jej szukał. Sama się o to postara. Już za chwilę.

Parkuje niedaleko jego domu. Czeka przed jego ulubioną knajpą. Daniel Lambert. *Oczywiście, chętnie się z panią spotkam*, usłyszała w słuchawce. *Po pracy. Możemy się napić likieru*. Ucieszył się, że zadzwoniła. *Chodzi o Schielego*, powiedziała. To wystarczyło. Lambert chwycił przynętę, Blum usłyszała to w jego głosie. Ciekawość, ale i coś jeszcze. Przypomniała sobie

tamtą rozmowę. W domu siostry Schielego. To, co mówił o swojej córce, jak płakał. Zrodziła się między nimi bliskość, zaufanie. Chociaż Lambert stoi po drugiej stronie barykady, chociaż Reza by jej to na pewno odradzał, spotka się z nim. Zaufa swojej intuicji. Lambert jej pomoże, ma tego samego wroga, podobne rany. Ma córkę, która mu każdego dnia przypomina, co zrobił Schiele. Że przez niego chciała się zabić, straciła nogi.

Blum przypomina sobie młodą kobietę w parku. Wózek inwalidzki i smutek w oczach. Wie, że postępuje właściwie. Pójdzie do knajpy i opowie mu pewną historię. Lambert jej uwierzy, tak jak Schiele, kiedy do niego zadzwoniła. Blum go okłamie. Ze względu na swoje dzieci, ze względu na nowe życie, które im obiecała. Za kilka minut wykona następny krok. Patrzy, jak Lambert parkuje, wysiada, znika za drzwiami knajpy. Pójdzie do niego. Za chwilę. Ale najpierw zdejmie opatrunek, nałoży maść. Tak strasznie boli. Ale piętno zniknęło. Nie odrośnie, nie wróci, nie wychynie z za oparzenia. To tylko poparzona skóra, ból, który minie. Ból, który uśmierzy likierem. Albo czymś podobnym. Czymś, co Lambert posłusznie wykona. Gdy Blum opatrzy przedramię i położy na stole narzędzie zbrodni. Gdy mu opowie pewną historię.

Siekiera. Zawinęła ją w folię. Nie chce zatrzeć jego odcisków. Wita się, siada i kładzie ją przed Lambertem. *To dla pana*, mówi. Nie chce tracić czasu, woli od początku postawić sprawę jasno. Jest tu z jednego powodu. Żeby pomóc Lambertowi zamknąć Schielego. *Cieszę się, że pani przyszła*, mówi policjant. Blum uśmiecha się blado, potem, nie pytając go, zamawia dwie wódki. Bo w jej głowie kłębią się myśli, bo ręka nie przestaje jej palić, bo musi sprawić, by jej uwierzył. *To narzędzie zbrodni, zabito nią dwóch ludzi*, mówi. *Prezent ode mnie. Żeby w końcu mógł się pan dobrać do naszego wspólnego przyjaciela*.

Lambert patrzy zdumiony. Nie wierzy w to, co słyszy. W to, co mówi Blum. *Narzędzie zbrodni. Z odciskami palców*. Jeszcze nie tknęli kieliszków, a jemu już kręci się w głowie. *Proszę uważać, żeby nie zatrzeć odcisków*

Schielego. Najlepiej niech pan jej w ogóle nie dotyka. Ale to chyba wie pan lepiej ode mnie. Znów się do niego uśmiecha. I pije. Kieliszek w jej dłoni jest jak koło ratunkowe. Jej ocalenie jest w wódce, w tym, co mówi Lambert, w jego pytaniach. W tym, że przyszedł. Na zdrowie, mówi.

– Dość osobliwy prezent.

– Prosił pan o pomoc, prawda?

– Owszem. I jeśli to, co pani mówi, jest prawdą, to naprawdę się cieszę, że odważyła się pani do mnie zadzwonić. Że przyszła pani do mnie, a nie kogoś innego.

– Sądzi pan, że kłamię?

– Mówi pani o zabójstwie, to nie przelewki.

– Wiem.

– Więc tą siekierą zabito człowieka?

– Dwóch. Schiele zabił nią dwóch ludzi.

– To poważne oskarżenie. Musi pani zrozumieć moją ostrożność.

– Widziałam, jak zginęli.

– Naprawdę?

– Tak.

– Dlaczego to zrobił?

– Bo chcieli mnie zgwałcić.

– Współczuję.

– Niepotrzebnie. Są martwi. I za to jestem mu wdzięczna.

– Kim byli ci mężczyźni?

– Jego goryłami.

– To przerażające, co pani mówi. Nie wiem, co powiedzieć. Przychodzi pani, kładzie na stole siekierę i opowiada mi, że Schiele zabił dwóch swoich ludzi. To więcej, niż oczekiwałem. Aż trudno uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Może mi pan wierzyć lub nie, to pańska sprawa. Mówię tylko, co się stało.

– Jeśli było tak, jak pani mówi, to Schielemu musi na pani strasznie zależeć. Skoro był gotów dla pani zabić dwóch swoich ludzi...

– Nie dla mnie. Zrobił to dla siebie. Powiedział, że nie zniósłby świadomości, że mnie zerznęli. Że zepsuli jego zabawkę. Dlatego ich zabił.

– Nie wspomniała pani o tym podczas ostatniej rozmowy. Że była z nim pani tak blisko.

– Jest pan gliniarzem. Samo to, że z panem rozmawiałam, było cholernie niebezpieczne.

– Więc dlaczego to pani zrobiła?

– Bałam się. Chciałam uciec. Nadal chcę.

– Co pani wtedy robiła w domu doktor Zwischnovski?

– Schiele się uparł, żebym jej pomogła w ogrodzie. Myślał, że się zaprzyjaźnimy, chciał, żebyśmy byli rodziną. *Rodzina jest najważniejsza*, powiedział.

– I?

– Jak dla mnie mogą pielęgnować więzi rodzinne za kratkami, przecież będzie go mogła odwiedzać. Bo ja nie zamierzam.

– Jego siostra zniknęła. Nie ma jej w domu, gabinet jest zamknięty. Nie wie pani przypadkiem, gdzie się podziała doktor Zwischnovski?

– Niestety nie. Mogę panu za to powiedzieć, gdzie pan znajdzie ciała z ranami pasującymi do narzędzia zbrodni.

– Tak, to by mi bardzo pomogło.

– Obiecuję, że wszystko panu dokładnie opowiem, ale najpierw musi mi pan wyświadczyć przysługę.

– Przysługę?

– Musi mi pan pomóc. Nie wiem, kogo innego mogłabym o to poprosić.

– Słucham.

– Muszę wyjechać z miasta. Wie pan, że jeśli powiem, gdzie są ciała, nie przeżyję nawet jednego dnia.

– Jak mogę pani pomóc?

– Schiele wszystko dokładnie wyczyścił. Kazał dokładnie wysprzątać cały dom, zatrzeć wszystkie ślady. Zapomniał tylko o siekierze. Nie zauważył, że ją zabrałam.

– To co pani mówi, brzmi wprost absurdalnie, ale z jakiegoś powodu pani wierzę. Widzę, co pani zrobili.

– Nie rozumiem.

– Wiem, że panią skrzywdzili.

– Ta siekiera to mój bilet do wolności.

– Pani go szantażuje, prawda?

– Tak, potrzebuję pieniędzy. Wie pan, że bez nich nie mam szans.

– I jak mam pani pomóc?

– Jutro o dwunastej trzydzieści pięć spotkam się z nim na dworcu, tor trzeci. Przyniesie pieniądze, ale kiedy zobaczy, że jestem sama, nie pozwoli mi wyjechać. Jeśli mi pan nie pomoże, spotka mnie to samo, co facetów, których krew jest na tej siekierze.

– Mam pójść z panią?

– Tak. Pan i tuzin pańskich kolegów. Chcę, żeby pan mnie ochraniał. Boję się, że jeśli się zjawię sama, stanie mi się coś złego. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powiem panu, gdzie Schiele ukrył ciała. Kiedy pana zobaczy, nie będzie mógł mnie zatrzymać. A pan go aresztuje i wsadzi na resztę życia za kratki. Przecież tego właśnie pan chce, prawda?

– Tak.

– W takim razie proszę mi pomóc.

– Złamałbym prawo, gdybym pozwolił pani uciec z pieniędzmi.

– To prawo nie przywróci pańskiej córce nóg, prawda?

– Prawda.

– W takim razie wypijmy. Za owocną współpracę.

– Za współpracę.

Oto, dokąd prowadzą kłamstwa. Leży w samochodzie, z tyłu, okryta kocem. Na parkingu przed knajpą, zaraz po zamknięciu. Kobieta w karawanie. Szczęśliwa, bo wszystko się potoczyło tak, jak zaplanowała. Daniel Lambert zareagował tak, jak tego chciała, kiwnął głową, kiedy spytała, czy z nią pójdzie. Potem z nim piła. Jeszcze dziesięć minut temu siedziała z nim przy stoliku, rozmawiali o wszystkim i o niczym, zachowywali się, jakby to był całkiem zwyczajny wieczór, jakby się spotkali zupełnie przypadkiem. Kieliszek po kieliszku, aż ból zniknął. Przynajmniej na chwilę.

Chce spędzić tę noc w spokoju, głęboko przespać kilka godzin. Myśli o dziewczynkach, w końcu oczy powoli się zamykają, na całe sześć godzin. Otwiera je tylko raz, myśli o Rezie. Zadzzwoni do niego, gdy się rozwidni. Z budki, bo komórkę spaliła. Bo nie chciała, żeby Schiele ją namierzył, żeby ją znalazł. Jeszcze tylko wysłała mu filmik, porozmawiała z nim. I z Lambertem. I z Rezą. Potem spaliła za sobą mosty.

Jest odcięta od świata. Nie ma wieści od dziewczynek, nie dzwoni do Rezy. Tylko po południu słyszała przez chwilę jego głos, przed spotkaniem z Lambertem. Chciała mu dać znak, żeby się nie martwił. *U mnie wszystko w porządku, Rezo. Nic mi nie jest. Powiedz, proszę, dziewczynkom, że je kocham. Że mamusia niedługo wróci.* Słyszała jego oddech. Czuła, jak bardzo chciałby tu być zamiast niej, pomóc jej. Bo wiedział, co Blum zamierza. I że to, co zamierza, jest niebezpieczne. Że mogą ją aresztować. Że Schiele może ją zabić. Reza błagał, żeby zrezygnowała, dała spokój. *Cokolwiek zamierzasz, Blum, nie rób tego.* Lecz ona machnęła ręką. Spotkała się z Lambertem. Teraz kolej na Schielego. Bo dziewczynki są już bezpieczne. Bo nie musi się już o nie martwić, może spokojnie się zająć

Schielem. Ostatecznie się od niego uwolnić, zmyć z siebie to wszystko, co przez te miesiące powiedział, każde słowo, każde lubieżne spojrzenie. Powie mu, że to koniec. Ostateczny. Już niedługo.

Blum patrzy, jak wstaje dzień. Jak promienie słońca wnikają do wozu. Ma jeszcze czas, nikt jej nie skrzywdzi, nikt nie wie, gdzie jest, paralizator Dinga leży tuż obok, pod ręką. W razie gdyby Schiele jakimś cudem ją znalazł, gdyby Lambert zmienił zdanie, gdyby pojechał do Schielego, aresztował go wcześniej, niż ustalili. Gdyby skłonił Schielego do mówienia, gdyby się dowiedział, gdzie Blum mieszkała, gdzie pracowała.

Blum wie, że Schiele zrobiłby wszystko, by się ratować. Nie wahałby się ani sekundy, poszedłby na układ, powiedziała by Lambertowi, kim naprawdę jest Marie Müller. Kobieta, która mu zaserwowała tę mrozącą krew w żyłach bajeczkę. Schiele walczyłby o życie. Schiele wydałby ją i z niewinnym uśmiechem umył ręce. *Jeśli mnie wypuścisz, pomogę ci, przeskoczysz kilka szczebli kariery. Złowisz naprawdę grubą rybę. Marie Müller to Brünhilde Blum, potwór z Innsbrucku.* Schiele nasłałby na nią Lamberta i setkę jego kolegów. Może już to zrobił. Może zaraz otworzą się drzwiczki auta, może rozmawiali z Johannem, wszczęli poszukiwania karawanu i znaleźli go przed tą knajpą. Może wedrą się do środka siłą. Za kilka sekund. Już.

Blum leży bez ruchu. Czeka. Bo nie wie, czy coś nie pokrzyżuje jej planów. Nie może ufać nikomu. Nikomu prócz Rezy. Musi się spodziewać najgorszego, brać pod uwagę każdy scenariusz. Na dworcu może się zdarzyć tysiąc rzeczy, potoczyć inaczej, niż sobie wymyśliła. W jej głowie przesuwają się obrazy. Film, w którym to Schiele jest górą. Obezwładnia ją, zabiera ze sobą i wrzuca do zbiornika z gnojówką, tam gdzie Tina. *Sama tego chciałaś, Marie. Szkoda, że tak się musimy pożegnać. Adieu, Marie.* Blum widzi to. Słyszy. Widzi, jak się uśmiecha. Wyobraża sobie własną śmierć. Jak ląduje w gnojówce. Zamiast płynąć z dziewczynkami po morzu.

Okropne obrazy. Blum odsuwa je od siebie, lecz one wracają. Lambert, który może się stać czarnym charakterem. Wyobraża sobie, jak ją

zatrzymuje na dworcu i każe pobrać jej odciski palców. Żeby sprawdzić, czy Schiele mówi prawdę. *Przecież nie ma pani nic do ukrycia. Proszę się nie obawiać. Jeśli się okaże, że jest pani niewinna, pozwolę pani odejść.* Sprawdzą jej DNA. Włożą jej w usta wacik, pobiorą próbkę śliny. Wszystko może się skończyć. Trafi do aresztu, ze skutymi na plecach rękoma. Potem na salę rozpraw. Szybki wyrok, flesze, pozbawiona wyrazu twarz w mediach. I dziewczynki, które ją zobaczą w telewizorze. Koszmar, z którego chce się otrząsnąć. Bo nic takiego się nie wydarzy. Nigdy.

Będzie inaczej. Jeszcze osiem godzin. Leży spokojnie. Tylko na chwilę otwiera drzwiczki, chowa się za krzakiem, kuca. Bo ciśnie ją pęcherz. Potem wraca na miejsce, do karawanu. Oczyszcza ranę na przedramieniu, smaruje ją maścią na oparzenia, znowu zamyka oczy. Ból robi się znośny. Właściwie śmieszny, gdy sobie pomyśli, że mogła zginąć. To tylko oparzenie, stłuczenie, kilka ran ciętych. Wierzy, że będzie dobrze. Zatarła wszystkie ślady, zabrała paszporty. Właściwie mogłaby już wyjechać, wypłynąć na pełne morze. Przepaść jak kamień w wodę. Ale tego nie robi. Zostaje.

Hamburg, Dworzec Główny. Nie wsiada do pociągu, nie odjeżdża. Musi coś zjeść. Ma jeszcze prawie godzinę. Zatrzymuje się przy małym stoisku i je kebab. Spokojnie obserwuje halę. Wypatruje goryli Schielego, ludzi Lamberta. *Mają być w mundurach*, powiedziała. Prosiła o to. *Chcę, żeby Schiele zobaczył, że nie jestem sama, że przyprowadziłam kogoś, kto mnie obroni*. Policjantów, którzy o dwunastej trzydzieści pięć wejdą na peron. *Proszę być punktualnie. Nie wcześniej i nie później*. Wciąż widzi, jak Lambert kiwa głową. Blum jest pewna, że już gdzieś tu stoją. Obserwują ją. Lambert wszystko koordynuje, z za jakiejś szyby, z ukrycia.

To absurd, że poprosiła o pomoc policję. Funkcjonariuszy, którzy mogą rozpoznać jej twarz. Twarz, która od miesiący wisi na plakatach w każdym komisariacie. Brünhilde Blum, jedna z najbardziej poszukiwanych kobiet w Europie. Lecz teraz, w niebieskim swetrze z kapturem i džinsach, jest zwykłą pasażerką, jedną z wielu na dworcu. Nikomu by nie przyszło do głowy, że jest tak szalona. Że sama im się poda na srebrnej tacy. Że ta kobieta byłaby zdolna zabić. Może któryś z funkcjonariuszy dostrzeże cień podobieństwa, ale to nic. Jest informatorką Lamberta. A Lambert przecież wie, z kim ma do czynienia. Tymczasem Lambert wie tylko, że ma na imię Marie, nic poza tym. I nie chce wiedzieć, bo i tak się domyśla, że to fałszywe imię. To tylko ofiara, kolejna zepsuta zabaweczka Schielego, kobieta, która chce się od niego uwolnić, zacząć wszystko od nowa, za pieniądze, które od niego dostanie. Pieniądze, które wymusiła szantażem.

Przypomina sobie, co powiedziała. *Przyjdiesz albo nie. Przyniesiesz pieniądze albo nie. Twoja siostra przeżyje albo umrze*. Blum odgrywa maskaradę. Jedną na użytek Schielego, przez telefon, drugą w ulubionej knajpie Lamberta. *Ta siekiera to mój bilet do wolności*, powiedziała.

Siekiera, którą rzekomo szantażowała Schielego, która już dawno została zbadana przez techników kryminalistycznych. Siekiera, o której Schiele nic nie wie, której od dawna nie miał w rękach. Technicy znaleźli na ostrzu krew i DNA. Należy do osób figurujących w bazie danych, najbliższych współpracowników Pięknego Egona. Jego dwaj goryle nie żyją. Blum nie kłamała. Na trzonku są odciski palców Schielego. Lambert wie, że w tej sprawie mówiła prawdę. Laboratorium potwierdziło jej słowa. Dlatego on i jego ludzie zajęli już stanowiska. Aby obserwować Blum, gdy odegra ostatni akt. Zgodnie z planem. Chociaż w jej głowie włączyły się chyba wszystkie alarmy, chociaż wie, że to szaleństwo. Nie rozważa innych scenariuszy. Zostaje. Jeszcze dwadzieścia minut.

Rusza z miejsca, idzie. Zaciąga kaptur na głowę, siada w kącie obok bezdomnych. Na ramieniu sportowy plecak na pieniądze. Paralizator i paszporty w kieszeniach spodni. Karawan stoi trzy stacje stąd. Zostawiła go i przysłała na dworzec pieszo. Daje młodemu Marokańczykowi euro za papierosa. Pali. Jeszcze dziewięć minut. Powoli rusza w stronę peronu. Tor trzeci. Schiele da jej pieniądze, a ona je weźmie. Będzie po wszystkim.

Stoi na górze i patrzy na peron. Wypatruje go. Wszędzie ludzie, na tor ósmy właśnie wjechał pociąg. Jej oczy przeczesują tłum. W końcu go widzi. Schiele. Przyszedł. Ale nie sam. Jest z nim czterech goryli. Jeden tuż obok, trzech pozostali mniej więcej dziesięć metrów od niego. Zachowują się, jakby go nie znali, ale Blum wie, że wszystkie jego byczki wyglądają tak samo. Otłuszczeni, napompowani sterydami, posłuszni. Schiele chce ją osaczyć. Na jego znak mają ją złapać, obezwładnić i wyprowadzić. Mają skończyć ten żaloszny spektakl, dyskretnie wynieść ją z dworca, zmusić do mówienia.

Dwunasta trzydzieści. Schiele jest za wcześnie. Jego oczy również omiatają otoczenie, wypatrują Blum. Widzi ją. Macha do niej, jakby się ucieszył na jej widok. Z uśmiechem pokazuje, żeby zeszła na dół. Pokazuje na torbę, którą ma w ręku. *Chodź, Marie, weź to. Cip, cip, cip, kurko. Bądź grzeczna i zejdz. Chodź do tatusia.* Klepie się dłonią po udzie. *Chodź, Marie.*

Na co czekasz? Przecież tego chciałaś, prawda? Złaż wreszcie, pieprzona szmato. To mówią jej jego oczy. Że za uśmiechem kryje się wściekłość. Nienawiść. Schiele aż się gotuje.

Blum jeszcze czeka. Przyszedł za wcześnie. Jeszcze trzy minuty, dwie. Jeszcze nie ma policji, jest jeszcze sama. Bezbronna. Nie chce z nim zostać sam na sam. Jeszcze może uciec, jeszcze nie ma przy niej nikogo, kto by mógł ją zatrzymać. Tłuste byczki Schielego jej nie dogonią. Wciąż może zniknąć w tłumie. Lecz Schiele wykrzykuje jej imię. *Hej, Marie. Dlaczego nie schodzisz? Mam cię sam przyprowadzić?* Blum jeszcze się waha. Rozgląda się. Szuka Lamberta. Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy. Jeszcze nie pora, ale instynkt jej mówi, że musi iść. Schodami na dół. Nie ucieka. Będzie kłamać, z uśmiechem na ustach.

Tor trzeci. Wjeżdża pociąg. Blum się odwraca. Policjantów wciąż nie ma. Są tylko turyści, miejscowi, przybysze z całego świata. Wyjeżdżający i wracający. Blum nie ma wsparcia. Mimo to idzie, przeciska się przez tłum podróżnych, który się wylał z pociągu i płynie schodami na górę. Bierze głęboki wdech. Potem wydech, jest zupełnie spokojna. Schodzi na dół, zatrzymuje się przed Schielem. *Nie bój się, powtarza sobie w myśli. Wkrótce zobaczysz swoje maleństwa. Lambert cię nie zostawi na lodzie.* Nie na darmo wypła z nim tyle wódki, okazywała mu współczucie, przez cały wieczór. Wie, że wszystko będzie dobrze. Stąd uśmiech na jej twarzy. Dlatego nie ucieka. Dlatego atakuje. *Masz pieniądze?*, pyta. *Znudziło ci się życie,* odpowiada Schiele.

Jest zaskoczony, że Blum się nie boi, że mu się przeciwstawia. Że każe mu otworzyć suwak torby. *Chcę je zobaczyć,* mówi. *Osiemset tysięcy,* odpowiada Schiele. Blum kiwa głową. Dotyka pieniędzy. Nie może uwierzyć, że naprawdę je przyniósł, że naprawdę aż tak się martwi o siostrę. *W porządku,* mówi i bierze torbę do ręki. *Nie tak prędko,* odpowiada Schiele. *Pójdziemy na krótki spacer. Nie opieraj się, Marie. Pójdiesz z nami, zaprowadzisz mnie do mojej siostry, potem pozwolę ci odejść. Zrozumiałaś?*

Nie, odpowiada Blum. Bo wie, że to kłamstwo, każde jego słowo. Nie wróci tymi schodami na górę, nie pozwoli sobie wyrwać z rąk steru. To ona tu decyduje, nie on. Blum wciąż w to wierzy. Chociaż właśnie się dzieje to, czego się spodziewała, chociaż jej grozi. Chociaż jego psy są coraz bliżej, czają się wokół niej, ona wciąż ma nadzieję. Mała, głupia Blum. Naiwna, uparta. Nie rusza się z miejsca. Zamyka na chwilę oczy, nie słucha Schielego, jest sama, w ciemności. Jest tylko głos z megafonów. *Tor trzeci. Proszę wsiadać.* I pragnienie, by byli, kiedy otworzy oczy. *Proszę, Lambert.* Mówi to na głos.

Dwunasta trzydzieści pięć. Jakby zadzwonił budzik. Idą schodami na dół. Jeden za drugim. Blum widzi ich kątem oka. Policjanci. Na górze, przy balustradzie, co najmniej dziesięciu, w mundurach. Są coraz bliżej, rozdzielają się, otaczają ich, wypełniają peron. Cudowny widok. Jak prezent, który Blum bierze, rozpakowuje, z szerokim uśmiechem rozdziera papier. Czuje ulgę. To ty pójdziesz. Z nimi, mówi. Podchodzi do Schielego, tak blisko, żeby nikt nie usłyszał tego, co mu szepcze do ucha. *Przyszli po ciebie, Schiele. Jeśli któryś z twoich ludzi mnie tknie, zostaniesz aresztowany. Wierz mi, opowiedziałam im śliczną historię. Jeśli więc chcesz zobaczyć siostrę, będzie rozsądniej z twojej strony, jeżeli wsiądziesz ze mną do tego pociągu. Zaraz się zamkną drzwi. Za pięć sekund stąd odjadę. Z tobą albo bez ciebie. Tak czy siak wezmę pieniądze. Rób, co chcesz, sukinsynu.*

– Ty całkiem oszalałaś.

– Naprawdę? Tak sądzisz?

– Prawie urwało mi nogę.

– Nie bądź beksa.

– Co to ma znaczyć, Marie? Znow łamiesz umowę. Co tam robiła policja?

– Chciałam z tobą porozmawiać w cztery oczy, ale ty przyprowadziłeś swoich goryli. Więc kto tu złamał umowę?

– W torbie jest mnóstwo pieniędzy. Musiałem mieć pewność, że dostanę to, za co płacę.

– To zrozumiałe. Przecież cię mogłam okłamać. Twoja siostra mogła już dawno umrzeć.

– O czym ty mówisz?

– Mogłam ją zabić. Wyobrażasz sobie, jak się na ciebie wściekłam. Może wyładowałam tę wściekłość na niej?

– Co ty bredzisz?

– Zdziwiłbyś się.

– Zaczynam ci współczuć, Marie, naprawdę.

– Niby dlaczego?

– Nie wiesz, co się tu dzieje. Nie masz pojęcia, z kim zadarłaś.

– Och, wiem doskonale. Mimo to liczę, że wszystko dobrze się skończy. Zawiozę cię do twojej siostry, a potem zniknę. Zgodnie z umową. Tak będzie, prawda?

– Może. A może nie.

– Najchętniej skreśliłbyś mi kark, co? Zatłukł na śmierć. Waliłbyś pięścią po twarzy i kopał, aż zamilknę. Przestanę jęczeć. To by ci się podobało,

prawda?

– Brzmi kusząco, ale jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. Poza tym jest tu zbyt wielu świadków. Pasażerowie pewnie by się zdziwili, gdybym cię zaczął tłuc w środku tego ślicznego pociągu.

– Dojedziemy na miejsce i zniknę. Zgodnie z umową. Już nigdy mnie nie zobaczysz.

– A moja łódź?

– Zatrzymam ją.

– Naprawdę sądzisz, że ci na to pozwolę?

– Łódź wezmę za to, że porwałeś mi dzieci.

– Sama sobie jesteś winna. Chciałem ci tylko przemówić do rozsądku. Pamiętasz? Zrobiłem dla ciebie wszystko, o co prosiłaś. Ofiarowałem ci nowe życie. Nie oczekując niczego w zamian. Oprócz tego, co obiecałaś.

– Nie jestem morderczynią.

– Skoro tak mówisz... prawie ci wierzę. Gdyby nie okoliczności, pewnie bym parsknęła śmiechem. Pozwól, że ci przypomnę, ilu ludzi zabiłaś. Zanim się poznaliśmy i potem. Jeśli utrzymasz tempo, niedługo dobijesz do tuzina. *Nie jestem morderczynią. W twoich ustach to brzmi jak żart.*

– Cieszę się, że dopisuje ci humor, ale to nie takie proste. Wierz mi, nie chciałam nikogo zabić.

– Jakie to wzruszające.

– To wszystko po prostu się stało. Tak jakbym się zamieniła w chomika i zaczęła biec. Karuzela się kręci i kręci, i nie chce zatrzymać, rozumiesz?

– Nie musisz się tłumaczyć.

– Słusznie. Po prostu głośno myślałam. Bo niedługo wszystko się wreszcie skończy. Bo wkrótce się pożegnamy.

– Czyżbym słyszał nutę nostalgii?

– Bynajmniej.

– Muszę przyznać, że twoja historia mnie zafascynowała. Ale przecież o tym wiesz. Od pierwszej chwili wywarłaś na mnie wielkie wrażenie. Nie

spotkałem w swoim życiu zbyt wielu morderców. Zwłaszcza tak pięknych jak ty. Szkoda, że nam się nie ułożyło. Że cię nie przeleciałem. To takie smutne, że aż mi się kraje serce.

– Przestań.

– Niby dlaczego? Jeszcze nic straconego, prawda? Na pożegnanie porządnie cię zerznę. Co ty na to? Już się nie mogę doczekać, Marie. To będzie niezapomniane przeżycie, naprawdę.

– Milcz, Schiele. Dość się już nagadałeś.

– O nie, jesteś mi winna kilka odpowiedzi. Na przykład w sprawie Dinga i Charlesa. Jak ich załatwiłaś?

– Daj mi spokój.

– Kto ci pomógł? Kto jest z moją siostrą?

– Przyjaciel.

– Ty nie masz przyjaciół, Marie. Masz tylko mnie.

– Chciałbyś.

– Nikogo w tym mieście nie znasz. Nikogo, kto mógłby ci pomóc porwać moją siostrę. Nikt nie byłby tak szalony.

– Chciałam tylko odzyskać dzieci.

– A kiedy już je miałaś, pomyślałaś, że nie zaszkodzi zdobyć trochę pieniędzy, tak?

– Zgadza się.

– Pieniądze psują ludzi, Marie. Pieniądze nie dają szczęścia, zobaczysz. Na koniec będziesz żałować, że je wzięłaś.

– Jakoś trudno mi sobie to wyobrazić.

– Cokolwiek zamierzasz, Marie, nie uda ci się. Nie mogę pozwolić, byś mnie tak traktowała.

– Zaraz wysiadamy, wtedy się ode mnie uwolnisz.

– Nie tak prędko, Marie.

– Bo?

– Bo muszę wiedzieć, co powiedziałaś policji.

– Przekonałam ich tylko, żeby przyszli na peron. Nie masz powodów do niepokoju.

– Powiedziałaś, że przyszli z mojego powodu.

– Chciałam cię nastraszyć, żebyś wsiadł do pociągu.

– Po co?

– Musimy jechać do twojej siostry. Jeśli nie uwolnimy jej w porę, może umrzeć. A tego byśmy nie chcieli, prawda?

– Jeśli coś jej się stanie, obedrę cię ze skóry.

– Wiem, Schiele. Wiem.

Każde słowo, każde zdanie kosztuje ją mnóstwo wysiłku. Musi się hamować. Powściągać nienawiść, wściekłość. Mydlić mu oczy. Musi w nim podtrzymać poczucie, że to on kontroluje sytuację, że naprawdę jadą do jego siostry, nie może zwątpić w jej słowa. Schiele i Blum. Kiedy z nią rozmawia, prawdopodobnie wyobraża sobie, jak ją obezwładni i zmusi, by odpowiedziała na każde jego pytanie. Jak ją wyrzuci z rozłupaną czaszką do przydrożnego rowu. Marzy o tym, czeka tylko na odpowiednią chwilę, kiedy zostaną sami. Lecz Blum na to nie pozwoli.

Bo wszystko potoczyło się tak, jak zaplanowała. Ludzie Lamberta na peronie, zjawili się w odpowiednim momencie. Zdziwienie Schielego, panika, kiedy wskoczyła do pociągu. Zawahał się na ułamek sekundy, lecz wskoczył za nią. Reszta została na peronie. Goryle Schielego, policja. Patrzyli, jak odjeżdżają. Schiele i Blum. Jadą kolejką miejską. Wysiadają na stacji Altona. Wokół setki ludzi, Schiele nie może nic zrobić, musi czekać. Chociaż ledwie nad sobą panuje, chociaż najchętniej rzuciłby ją na ziemię, rozpląszczył na ścianie. Chciałby to zrobić, ale nie może. Idzie za nią. Niespokojnie rozgląda się dokoła, szuka jakiegoś sposobu, by to skończyć. Na próżno. Musi robić to, co każe mu Blum. Jego Marie, która prowadzi go przez zatłoczoną ulicę. Jego Marie, którą najchętniej wepchnąłby pod samochód. *Zaraz będziemy na miejscu*, mówi Blum i kiwa na niego ręką, by się pospieszył.

Tam stoi mój wóz. Karawan Johanna, tutaj go zaparkowała. Schiele widzi go i jego mina mówi wszystko. Zwiertzył szansę. Wsiada. *Musimy jechać poza miasto*, mówi Blum. Schiele uśmiecha się. *Zawsze chciałem poprowadzić karawan*, mówi. Zaczeka, aż będą sami, z dala od ludzi. Zmusi ją, by się zatrzymała. Szarpnie za kierownicę, uderzy ją łokciem w twarz.

Siada wygodnie w fotelu, nie boi się, nawet przez chwilę nie sądzi, że coś mu grozi. Że jego Marie może wyciągnąć z kieszeni paralizator. Kiedy on sięga po pas, kiedy odwraca oczy. Czuje swoją przewagę, niczego się nie spodziewa. Nie widzi jej dłoni, która się zaciska na rękojęści, ramienia, które się podnosi. Otwiera usta, by coś powiedzieć, gdy elektrody dotykają jego szyi.

Jaki to cudowny dźwięk. Trzask wyładowania elektrycznego. Dźwięk, który zagłusza jego słowa. *Szkoda, że cię nie przeleciałem.* Marzył o tym, do samego końca. *Jeszcze nic straconego, prawda? To będzie niezapomniane przeżycie, naprawdę.* Chciał jeszcze raz zadać jej ból, chciał, żeby na niego patrzyła, gdy będzie ją gwałcił.

Wydaje z siebie krótki krzyk, potem jęk. Blum dziękuje w duchu Dingowi za to, że przywiózł jej to cudowne urządzenie. Słyszc metaliczne bzyczenie. Schiele nie ma czasu zareagować, bronić się, czuje to samo co ona kilka dni temu, tylko dłużej. Trzy sekundy, cztery. Potem chwila przerwy. I znów elektroda dotyka szyi. Schiele jest bezbronny. Krzyczy, napręża się, nieruchomieje. Widzi kamień. Nie ma pojęcia, co się dzieje. Nie jest w stanie zareagować, nie może unieść ramion, żeby się bronić. Dwa uderzenia w głowę. Oczy się zamykają.

Jakie to łatwe. Jakby robiła to co dzień. Kamień przyniosła z parku, leżał dokładnie tam, gdzie go upuściła. Dwa tygodnie temu, kiedy się zawahała i pozwoliła Wagenschaubowi odejść. Księgowemu Schielego. Wtedy nie była w stanie tego zrobić, a teraz przychodzi jej to bez trudu. Bo wtedy czuła, że to, co zamierza, jest złe, a teraz wie, że postępuje właściwie. Schiele ma leżeć spokojnie, gdy będą jechać przez miasto. Zakłada rękawiczki, bierze taśmę klejącą. Krępuje go. Opiera jego głowę na desce rozdzielczej, okleja mu za plecami nadgarstki. Owija mu taśmę wokół nóg, zakleja usta.

Działa szybko, spokojnie, pewnie. Nachyla się nad nim, jakby go całowała. Nikt z przechodniów nie zauważy niczego podejrzanego. Tylko

dwoje zakochanych w drodze do pracy, między życiem a śmiercią, w karawanie. Buziak na pożegnanie. Potem odsuwa fotel, zsuwa ciało na podłogę, między siedzenie a schowek. Schiele znika. Obwiązany kawał mięsa na podłodze auta. Jest wciąż nieprzytomny. Unieruchomiony, bezbronny. Słyszc tylko rozpaczliwe jęki, kiedy się budzi. Kiedy jedzie z nim ulicami miasta. Jęki, które zagłusza muzyka płynąca z głośników. *Get Lucky*. Daft Punk. Blum pogłównia.

Już po wszystkim, wracam. Odbierz mnie, Rezo. O ósmej, tam gdzie się widzieliśmy ostatni raz. Powiedz dziewczynkom, że mogą na mnie poczekać, nie muszą się kłaść do łóżek. Powiedz im, proszę, że mamusia dziś wraca. Wkrótce znowu będziemy razem, Rezo. Ty, dziewczynki i ja. Kończy, rozłącza się. Bo to tylko jego poczta, głos, który poprosił, by zostawiła wiadomość. Reza z jakiegoś powodu nie może odebrać.

Nagła tęsknota każe jej się zatrzymać. Budka telefoniczna na skraju plaży, relikwini minionej epoki. Wrzuciła monetę, wybrała numer. Tak bardzo by chciała z nim chwilę porozmawiać, tak bardzo by chciała, by przy niej był, by przeszli te ostatnie metry razem. Bo czuje się trochę nieswojo. Chociaż wie, że nic się nie może zdarzyć, bo Schiele leży związany w aucie. Waha się. Spogląda na wóz, wciąż trzyma słuchawkę w ręku. Ale nie słyszy znajomego głosu, który by jej powiedział, że da radę. Nikt nie odbierze, nie wypowie jej imienia. *Blum*. Na kilka chwil świat się zatrzymuje. Porusza się tylko karawan. Kołysze się na boki, bo Schiele walczy o życie. Wilk, który chce ją rozszarpać i pożreć.

Blum brzydzi się go. Nie chce wracać do wozu, nie chce słuchać jego jęków, zduszonego wołania o pomoc. Nie chce go widzieć, słyszeć jego głosu. *Musisz mnie zawieźć do lekarza, Marie. Zawiodłem się na tobie, Marie. Zabrakło ci inwencji? Kamieniem. Jakie to prymitywne, prostackie, głupie. Wiesz mnie związanego przez miasto? A co, jeśli ktoś cię zatrzyma? Wystarczy zwykła kontrola. Będzie po wszystkim. Więc rozwiąż mnie, Marie. Jeszcze raz przytknę oko. Słyszysz, Marie? Musisz zrobić, co mówię. Rozwiąż mnie, inaczej cię obedrę ze skóry.*

Jego głos tnie jej ciało. Chociaż go nie słyszy. *Dingo i Charles chcieli się tylko trochę zabawić. Nie bądźże małostkowa, Marie*. Blum chce, żeby

ten głos zamilkł, na zawsze. *Myślisz o swoim małym pieprzonym skutniku? Nie rób teatru, Marie. Dlaczego tak patrzysz? Jeden w tę czy we w tę, co za różnica? Ma rację, jedno zabójstwo mniej czy więcej niczego nie zmieni. Nie wahaj się, Blum. Dokończ to, co zaczęłaś. Już prawie jesteś u celu. Wsiadaj i jedź.*

Jeszcze dwadzieścia minut. Jedzie do magazynu kontenerowego. Nikt jej nie będzie kontrolował, nikt nie pomoże Schielemu, nikt go nie uwolni. Blum znów przykładła paralizator do jego szyi. Ilekroć się szarpnie, ilekroć znów się spróbuje uwolnić. Raz za razem, aż docierają na miejsce. Blum zatrzymuje wóz, otwiera kontener. Zabrała kluczyk, Johann nie będzie go szukał, rzadko go potrzebuje. Magazyn z trumnami. Spryciarz wpadł kiedyś na pomysł, by je sprowadzać z Europy Wschodniej. Najwyższa jakość za śmieszna cenę. Dąb, świerk, orzech. Ułożone jedna na drugiej. W każdej chwili gotowe, by je złożyć do grobu lub spalić. W dwóch kontenerach, niebieskim i żółtym, między tysiącami podobnych. Niedawno Blum robiła tu porządek, wie, że nikt jej nie będzie przeszkadzał. Nie ma kamer, strażników. To najtańsze składowisko w okolicach Hamburga. Kiedy tu wjeżdża, witają ją tylko śmieci i zielsko. Z boku dobiega skowyt. Schiele. Odwraca głowę, jego oczy wpatrują się w jej twarz.

Blum wysiada, otwiera kontener. Bierze najtańszą trumnę do kremacji, jest najlżejsza. Jeszcze raz sprawdza, czy naprawdę jest sama, czy nikt jej nie obserwuje. Zdecydowanie otwiera drzwi od strony pasażera i go wyciąga. Ciągnie go do kontenera, to tylko trzy metry. Schiele znów się szarpie, wierzga. Blum ponownie traktuje go prądem. Jakby robiła to całe życie. Poskramia dzikie zwierzę. Zrobi, co trzeba, choćby to kosztowało mnóstwo sił. Kładzie trumnę na boku, wtacza do niej Schielego, upycha. Znów razi go prądem, jego ciało znów się wypręża. Schiele jęczy, nie może się bronić. *Jeśli się nie uspokoisz, będę to robić, aż ci wysiądzie serce. Umrzesz.* Blum chciałaby to powiedzieć. Przerazić go. Ale milczy. Nie odezwie się już do niego ani słowem. Bo wszystko już powiedziała.

Spogląda na niego z góry. Leży z wytrzeszczonymi oczami. Błaga o litość, wierzga. Egon Schiele w swoim czarnym garniturze. Król sutenerów. Bezradny, przerażony. *Proszę, Marie, nie musisz tego robić. Porozmawiajmy, Marie. Przestań!* Lecz Marie go nie słucha. Zapala znicz, który ze sobą przywiozła, zamyka kontener. Kładzie wieko trumny na ziemi, siada na nim. Zapala papierosa i patrzy. Schiele już wie, że to nie żarty, że nic już nie może zrobić. Że nikt jej nie przeszkodzi, że za chwilę położy wieko na trumnie. *To ważne, by się pożegnać ze zmarłym przy otwartej trumnie. By zrozumieć, że umarł. Że odtąd życie będzie się toczyć bez niego.* Tak zawsze mówiła do żałobników. Słyszy te słowa w swojej głowie i uśmiecha się delikatnie. To pożegnanie.

Gasi papierosa i wstaje. Pojedzie na umówione miejsce, przytuli dziewczynki, uściska Rezę. Nie patrzy już na Schielego, tylko podnosi wieko, zamyka trumnę. Tak jak to robiła tysiące razy. Bierze wkrety, wkłada je w otwory, przykręca. Zdmuchuje znicz i zamyka kontener.

Kiedy się podejdzie, przyłoży ucho do kontenera i wstrzyma oddech, można go usłyszeć. Dobiegający ze środka zduszony jęk. Blum nasłuchuje. Stoi z uchem przytkniętym do ściany, do metalu, który ją oddziela od Egona Schielego. Słońce oświetla jej twarz. Zamyka oczy. Jakie to miłe uczucie. Wreszcie spokój, tak nagle. Jego głos niknie w dali. Na zawsze. Zamiera w zaklejonych taśmą ustach, za drzwiami. Już nic się nie może wydarzyć.

Blum. Wyczyści samochód i go zostawi. Tam gdzie Johann bez trudu go znajdzie. Zabierze paszporty i pieniądze, pojedzie pociągiem do Cuxhaven i przytuli swoje maleństwa. Wypłyną w morze, będą szczęśliwi. Lecz w chwili, gdy chce odjechać, jej serce prawie przestaje bić. Jej marzenia pryskają jak bańka mydlana. Twarze dziewczynek, Rezy. W jednej chwili wszystko znika. Nagle na jej ramieniu spoczęła ręka. Blum nie słyszała, jak do niej podszedł. Nie spodziewała się go. *Koniec podróży, moja droga*. Blum się odwraca, uwalnia z jego uścisku, chce uciekać. Ale to niemożliwe. Lambert ma w dłoni broń. Celuje w nią.

– Naprawdę pani myślała, że ten numer na dworcu się uda? Mieliliśmy umowę, pamięta pani?

– Przecież nic się nie stało. Obiecałam, że powiem, gdzie są ciała. Właśnie miałam zadzwonić.

– Bzdura. Dlatego wskoczyłem za panią do tego pociągu. A potem panią śledziłem. Wziąłem taksówkę, jak w kiepskim filmie. *Za tym karawanem*, powiedziałem. Prawdę mówiąc, czułem się jak głupek.

– Był pan tu cały czas?

– Owszem. Obserwowanie pani było bardzo ciekawym zajęciem.

– Może pan we mnie nie celować?

– Niestety muszę. Jak pani zapewne pamięta, jestem policjantem.

- On mnie zaatakował, musiałam się bronić. Nie miałam wyboru.
- Mało wiarygodna historia.
- Niech pan schowa pistolet, porozmawiajmy.
- Proszę mi dać klucz od kontenera.
- Nie.
- To nie była prośba, tylko rozkaz.
- Schiele zostanie tam, gdzie jest.
- Jeśli dobrze widziałem, jest ranny.
- Niezbyt poważnie.
- Ułożyła go pani w trumnie.
- Tak.
- A potem przykryła ją wiekiem?
- Tak jest.
- I chciała pani tak po prostu odjechać? Zostawić go? Rannego?
- To właśnie zamierzałam zrobić.
- Przecież on by najprawdopodobniej umarł. Rzadko ktoś tu zagląda.
- Z pewnością przez najbliższe dwa, trzy tygodnie nikt nie otworzyłby kontenera.
- To by było zabójstwo.
- Tak, zapewne.
- Do kogo to wszystko należy? Kontener, karawan, trumny?
- Przecież pan wie, prawda? Na pewno już pan zadzwonił, gdzie trzeba, i kazał sprawdzić numer rejestracyjny.
- Poproszę o klucz. Natychmiast. Inaczej będę zmuszony przestrzelić pani nogę. Chce pani tego?
- Nie.
- I słusznie.
- Naprawdę myślałam, że mi się uda. Że wreszcie ten koszmar się skończy. Że przynajmniej raz coś zrobiłam, jak należy.
- Proszę powiedzieć, gdzie znajdę tamte dwa ciała.

- Dlaczego miałabym to robić? Dlaczego miałabym panu pomagać?
- Chce pani wyjechać, prawda?
- Chcę.
- Jeśli pani odpowie na moje pytania, pozwolę pani odejść. Pożegnamy się i już nigdy się nie zobaczymy. Oto moja oferta.
- A Schiele?
- Zostanie tu, gdzie jest. Wrzucę klucz do kanału. Nikt go tutaj nie znajdzie.
- Nie rozumiem.
- To proste. Musi mi pani tylko powiedzieć, gdzie są ciała, potem panią puszczyć wolno. Resztą zajmę się sam.
- Blankenese, Treppenviertel, Krumdal, mały rybacki domek. Należy do Schielego. Leżą w kuchni.
- Dziękuję. To nam da motyw.
- Motyw?
- Wyjaśnienie tego, co się właściwie stało. Zabójstwa Egon Schielego. Ja i moi koledzy prawdopodobnie przyjmujemy hipotezę zemsty. Wszystko na to wskazuje. Siekiera, którą nam anonimowo podrzucono, jego odciski palców na trzonku i ciała, które jutro znajdę. Wyślemy za Schielem list gończy, ale poszukiwania niestety nie przyniosą efektu. A za kilka tygodni dojdzie do sensacyjnego odkrycia. W kontenerze zostaną znalezione jego zwłoki. Media rzucają się na tę sprawę. Będą się rozpisywać o wojnie sutenerów w St. Pauli. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że chodzi o coś innego. Nikt na to nie wpadnie. Ani policja, ani dziennikarze, nikt.
- A co ze mną?
- A co ma być? Pani tylko pomagała w zakładzie pogrzebowym, prawda? Na szczęście właściciel pani nie zarejestrował.
- Skąd pan to wszystko wie?
- Rozmawiałem z nim.
- Kiedy?

– Nieważne. Nikt nie będzie o panią wypytywał, a staruszek nie puści pary z ust. Naprawdę panią lubi.

– Co jeszcze pan wie?

– Tylko tyle, że Schiele został tu przywieziony, bo to najlepsze miejsce na ukrycie zwłok. A właściwie na pogrzebanie żywcem. Prawdopodobnie ktoś się przypadkiem dowiedział, że w kontenerze jest magazyn trumien. Ktoś z pięciuset właścicieli sąsiednich kontenerów.

– Dlaczego pan to dla mnie robi?

– Dlatego, że dziś pierwszy raz od bardzo dawna dobrze spałem. I dlatego, że zdaję się na swoją intuicję.

– A co ona panu mówi?

– Że powinna pani wracać do swoich córeczek.

– Pan wie, kim jestem, prawda?

– Wiem tylko, że teraz pojedę do swojej córki i ugotuję dla niej obiad. Tylko to się liczy.

– Na pewno się ucieszy.

– Na pewno. A kiedy to wszystko się skończy, zabiorę ją w długą podróż.

– Cudownie.

Lambert podaje jej dłoń. *Życzę pani dobrego nowego życia*, mówi. Potem się odwraca i odchodzi. Bez słowa. Nie widzi jej zdziwionej miny, jej niedowierzania. Idzie w kierunku ulicy. Jakby nic się nie wydarzyło, jakby świat był cudownym miejscem. Blum patrzy za nim zaskoczona. Szczęśliwa. Już się nie zastanawia. Czy miała rację, czy odkrył jej tajemnicę, czy wie, kim jest, co zrobiła. Zostaje jeszcze na chwilę. Przykłada ucho do kontenera. Wciąż słycać jęki. Wsiada do karawanu, odjeżdża.

Już wszystko dobrze

Z góry wszystko widać. Morze, jacht, kobieta na pokładzie. Świeci słońce. Leży z otwartymi oczami. Tylko ona i niebo, chmury. To najpiękniejsze miejsce na ziemi. Sól na jej wargach, znajomy widok. Zakotwiczyli u wybrzeży Dugiego Otku. Przeszłość znikła.

Blum wciąga żagiel. Sprzedała w Chorwacji jacht Schielego i kupiła żaglówkę. Spełniła swoje marzenie. *Popłyniemy dookoła świata*, powiedziała do dziewczynek. *Co wy na to?* Maleństwa były zachwycone, wciąż są. Bo mamusia jest przy nich, rano w południe, wieczorem. Przy niej się czują bezpieczne, szczęśliwe. Blum powtarza im, że już nigdy ich nie zostawi, z uśmiechem patrzy, jak wchodzą z talerzami i misami na pokład. Chcą, żeby mama skosztowała tego, co przygotowały. Sałaty z tuńczykiem, ryżem i pomidorami. Blum wkłada widelec do ust i gładzi się z uśmiechem po brzuchu. *Pyszne, mówi. Mogę więcej?* Potem mocuje linę i staje za sterem. Dziewczynki z sałatą drepczą za nią.

Już się nie boi. Od kilku miesięcy nic nie napawa jej niepokojem, nikt jej nie szuka. Tylko kilka tygodni temu przeczytała o zbrodni w Hamburgu. Zabójstwo sutenera, wojna gangów w St. Pauli, zmiana władzy w dzielnicy. Ponure wieści. Reza wyjął gazetę z jej rąk i wyrzucił za burtę. *To nie twoja sprawa*, powiedział. Potem ją pocałował.

Stoi u jej boku. Obejmuje ją, szepcze jej coś do ucha. Blum kiwa głową. Bo wie, że Reza ma rację. Bo te słowa wyczarowują na jej twarzy uśmiech. *Już wszystko dobrze*, powiedział. *Już wszystko dobrze.*